

# Z LAT MINIONYCH

szkice

Tom IV

Lata Przed Burzą
Częsc 1

M. Mcd Jałowiecki

Pierwszy egzemplarz

Z LAT MINIONYCH

szkice

Tom IV

LATA PRZED BURZA

M. Mcd Jalowiecki

częsc pierwsza

Mieczysław Jałowiecki

## S P I S  R Z E C Z Y

tom 4

### C z ę ś c  p i e r w s z a



---

# W S T E P

Ten tom czwarty moich wspomnień obejmuje okres od Stycznia 1910 aż do Lipca 1914 to jest do dnia wypowiedzenia wojny Rosji przez Niemcy i Austrję.

Rozpoczynam ten tom, przebywając w jednym z najgłuchszych zakątkow dalekiej Walji, dokąd mnie losy, czy też własna głupota zapędziły. Jest koniec Marca 1952 roku. Po kilku ciepłych dniach przedwiośnia mamy znów nawrót zimy, która w tym dziwnym kraju mało się róźni od lata a częstokroć lato od zimy.

Dnia 2 Grudnia roku ubiegłego ukonczyłem pono 75 lat. Jestem już bardzo starym człowiekiem, a choć fizycznie czuję się jeszcze w pełni sił i pamięć mnie nie zawodzi, muszę się jednak liczyć z faktem, że w tym wieku należy raczej być w pogotowiu [illegible] i nie odkładać do jutro, bowiem każdej chwili mogę być powołany przed Trybunał Boski. Z tej racji zmuszony jestem przyspieszyć tempo spisywania moich wspomnień i tem samem skrócić niektóre dość rozwlekłe ustępy, aby "przed koncem dobrnąć do końca."

Mając to na względzie zacznę ten tom od naszkicowania przebiegu tych kilku lat a na tle tego szkicu uwypuklić te lub inne ciekawsze fragmenty w formie krótkich opowieści jak to czyniłem kreśląc poprzednie trzy tomy.

# L A T A   P R Z E D   B U R Z Ą

Nie wiem przyczyny dla której tak mi jest dziś trudno przystąpić do spisywania wspomnień tych kilku jasnych, beztroskich lat poprzedzających pierwszą wojnę światową, lat spędzonych w Wilnie w miłej cichej domowej atmosferze, wśród przyjaciół, krewnych i ludzi życzliwych. Odkładałem to z dnia nad dzień, anim się obejrzał jak minęły miesiące , potem lata, wreszcie z wielkim wysiłkiem zmusiłem siebie do zwalczenia niechęci, czy też obawy odgrzebywania przeszłości.

Wyczuwam podświadomie że będę pisał z wielkim wysiłkiem, zapewne chropowato. Nie stać mnie już ani na koloryt, ani na fantazję a tem mniej na nużenie siebie i ewnetualnego czytelnika opisywaniem tego co w gruncie rzeczy mnie jedynie obchodzić może.

Styczeń roku 1910 był zwrotnym punktem w moim życiu. W tym miesiącu zaręczyłem się z Julą Wańkowiczowną z Horodyszcza , ziemi Mińskiej, moją dawną znajomą i tancerką z karnawałów wileńskich z którą łączyła mnie od kilku lat wzajemna sympatja i przyjaźń.

Od lat najmłodszych miałem jakąś dziwną chorobliwą idjosynkrazję do miasta , idjosykrazję, która z biegiem lat przeszła u mnie w dziwactwo . Instynktownie też unikałem panien z miasta, gdyż nigdy nie zdołałem znaleźć z niemi wspólnego języka, i raczej pozostałbym starym kawalerem, niż związać swoje życie z mieszczką.

Najpiękniejsz postać kobieca wyrosła z atmosfery miejskiej, traciła dla mnie wszelki urok i była jeno " martwą naturą ".

Moja przyszła żona była "par exellence" panną ze wsi, zrośnięta z przyrodą gospodarstwem, koniem , przesiąknięta atmosferą starego gniazda ziemiańskiego, żem faktycznie znalazł to czego szukałem.

Była to po za tem dziwnie szlachetna, prawa natura ,nie znosząca żadnych czy to moralnych czy towarzyskich kompromisów.- prawdziw pani.

Okoliczności tak się dla mnie ułożyły pomyślnie, że w kilka tygod - ni po zaręczynach na walnym zebraniu akcjonarjuszów wilenskiego banku ziemskiego, zostałem olbrzymią większością gło- sow wybrany na stałego członka komisji Szacunkowej. Było to świetne stanowisko , dobrze płatne , odpowiedzialne . Do tej po- ry pełniłem ten obowiązek zastępczo. Nie przeczę, że był to dla mnie, jak na młodego człowieka wielki sukces życiowy. Dzięki temu uniezależniłem się finansowo od mego Ojca tek i ewentual- nie od mojej przyszłej żony.i niepodziewanie zdobyłem poważne stanowisko i miałem przeświadczenie, że byłem potrzebny.

Zajęcia moje wymagały stałej bytności w Wilnie, musiałem więc zamieszkać w mieście początkowo w hotelu, zanim nie wynalazłem mieszkania w ktorym po ślubie moglibyśmy z Julą zamieszkać .

Miałem sporo roboty bo oprócz banku, prowadziłem jako urzędują- cy viceprezes sprawy Towarzystwa Rolniczego. Zalokowałem się naturalnie u poczciwego Georges'a gdzie czułem się jak w domu.

Komisja szacunkowa stanowiąca samodzielną część Dyrekcji Banku składała się z 5 członków . N

Każda sprawa zwązana z oceną gruntu, parcelacją, działem, mu- siała automatycznie przejść przez komisję szacunkową. Prezesem komisji był hr Józef O'Rourke, a członkami radcowie Franciszek Dmochowaski, Karol Falewicz, Jan Skarbek Kiełłczewski i ja ktory wstąpiłem na miejsce zmarłego radcy Butryma.

Rejon działalności wileńskiego banku ziemskiego obejmował całą Litwę i Białoruś a nawet gubernję pskowską , leżącę po za granicami dawniejszej Rzeczypospolitej . Składały się na to

gubernje : Wileńska,Kowieńska, Grodzienska , Mińska, Witebska / z Inflantami Polskiemi, Mohylewska wreszcie jmmmm jak wspomniałem wyżej Pskowska.

Każdy z Radców miał swój rejon, którym się opiekował. Ja ku mojej radości dostałem w udziale gub. Kowieńską , Witebską wraz z Inflantami / Mohylewską .

Bardzo mi się przydały moje wędrówki po kraju i prace taksacyjne, które jako kandydat w ciągu paru lat prowadziłem. Jako najmłodszy miałem sporo do roboty, a na mnie zwykle nakładano obowiązek wyjazdów w teren , gdyż wrzystkie poważniejsze taksacje zazwyczaj robili sami radcowie. Byłem z tego raczej zadowolony, gdyż wolałem zwiedzać kraj, poznawać ludzi i przyrodę niż siedzieć w mieście za biórkiem.

Zwykle na Niedziele jeździłem do Mińska do mojej narzeczonej a od czasu do czasu wpadałem do Syłgudyszek. Musiałem też wynaleźć odpowiednie mieszkanie zająć się umeblowaniem , wyszukaniem służby, tak aby wrzystko było już gotowe na początek Lipca. Ślub nasz był wyznaczony w dzień św Piotra i Pawła i miał się odbyć w Kościele na Złotej Gorce pod Mińskiem parafji w której leżała Ślepianka, rezydencja mego przyszłego szwagra Piotra Wańkowicza.

Rodzina Wańkowiczów należała do najmożniejszego ziemiaństwa Minskiego. była skoligacona ze wrzystkiemi wybitniejszemi rodzinami Litewskiemi Radziwiłłami, Tyszkiewiczami, Tyzenhauzami Woyniłłowiczami, Skirmuntami, Horwattami, Wołłodkowiczami , Mierzejewskiemi, posiadała też znaczne połacie ziemi.

Oprocz olbrzymiej fortune mego szwagra obejmującej około 25.000 hektarów mianowicie: Ślepiankę z częscią miasta Minska, Zazierz położony w pow Ihumeńskim posiadający wielką gorzelnię, Słobodkę i Lelum - Polelum z olbrzymiemi nietkniętemi toporem lasami [illegible] jego kuzynowie; Paweł Wańkowicz posiadał Szypiany obszaru również około 25.000 hektarów, i brat Pawła, Leon, który posiadał klucz Smiłowicki również około 25.000 hektarow. , Witold Wańkowicz, brat zdolnego, ale niesławnej pamięci Melchjora, miał Kalużyce obejmujące również około 6.000 hektarów, Stefan Wankowicz miał Zaświatoje w pow. Ihumenskim. Tesciowa moja Zygmuntowa Wańkowiczowa miała na własność Horodyszcze obszaru około 9.000, wreszcie Stanisław Wańkowicz który [illegible] [illegible] za żoną Oskierczanką z domu, wziął olbrzymie dobra Rudakowskie położone na Polesiu w pow. Rzeczyckim., mając oprócz tego rodzinną Peteszę pod Wilnem.

Po przedwczesnej śmierci mego teścia Zygmunta Wańkowicza którego nie znałem, wdowa Zofja z Mierzejewskich ujęła silną ręką zarząd Horodyszcza i ona to głównie przyczyniła się do stworzenia olbrzymiej fortuny swego syna a brata Juli Piotra Wańkowicza. Stało się bowiem tak że brat stryjeczny Zygmunta bezdzietny Jan Wańkowicz własciciel olbrzymiej fortuny umierając zapisał cały swój majątek Piotrowi, a to głównie ze względu na gospodarność mojej tesciowej , omijając innych krewnych

Teściowa moja oprocz Piotra miała jeszcze starszego syna również Jana, który zmarł w młodym wieku, oraz córki; Annę za Domańskim własćicielem dóbr Zaladzie w Słuczczyznie , Marję która wyszedłszy nieszczęsliwie zamąż za Dernałłowicza po paru

miesiącach musiała się z nim rozejść. Biedna Marynia była ofiarą tych naszych niestety zdarzających się małżeństw konwencjonalnych, gdzie o starającym się nie wiedziano zgoła nic, po za liczbą posiadanych hektarów. Najmłodszą była moja narzeczona Jula.

Szwagier mój jako młody człowiek stał się panem miljonowej fortuny bowiem stryj jego zapisując cały swoj fundusz na Piotra wziął od niego słowo, że nigdy w życiu nie ruszy kart i nie będzie uprawiał hazardu, do czego podobno jak wszyscy Wańkowicze miał żyłkę. Teściowa moja dostała w udziale rodzinne Horodyszcze. Gdy Piotr złożył umierającemu solenne przyrzeczenie że dopełni warunków, ten zdjął z palca pierścień z wielkim staroświeckim brylantem obowiązując, go aby zawsze nosił na palcu. Trzeba przyznać że Piotr okazał się świetnym administratorem i wzorowo prowadził ten olbrzymi warsztat, oczywiście nie brał do rąk kart, a pierścień z soliterem stale błyszczał na jego małym palcu prawej ręki.

Jesienią 1909 roku moja młodsza siostra Anielka z którą szczególnie byliśmy życi zaręczyła się z Tadeuszem Beliną z Królestwa. Anielka poznała Belinę na studjum rolniczym w Krakowie gdzie spędziła parę lat. Osobiście wiedziałem od kilku miesięcy o tym fakcie. W Listopadzie ubiegłego roku, byłem razem z Anielką zaproszony na wesele jedynej siostry Tadeusza Miji, która wyszła zamąż za Tadeusza Kozarskiego ziemianina z Wieluńskiego.

Przyznam się że mimo sympatji, którą miałem dla Tadeusza i przyznając mu wszelkie zalety byłem bardzo zaniepojony tym małżeństwem i wyborem mojej siostry. Po raz pierwszy znalazłem się w obcym sobie środowisku ziemian z Królestwa i wiele rzeczy mnie raziło. Po Syłgudyszkach Strzelce Wielkie i cała okolica zrobiła na mnie przygnębiające wrażenie. Zgoła nie mogłem sobie wyobrazic Anielki przeniesionej raczej z cieplarnianej atmosfery, z warunków wielkiego dobrobytu i komfortu na tę zapadłą zabitą od

deskami od świata biedną wieś.
Nie przeczę, że okolice Noworadomska, gdzieś pomiędzy Brzeźnica a Kłobuckiem, należą do ~~najmniej~~ najbiedniejszych, piaszczystych beznadziejnych części Kongresowki. Jak to mówią piaski, laski i karaski. Mimo historycznego, jednego ze starszych nazwisk w Polsce Belinów herbu Belina, którego bodaj ostatnim potomkiem był Tadeusz, starałem się Anielce wyperswedować te małżeństwo, sądząc że znajdzie dla siebie więcej odpowiednią partję wśród Litwinów, a nie w Królestwie.
Przyszłość wykazała żem nie miał słuszności. Belina okazał się nietylko wybitnym rolnikiem i świetnym administratorem i potrafił dokazać cudów, robiąc z piaszczystego majątku jeden z najbardziej prosperujących wzorowych a dochodowych gospodarstw. Sam zajął czołowe miejsce wśród ziemiaństwa jako nad wyraz człowiek prawy zacny i obywatelski, czego dowodem był wybór jego na posła na Sejm ustawodawczy, na prezesa Związku Ziemian, na Radcę Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego.
Ale w owym czasie byłem przygnębiony. Dołączyło się do tego moja litewska parafjanszczyzna, daleko sięgające uprzedzenie względem koronjarzy, wreszcie przyrodzony nam snobizm obszarniczy i ocenę ludzi nie według ich prawdziwej wartości, a według ilości posiadanych dziesięcin czy morgów. Byłem do Anielki mocno przywiązany a niepewność o jej los była powodem troski która mnie zatruwała w owym czasie.
Nie spodziewałem się zgoła, że po kataklizmach rewolucji bolszewickiej która zmiotła z powierzchni wrzystkie nasze litewskie wielkie fortuny, Strzelce Wielkie zostały i Mój Boże! cała nasza rodzina jak że często w chwilach krytycznych znajdywała przytułek pociechę i serce a wiele dobroci pod niskim gościnnym ~~dworem~~ dachem dworu Strzeleckiego

Prz wrzystkich swoich zaletach, Belina był człowiekiem nad wyraz skromnym, nie było w nim ani krzty tego snobizmu, który tak często jaskrawo występował na Litwie, gdzie przecie znaczna część ziemiaństwa ani historycznie, ani heraldycznie nie miała najmniejszych powodów do snobowania. Poprostu Belina, był zbyt wielkim panem aby snobować .... nie potrzebował tego.

Wyobrażam sobie, gdyby ktoś z naszych litewskich nouveau-richów w rodzaju Sianorzęckich lub Dernałłowiczów, miał szczęście nosić te nazwisko ... dopiero było by zadzieranie nosa .....
Nie zdawałem sobie wówczas dobrze z tego sprawy.

W czasie zimy teściowa moja mieszkała w Mińsku, zajmując wielki apartament na ulicy Podgórnej o kilka domów od kamienicy, w której mieszkał wuj Ignacy Witkiewicz. Zaręczyny nasze odbyły się w ścisłym gronie. W owych czasach narzeczonych obowiązywała jeszcze dość rygorystyczna etykieta a pozostawianie młodej pary sam na sam, nie było dobrze widziane przez starsze pokolenie.

Moja teściowa, choć bardzo wymagająca pod względem towarzyskim była na tyle rozumna, że pozostawiała nam zupełną swobodę.

Mogliśmy odbywać wspólnie długie spacery, chodzić z wizytami i nie zmuszano nas do siedzenia w salonie, pod lampą pod czujnym wzrokiem różnych rodzinnych cerberów.

Mimo swych wielkich zalet p. Zygmuntowa Wańkowiczowa, zwana często marszałkową, swoją sztywnością mroziła tych, którzy ją bliżej nie znali. Pamiętam pod wiosnę, tego roku pojechałem do Warszawy gdzie właśnie bawiła moja teściowa z Julą i Marynią.
W czasie śniadania w Hotelu Europejskim, spotkałem mego szwagra Władysława Żukowskiego w towarzystwie jego przyjaciela, barona Hartinga dyrektora Naczelnego Towarzystwa Kopalń w Zagłębiu, Dąbrowskim . Szwagier mój był prezesem Towarzystwa.

Skorzystałem ze sposobności aby przedstawić mojej teściowej Władysława a ponieważ siedział z Hartingiem poprosiłem ich obydwóch do naszego stołu.
Harting był to przemiły kompan[illegible] jak to mowią „ brat łata"

Zapewne przy śniadaniu opróżnili parę dobrych butelek wina, bo oboje byli w doskonałych humorach a po odbytym ceremonjale przedstawienia się mojej teściowej usiedli przy czarnej kawie . Harting będ ąc kuzynem Hartinga z Dukory przypomniał o swojej tam bytności i swoim zwyczajem opowiedział parę dykteryjek o Ihumeńszczyznie . Uszło by to zapewne mu bezkarnie, gdyby wspominając o oryginałach mińskich nie wspomniał powszechnie szanowanego Edwarda Woyniłłowicza. Rzecz oczywista, moja teściowa nie powiedziała ani słowa, ale tylko spojrzała na Hartinga tak lodowato , że mu łyżeczka wypadła z ręki.

Jakoś prędkośmy się pożegnali i wstali od stołu.

Wieczorem spotkałem mego szwagra w hallu hotelowym.

Co się stało z Hartingiem ? spytałem

Siedzi w rogu w sali jadalnej i przeprowadza kuracje-

- Jaką kurację ? spytałem.

- A no widzisz . powiada, że po tej lodowatej kąpieli w czasie śniada-
- nia tak się przeziębił, że bojąc się poważniejszych następstw ,
- pije już drugą butelkę konjaku .

Przyznam się że i ja zanim nie poznał lepiej mojej teściowej. Odwiedzając w Minsku moją narzeczoną, a będąc zazwyczaj proszony na obiad , po drodze wstępowałem do Hotelu i wypijałem dla animuszu i zwalczenia nieśmiałości sporą lampkę konjaku a czasem nawet i dwie.

Zdarzyło się jednak, że pewnego razu, moja opinja i mój los zawisł na włosku. Było to w Wilnie jakoś w pierwszych dniach wielkiego postu Moja teściowa przyjechała do Wilna z Julą i Marynią. Jedyną atrakcją były koncerty i różne inne dobroczynności połączone z występami mniej lub więcej znanych artystów.

Właśnie miał się odbyć koncert na rzecz Towarzystwa Dobroczynności na którym miał grać Hofman w przejeździe do Petersburga i znana śpiewaczka lwowaska Kruszelnicka.

Zajęliśmy miejsce w pierwszym rzędzie wśród całego wileńskiego " beau - monde'u składającego się przeważnie z Tyszkiewiczów-większych i mniejszych i całego gremjum ich adherentów, siedziała też " niezależna " księżna Michałowa Ogińska z nieodstępną jej siostrzenicą panną Anulą Skórzewską.

Miałem po prawej ręce moją narzeczoną a po lewej Pannę Anulę. W czasie antraktu stanąłem oparty plecami o parapet z twarzą zwróconą ku sali i opowiadałem coś moim paniom

Anim nie zauważył, gdy zbliżył się do mnie nasz daleki sąsiad pan Jan Naruszewicz z Pogołonia , ozdoba Malackiej parafji, w którego gościnnym domu nie raz spędzałem wesołe chwile.

Ujrzawszy mnie wycałował z dubeltowki i rzekł.

- Cóż ojcze Mieczysławie , jakoby zaręczyłeś się, winszuję,
- patrzaj nie wleź pod pantofel, a trzymaj krótko teściowę, nie zapominaj malackich stron, a choć u nas wielkiej fanaberji nie ma, ale zawsze co swoja motja , to swoja motja.

Przemówienie i ukazanie się zacnego pana Jana zmroziło dystyngowaną atmosferę pierwszego rzędu. Chcąc zwrócić rozmowy na inne tory spytałem co słychać w Malackiej parafji.

- Tak wrzystko dobrze - rzekł pan Jan , - ale ze mną Ojcze Mieczysławie tak powiem jedno słowo - „mauvais" !
- Co się stało Panie Janie - spytałem.
- Wyobraź sobie ojcze Mieczysławie, przyjechałem wczoraj do Wilna i poszedłem na kolację do Amelci / Pani Mecenasowa Bądzkiewiczowa / dała ona mnie doskonałego bigosu z gęsiną. Wyciąłem sobie jedną porcję , potem drugą , a dziś rano panie dobrodzieju -..... pfiu .... tu pan Jan zilustrował stan swego zdrowia machnięciem ręki zgóry na dół tuż przed krzesłem mojej teściowej.

Opatrzność czuwała nade mną, albowiem przyciemniono światła na sali, anratkt się skończył, rozpoczęła się druga część koncertu. Dzięki temu nie widziałem jakie wrażenie uczyniło opowiadanie Pana Jana na widzach pierwszego rzędu krzeseł. W każdym razie, tego wieczora atmosfera była raczej „lodowata" i ani dobra kolacja, ani wino ani moje " nadrabianie miną " nie mogły przełamać lodów.

Oczywiście nie poruszano dyskretnie tematu " malackiej parafji " dopiero w kilka miesięcy potem teściowa moja spytała kiedyś "en passant " co to jest ta malacka parafja i kim zaś jest ten twój przyjaciel"który się z tobą Mieczysiu , tak serdecznie całował."

Jedyną osobą dla której teściowa moja była bardzo wyrozumiała, był beztroski Tol Wańkowicz z Kalużyc , był on poniekąd wyjęty z pod reguły " dobrego wychowania " , bowiem nikt nawet, moja teściowa nie mogły by utrzymać w ryzach nieposkromionego temperamentu i języka Tola.

Siedzieliśmy wrzyscy w towarzystwie Tola w salonie mojej teściowej gdy służący zaanonsował wizytę pani Zuzanny Chełkowskiej Wołłodkówiczowny z domu, zwanej powszechnie panią " Zunią ".

Między innemi poruszony był temat wód , do których Pani Zunia wybierała się w czasie lata .

- Ach pani Marszałkowo , ja sobie wybrałem
- Wiesbaden , tam wody takie mocne i nagazowane, że na włosach za-
- raz pojawiają się bąbelki gazu- rzekła pani Zunia.
- Czy Pani zanurza się z głową w wodę ? - spytał zaciekawiony tym zjawiskiem Tol.

Nastała chwila milczenia.

-Tolu- rzekła moja teściowa , przynieś mi moją robótkę z sąsiedniego pokoju.

Pod koniec Kwietnia pani Zygmuntowa Wańkowiczowa wyjeżdżała zwykle do Horodyszcza i wracała dopiero późną jesienią z powrotem

do miasta.

Wyjazd do Horodyszcza położonego o pięćdziesią wiorst od Mińska był wielkim ewenementem w życiu rodziny. Już od dwuch tygodni panował w mieszkaniu ruch. pakowano rzeczy , zawczasu wysłano konie cugowe , stangreta i powozy, nadchodziły z Horodyszcza fornalki zabierające niezliczoną liczbę kufrów wreszcie wyruszała sama Pani Zygmuntowa . Kucharz i faucymer był na parę dni przed tem wysłany na wieś. Ostatnie dnie Teściowa spędzała zwykle u syna w Ślepiance położonej pod Mińskiem.

Po przejeździe Pani Zygmuntowej do Horodyszcza, nie mogłem już tak często widywać się z moją narzeczoną. Miałem urwanie głowy z urządzaniem mieszkania w Wilnie z interesami bankowemi wymagającemi stałych rozjazdów , musiałem zaglądać do Syłgudyszek, wreszcie do Petersburga.

Tem nie mniej co dwa tygodnie wyrywałem się do Horodyszcza wyjeżdżając z Wilna pociągiem wieczornym, rano byłem już na stacji Rudzieńsk gdzie czekały na mnie konie / lekka czwórka / i kawalerski powozik. stały w Horodyszczu cztery czwórki cugowe,

Przed południem zajeżdżałem przed rozległy drewniany dwór Horodyski otoczony staremi lipami , brzozami i tonący dosłownie w kwiatach. Moja szwagierka Marynia była zawołaną ogrodniczką .

Droga z Rudzieńska prowadziła na Zaświatoje należące do Stefana Wańkowicza / sławne ze swych zgonów bobrowych / Pan Stefan w owym czasie był głównym administratorem dóbr Berezynskich hr Gustawa Potockiego, a po jego śmierci, jego syna Maurycego.

Dalej na trakcie prowadzącym do Horodyszcza leżała Dukora . Była to piękna rezydencja . Nigdyś własnosc Sapiehów, potem Zawiszów wreszcie Ogińskich. Nazwa Dukora pochodzi od słowa " dux", jako że dobra te należały do rodzin mitrowanych.

Za czasów Ogińskich długo zarządzał dobrami Stanisław Moniuszko i Franciszek Osztorp. Ród Osztorpow pochodził ze Szwecji i przybył do Polski w XVll wieku. Po Ogińskich Dukora przeszła na Osztorpów, zaś Smiłowicze do Moniuszków W starych księgach widnieje, że ten podział nastąpił w r. 1791 przez wyciągnięcie losów.

Po Franciszku Osztorpie był w Dukorze syn jego Leon, ten piastował długo urząd gubernjalnego marszałka szlachty. Wystawił pałac w stylu klasycznym z kolumnami i balustradąmi, który przetrwał do do ostatnich czasów i stworzył w Dukorze ośrodek życia towarzyskiego on Mińszczyzny . Ostatni Osztorp żyć przestał w r. 1851, utonąwszy w czasie przeprawy przez rzekę Swisłocz w drodze z Mińska do Dukory. Na nim ród Osztorpów wygasł a Dukora z biegiem czasu przeszła do rodziny baronów Hartingów. Podobno marszałek Osztorp był bardzo gościnny i hojnie przyjmował braci szlachtę. Nie wiem czy był dobrym gospodarzem i panem dla swoich włościan, gdyż po śmierci jego w Mińszczyźnie krążył złośliwy wierszyk być może nie słusznie oczerniający pamięć Osztorpa.

" Po śmierci marszałka dnie się nowe zaczną
" Panowie pić przestaną , a chłopi jeść zaczną "

Ostatni z Hartingów dukorskich ożenił się już będąc w podeszłym wieku z pannym piękną panną Wandą Dernałowiczówną i zmarł w parę lat po ślubie, wdowa wyszła powtórnie zamąż za p. Ostrowskiego a rozwiodszy się z nim wyszła zamąż za swego kuzyna Dernałłowicza a po jego śmierci, osiadła w Repkach majątku położonym na Podlasiu.

Minąwszy Dukorę po przejechaniu 10 wiorst skręcało się we wsi Turec z gościnca na boczną drogę wysadzoną z dwuch stron staremi brzozami prowadzącą do Horodyszcza.

Z dziwnym wzruszeniem stają mi w pamięci te szczęśliwe dnie spędzane w miłej zacisznej atmosferze starego dworu i nasze spacery i wycieczki konne i nabożeństwa majowe prowadzone przez moją teściową i długie wieczorne rozmowy. Olbrzymi bór sosnowy łączył się z parkiem Horodyskim. Czuję zapach rozgorzałych w słońcu sosen zmieszany z aromatem kwiatów i kwitnących koniczyn.

Pamiętam któregoś wieczora, po skwarnym dniu, nadciągnęła burza, taka typowa burza " mickiewiczowska " , dom trząsł się w posadach od huku piorunów a cała okolica zdawała się co chwila obsypana ogniem błyskawic.

Około północy burza ustała

" Wreszcie umilkło wrzystko , tylko drzewa
" Szumią około domu i szemrze ulewa.

Nazajutrz wstał cichy , piękny dzień słoneczny. Powietrze i ziemia po wczorajszej ulewie pachniały całą gamą aromatów.

Po śniadaniu wyjechaliśmy z Julą konno. Jechaliśmy szerokim leśnym gościńcem, z trudem utrzymując w cuglach wystałe wierzchowce, z gałęci sypały się na nas jeszcze krople wody jako wspomnienie wczorajszego deszczu.

Jula chciała abym zobaczył Ubiel, leżący o 7 wiorst od Horodyszcza Była to siedziba Moniuszków i w Ubielu w r. 1817 urodził się nasz znakomity muzyk Stanisław Moniuszko.

Dwór wyglądał już bardzo zapuszczony i zaniedbany. Mieszkały tam wówczas jakieś krewne Moniuszków dożywając ostatnich lat.

Nie chcąc tym paniom robić kłopotu, nie zajeżdżaliśmy pod dwór a tylko zatrzymaliśmy się przed bramą.

Zauważyłem że moja teściowa i rodzina mojej żony unikała rozmowy o Moniuszkach. O przyczynach tego dowiedziałem się dopiero w kilka lat potem.

Nie znałem historji Moniuszków i wbrew temu com pierwotnie przypuszczał, rodzina ta nie była pochodzenia litewskiego.

Moniuszkowi przybyli z Wielkopolski na Litwę dopiero pod koniec XVIII wieku. Jakim sposobem ci przybysze w prędkim stosunkowo czasie doszli do olbrzymiej fortuny i skoligacili się ze znacznemi rodzinami ziemi Mińskiej jak z Wańkowiczami, Woyniłłowiczami jest to dla mnie tajemnicą.

Protoplasta litewskich Moniuszków Stanisław syn Józefa urodził się w r. 1734 w Smorgowie pod Goniądzem w Wielkopolsce i osiedlił się w młodym wieku w Smiłowiczach . Był w r. 1785 sądzią wojskowym W.X. L.. W r. 1785 ożenił się z Ewą Woyniłłowiczowną i miał z nią liczne potomstwo. Syn jego Czesław,ojciec muzyka osiadł w Ubielu i był ożeniony z Elżbietą Madziarską. Tu w Ubielu [illegible] w r. 1819 urodził się mu syn Stanisław sławny kompozytor i muzyk / 1819 - 1872 /

Wańkowiczowie byli spokrewnieni z Moniuszkami już to pośrednio przez Woyniłłowiczów już to bezpośrednio . Niestety nie posiadam materjałów rodowodowych Wańkowiczów. Tyle o Moniuszkach.

Musieliśmy z narzeczoną poskładać wizyty w sąsiedztwie u Leonów Wankowiczow w Smiłowiczach i w Jelskich w Ładach. Były to jedyne dwa domy w sąsiedztwie z któremi Horodyszcze utrzymywało stosunki sąsiedzkie, być może dlatego że na tych wielkich obszarach białoruskich sąsiedztwo było rzadkie o odległości wielkie

Leon Wańkowicz młodszy syn Marszałka Wańkowicza, pana olbrzymiej fortuny miał starszego brata Pawła osiadłego w Szypianach, sam zaś otrzymał w dziale klucz Smiłowicki obszaru około dwudziestu tysięcy dziesięcin. Leonowie byli małżenstwem bezdzietnym. Smiłowicze była to piękna pańska rezydencja o ładnym wewnętrznym urządzeniu, stylowych meblach, pięknej kolekcji obrazów i bogatym księgozbiorze. Pani Stefanja Leonowa Wańkowiczowa, córka hr Gustawa Broel Platera i /zdaje się Marji / z Hartingów z Giełwan, położonych w powiecie Wiłkomierskim na Litwie. Hr Gustaw był wybitnym znawcą muzyki i sam komponował. Dom Leonów był gościnny i uprzejmy, chociaż pani Stefanji, z powodu jej trochę złośliwego języczka, bano się i w sąsiedztwie i w rodzinie jak ognia. Niektóre domy między innemi i Horodyszcze przed zapowiedzianą wizytą pani Stefanji zawiązywały zwyczajem białoruskim supełek z czerwonej wstążeczki dla odczynienia uroku. Mimo swego egoizmu, jak to często się zdarza u małżeństw bezdzietnych Leonowie nie raz okazywali wiele serca i uprzejmości, a często nie szczędzili srodków na rożne cele społeczne i dobroczynne.

Mam wrażenie, że Leon siedział dobrze pod pantoflem małżonki a Smiłowicze były raczej przesiąknięte wielkością Platerów niż Wankowiczow. Na ścianach pięknej sali jadalnej w Smiłowiczach wsród portretów antenatow, naprożno byś szukał Wańkowiczów. Wrzystkie cztery ściany były zawieszone olbrzymiemi wizerunkami Platerow naturalnego prawie wzrostu - rzec można że ściany były wytapetowane Platerami: wielkimi, małemi, w zbrojach i bez zbroi, w krynolinach i bez krynolin, w robronach i bez robronów.

~~Wrzystko to patrzyło wzrokiem dość surowym na niezwyczajnego gościa a mimo doskonałej kuchni smiłowickiej odbierało mu apetyt i śmiałość natury więcej bojaźliwe.~~

Pod surowym wzrokiem antenatów patrzących ze ściany, nieszczęsny gość, mimo świetnej kuchni smiłowickiej, tracił apetyt i mimowolnie pgrążał się w " inferiority complex " o ile był z natury nieśmiały.

Przeciwnieństwem dystyngowanych Smiłowicz były Lady Jelskich. Był to obszerny drewniany dwór przypominający Horodyszcze. Było tam ludno, gwarno , gościnnie , mimo trudnych warunków i licznego rodzeństwa , które najstarszy nieżonaty syn po objęciu majątku musiał spłacać.

Moje bytności w Horodyszczu trwały krótko, bo już na Niedzielę wieczór musiałem jechać na Kolej do Rudzieńska aby nazajutrz rano być w banku.

Pod koniec Maja moje Panie wybrały się do Warszawy dla załatwienia rożnych spraw wyprawowych. Skorzystałem z kilku wolnych dni aby się z nimi spotkać. Po raz pierwszy byłem w Warszawie w czasie zielonego karnawału a miasto te w słońcu wiosennym, tonące w bukietach kwitnącego bzu wydało mi się śliczne . Będąc zaproszony na ślub mego kolegi z czasów berlińskich i nowego sąsiada Edwarda Meysztowicza z panną Teresą Czacką korzystałem ze sposobności ,aby się stawić wśród zaproszonych gości. Ceremonja ślubu odbyła się u Wizytek , Mszę świętą celebrował biskup i on powiązał stułą ręce młodych. Kościoł Wizytek był po brzegi zapełniony " towarzystwem " . Przyjęcie odbyło się w salach hotelu europejskiego, Rodzina paany młodej, była licznie reprezentowana przez Wołyn i Ukrainę . My litwini skromnie utonęliśmy wśród szeregu tytułowanych nazwisk Wołynia , Podola i Ukrainy. Wysłuchalismy szereg pięknie wygłoszonych klasycznych , gęsto przeplatanych łaciną i frnacuszczyzną mów.

W Warszawie zastałem moją przyszłą szwagierkę , żonę Piotra Gabryelę z Horwattów, siostrę Edwarda Horwatta z Narowli , oraz jej córkę przemiłą jedynaczkę Marjetę późniejszą Witoldową Wańkowiczową.

Marjeta była wówczas uważana za najpierwszą partję na Litwie jak pod względem fortuny tak i pod względem wychowania. Nie była piękna, ale była dorodna , miła, skromna, wesoła i mająca wiele zdrowego sensu. Trzeba przyznać Gabryeli, że potrafiła wychować swoją jedynaczkę praktycznie i rozumnie. Nie było w charakterze Marjety ani cienia snobizmu.

Poznałem się również z domem Wacławów Wańkowiczów.
P. Wacław Wańkowicz z zawodu inżynier , prowadził wielkie interesa techniczne w Rosji i miał renomowane biuro techniczne w Warszawie. Zajmowali oni piękny apartament w Alejach Ujazdowskich.

Moje panie, całe przedpołudnie spędzały na mieście załatwiając setki przeróżnych spraw związanych z wyprawą. Powóz od Konopczyńskiego zaprzężony w parę kurtyzowanych koni oczekiwał już od rana przed hotelem europejskim.

Wieczory spędzaliśmy w teatrach. Byliśmy między innemi w teatrze letnim na modnej wówczas operetce " Manewry Jesienne " w których Mesalka robiła furorę. . Anim się nie obejrzał, gdy nadszedł dzień wyjazdu. Panie wróciły do Horodyszcza a ja do Wilna.

Gdym wysiadł rano z pociągu pośpiesznego i znalazł się w Wilnie mimo miłego rażenia ktore odniosłem z pobytu w Warszawie od pierwsze chwili ogranęło mnie jakieś dziwne uczucie rozrzewnienia gdym stanął pod Ostrą bramą, aby swoim zwyczajem odmówić krótką modlitwę i pojechałem wdół ulicą Zamkową przez plac Katedralny do Georges'a

W parę dni po przyjeździe do Wilna pojechałem do Syłgudyszek Zastałem tam jak zwykle sporo gości. Była Pani Eugenjuszowa Dymszyna Z domu [redacted] panna Majoresco Rumunka córka b, premjera rumuńskiego , przyjaciołka mojej matki z córkami Muszką późniejszą hr Stanisławową Plater Zyberg oraz jej młodszą siostrą. Bawił też Józef Lutosławski , który świeżo wrócił z Anglji , wreszcie przemiły ks Rektor Gralewski.twórca i rektor zakładu wychowawczego pod Warszawą na Bielanach. Zakład ten zyskał wielkie uznanie wśród społeczeństwa . Dobór młodzieży był wyjątkowy . Wychowanie rozumne, nowoczesne wyrabiało one wolę , charakter , poczucie godności osobistej i dyscyplinę.

Strasznym ciosem dla ks Gralewskiego, było utonięcie kilku chłopakow w Wisle w czasie wycieczki do Płocka . Trafili oni na jakąs nieznaną głębie i wiry. Częśc chłopców rzuciła się do ratowania kolegów i ci zginęli . Naogół zginęło w owym wypadku 10 chłopakow.

Ta katastrofa wpłynęła na zdrowie ks Prefekta.

Wsród moich krewnych i znajomych byli [redacted] wdówcza obecni Tadzio Szemioth, syn Mieczysława Szemiotha z Giełgudyszek. Młody Mohl i jeszcze kilku z Litwy.

Spędziłem w Syłgudyszkach kilka miłych chwil , niestety nie bardzo mogłem skorzystać z towarzystwa ,gości z powodu nawału rożnych interesów gospodarskich. Asystowałem ks Gralewskiemu do Kukuciszek, gdzie odprawił [redacted] cicha mszą świętą w Kościele Parafjalnym

Przez Syłgudyszki przewijało się zwykle w okresie letnim wiele różnych ciekawych postaci ; artystów. pisarzy, polityków , członków towarzystwa krajoznawczego, archeologów , różnych anglikow włochow , rosjan , szwedów . Matka moja prowadziła szeroką korespon necję z szeregiem wybitnych osobistości jak Stead ,Matilda Serao etc

jakże bliskim , jak pięknym , jak drogim wydało mi się nasze rodzinne miasto w porównaniu z Warszawą. Czy jest ktoś w stanie opisać majowy czar Wilna, delikatną zieleń góry zamkowej i trzykrzyskiej na tle błękitu nieba , kaskady kwitnących bzów wylewających z za parkanów dworków na Antokolu na ulicę , mieniącą się w blasku słońca Wilję , aromat rozgorzałych w słońcu sosen na Zwierzyncu i Zakrecie, nawet dokuczliwe i stałe hałasy kawek gnieżdżących się na górze zamkowej wydało mi się jakieś swojskie i miłe .

Nie miałem czasu na te refleksje i tylko wciąż trapiła mnie myśl że mi jest tak dobrze , tak niesłychanie dobrze na świecie, że Bóg mi pozwolił pozostać w kraju a nie tułać się gdzieś po dalekich rubieżach czy miastach rosyjskich. że nie może być, aby takie szczęście mogło trwać długo.

W banku znalazłem sporo pracy do odrobienia a przed sobą kilka wyjazdów służbowych. Prace w banku zaczynały się o godzinie 10 rano i trwały z krótką przerwą południową do godziny 5 popołudniu. W czasie śniadania cała dyrekcja zbierała się zwykle w sali komisji szacunkowej, gdzie poczciwa Wincentowa, żona jednego z woźnych przynosiła pachnącą kawę z chrupiącemi rogalikami , i jakieś lekkie danie w rodzaju " befszteksu z cebulką " , zrazów lub jajecznicy. W czasie śniadania opowiadano wzajemnie wrzystkie plotki i nowości z całej Litwy i Białejrusi , jako że wrzystkie nowiny ziemiańskie jak w soczewce koncentrowały się w naszej komisji szacunkowej. Przyznam się że sam nie powtarzam plotek, ale tem nie mniej nie był bym mężczyzną / najwięksi plotkarze / gdybym nie lubił posłuchać nowinek z Kowieńszczyzny Mińszczyzny lub dalekiej

Mohylewszczyzny. Zazwyczaj na śniadaniach bywał p. Józef Montwiłł i czasem zwracał uwagę szanownym radcom aby w piątek , korzystając z nieobecności małżonek, nie wynagradzali sobie postnego domowego obiadu " bewsztyksem " bankowym, do czego szczegulnie niektórzy jak Jozio O'Rourke lub Jan Kiełłczewski mieli skłonność.

Obiad o godzinie 5 popołudniu jadaliśmy zwykle albo u Georges'a, albo w Klubie szlacheckim, który na lato przenosił się do prześlicznie położonego lokalu na zboczach góry Trzykrzyskiej, nad urwistym brzegiem Wilejki tuż przy jej ujściu do Wilji.

U Georges'a zwykle spotykalismy kilku przyjezdnych ziemian lub stałych bywalców gawędzących i popijających po późnym obiedzie

Można się było tam nasłuchać nietylko różnych towarzyskich nowin z prowincji, ale też i usłyszeć cos z nowych " ścisle męskich anegdot . Zwykle siadywali tam Henryk Broel Plater zwany Ombą , nudny jak flaki z olejem a skąpy jak harpagon Józef Biszewski z Łyntup, Włodzio Łęski, malarz Stanisław Siestrzencewicz , Leon Romer , ktoryś z przejzdnych Meysztowiczów lub Mineyków, i wuj Stanisław Łopaciński

Wieczorem szło się na kolację do Klubu szlacheckiego na wspaniałe wileńskie szparagi, rzodkiewkę, jakiej drugiej nie było na całym świecie , raki lub smażone sielawy.

Klub szlachecki słynął z doskonałej kuchni , służba ubrana we fraki liberyjnej piaskowego koloru ze złotemi guzikami, składała się przeważnie z dawnych kamerdynerów , była życzliwa , nieprzymuszona i jowialnie poufała z zachowaniem należnego szacunku i dystansu.

Na lato Wilno się wyludniało, bo większość pań wyjeżdżała na wieś . Pozostawali słomiani wdowcy, którzy jak mogli starali się wynagrodzić swoją samotność przesiadywaniem do późna przy ~~zielonych stolikach w klubie, lub zaglądaniem do " Szumana " jedyne~~

ielonych stolikach w klubie lub zaglądaniem do Szumana , jedynego na terenie wileńskim zakładu rozrywkowego, który niestety nadwerężył nie jedną fortunę na Litwie.

Co do mnie, to nie uprawiając gry w karty do której nie miałem ani zdolności ani upodobania, a nie lubiąc atmosfery kabaretów , korzystałem ze świetnego placu tenisowego klubu szlacheckiego, lub konno wyjeżdżałem za miasto zwiadzając cudne okolice podwileńskie. Udało mi się nabyć bardzo ładną hunterkę pochodzącą od Konpoczynskiego z Warszawy.

Zresztą nie miałem wiele czasu, gdyż co kilka dni w sprawach taksacyjnych musiałem wyjeżdżac na prowincje. Niedziele zaś i święta spędzałem albo u narzeczonej w Horodyszczu albo w Syłgudyszkach.

Musiałem też codzień zaglądac do mieszkania, które wynająłem w domu Parczewskiego na Nadbrzeżnej, gdzie trzeba było przeprowadzić gruntowny remont. Nie lada problematem było dla mnie umeblowanie mieszkania. Był to jeszcze okres wyrzucania ładnych starych mebli na strychy i zapełnienia domostwa jakąs obrzydliwą mieszaniną " wiener secession" i na swój sposob sparodjowanym Luis XVl. Nawet u sławnego Szczerbińskiego w Warszawie nie mogłem znaleźć nic co by mi się podobało.

Od młodości kochałem się w antykach i sądzę że mógł bym się stać dobrym antykwarjuszem. Jeszcze za czasów szkolnych w Petersburgu lubiłem włóczyć się po t. zw. Rynku Apraksinowskim gdzie mieściłyb się liczne składy różnych „bric a brac" wśród których można było wyłowić prawdziwe perły. Leżały tam zwalone na stosy: stara broń, makaty, dywany, całe kupy starych sztychów , rożne porcelany , fajanse, zaiste była to niewyczerpana skrabnica dla zbieracza . Drugim miejscem był rynek zwany " Tołkuczką " na prospekcie Zabałkanskim .

gdy sobie przypomnę, jakie prawdziwe skarby można było tam wynaleźć za jak to mowią " psie pieniądze " to nie mogę odżałować, żem zbyt mało korzystał w życiu z tej jedynej okazji .... nawet jeszcze dziś chociaż wiem że to wrzystko by przepadło.

Kiedyś za 15 rubli kupiłem parę Kuchenreiterów w pięknym mahoniowym wykładanym srebrem pudle, innym razem za 12 rubli nabyłem na " Tołkuczce " jakieś piękne wykładane srebrem, safjanowe pudło, nie wiedząc nawet co się w nim mieści. Był to ni mniej nie więcej sztucer skałkowy przecudnej roboty z dwoma lufami i wrzystkie mi przyborami, nie mówiąc o fantastycznej roboty prochownicy. Na kolbach były werznięte srebrne blaszki z herbami dworu austryjackiego. Za ten sztucer ofiarowywano mi w kilka lat potem około 300 rubli, a zdaniem znawców był to jakiś unikat który koniecznie chcieli nabyć do muzeum.

W pobliżu t. zw. Tołkuczki, stał dwupiątrowy wielki budynek otoczony składami był to może największy skład antycznych mebli i należał do starej żydówki Brajny Milman.

Jescze za bytnością w Liceum lubiłem zachodzić do starej Brajny i gawędzić z nię o meblach. i o dawnych ich właścicielach.

Meblując swoje mieszkanie, przypomniałem sobie Brajnę i dnia następnego wieczorem siedziałem już w międzynarodowym wagonie petersburskiego ekspresu.

Stara żydówka miała zapewne pamięć dobrą , bo przypomniała sobie młodego człowieka, który tak się interesował antykami. Gdym jej powiedział, że w związku z moim ożenkiem mebluję mieszkanie, żydowica

się rozczuliła i sama wybrała mi meble do gabinetu do sali jadalnej i salonu. Sprowadziłem te antyki do Wilna gdzie je stolarze wileńscy odnowili i odremontowali , pokrycie stosowne znalazłem u Gardowskiego w Warszawie . Przyznam się, że znawcy wileńscy a między innemi Henryk Plater i Leon Romer nie mogli się nadziwić, skąd mam te piękne meble . Oczywiście nie wyjawiałem mego sekretu.

Sporo czasu musiałem poświęcać Towarzystwu Rolniczemu . Prezesem był w owym czasie pan Hipolit Korwin Milewski, który będąc posłem do Rady Państwa przebywał prawie stale w Petersburgu , tymczasem zasięg działalności Towarzystwa znacznie się rozszerzył. Praca skupiała się przeważnie w sekcjach a więc Rolniczej , której byłem prezesem, hodowlanej której prezesem był Stanisław Wańkowicz. sekcji kołek rolniczych , wreszcie sekcji przemysłu domowego i gospodyn wiejskich której przewodniczyła moja najmilsza przyjaciółka do której gorąco byłem przywiązany Paulina Kończanka, córka pana Pawła dyrektora Wileńskiego banku ziemskiego a kolegi mego Ojca z Instytutu Szlacheckiego.

Sekretarzem po dawnemu był pan dr Kazimierz Dmochowski , mąż Emilji z Jeleńskich autorki " Dworu w Haliniszkach " i innych osnutych na tle życie ziemiańskiego powieści. Pan Kązimierz był zaciekłym endekiem i po ostatnim kryzysie w łonie towarzystwa Rolniczego nosił, się z zamiarem ustąpienia z tego stanowiska nie chcąc współpracować z " żubremi ", którzy stanowili większość rady , wreszcie mając osobistą ansę do pana Hipolita. Co prawda wszystkie te animozje, na terenie wileńskim odbywały się w atmosferze spokojnej i raczej życzliwej. Obroty naszego syndykatu rolniczego pod sprężystym zarządem pana Edmunda Bortkiewicza, wzrosły pięciokrotnie a znaczna część dochodu z Syndykatu

była przeznaczona na sekcję kołek rólniczych, które dzięki naszemu instruktorowi panu Zawiszy- Czarnemu rozwijały się bardzo pomyślnie. Skład Rady Towarzystwa odnowił się wciągnięciem do Rady młodych sił a więc:Karola Wagnera który się zapowiadał jako świetny gospodarz. Witolda Staniewicza póżniejszego Ministra Reform Rolnych i Rektora Uniwersytetu Wilenskiego. W tym czasie hr Wawrzyniec Puttkamer właściciel Bolcenik ofiarował około 100 hektarow ziemi przy stacji Bieniakonie na urządzenie pierwszej na Litwie stacji doświadczalnej pod egidą Wileńskiego Towarzystwa Rolniczego. Fundusze na urządzenie stacji i wzniesienie budowli częściowo dał sam ofiarodawca, częściowo Syndykat Rolniczy Wileński, wreszcie Ministerstwo Rolnictwa.. Kierownikiem tej młodej instytucji został Wacław Łastowski, który przez kilka lat pracy doprowadził tę pożyteczną instytucje do niesłychanego rozkwitu. Wacław Łastowski po otwarciu Uniwersytetu Stefana Batorego stał się jednym z wybitnych profesorów i wykładał uprawę roślin gospodarskich.

Z ustąpieniem pana Kazimierza Dmochowskiego sekretarjat Towarzystwa Rolniczego objął p. Seweryn Ludkiewicz póżniejszy minister reform rolnych i autor wielu prac w dziedzinie agrarnych. Współpracowałem z nim w redagowaniu pierwszego na Litwie pisma rolniczego . Wychodziło ono raz na miesiąc i było dość popularne.

Wsród tych rożnorodnych zajęć i ciągłych rozjazdów nie zauważyłem jak mijał czas i zbliżała się data naszego ślubu.

Ślub mojej Siostry Anielki, odbył się w Syłgudyszkach w domowej na prędce urządzonej kaplicy. Zjazd był liczny przybyło kilku krewnych Beliny z Królestwa , Był Witold / Tol / Wańkowicz

Zjechało się sporo osob krewnych i przyjacioł. Ze strony Beliny pamiętam byli kuzynowie jego Zarembowie, z naszych krewnych byli moi szwagierstwo Władysławowie Żukowscy, wuj Stanisław Łopaciński, Aleksander Chomiński, Tol Wańkowicz z Kałużyc, Stryj Stefan Jałowiecki, Kazimierz Gieczewicz, Edwardowie Meysztowiczowie, Steckiewiecze z Jedzienian, Mieczysławowie Szemiothowie. Burbowie, Stanisław Czapski z Berżan. ks Chiłkow Sąsiedzi nasi państwo Maleccy z Sidoryszek. Witoldowie Węsławscy. Kazimierzowie Bystramowie -około 40 oso

Dzień był cichy, słoneczny. Sylgudyszki tonęły w powodzi kwiatów Nasz zacny proboszcz łabonarski ks. Bądzewicz, przyjaciel naszego domu a szczegulnie mojej Matki, po odprawieniu mszy Świętej skojarzył młodą parę. Wieczorem młodzi odjechali do Królestwa, a pozostałe towarzystwo bawiło się do rana.

Po ślubie mimo zmęczenia, musiałem natychmiast wracać do Wilna, gdyż zostawało mi zaledwie 10 dni do dnia mego ślubu. Musiałem uporządkować interesy swoje, przygotować wrzystko na podróż poślubną umówić i osadzić w nowym mieszkaniu służbę, a więc służącego, służbę kuchenną ; pannę służące miała zawczasu wysłać Jula.

Przed ślubem zajechałem na parę dni do Syłgudyszek, aby się pożegnać z moją Matką, która nie mogła być z powodu zdrowia na ślubie i pojechała do Łaz, majątku mego szwagra Żukowskiego leżącego w pobliżu Ojcowa gdzie miała jednocześnie przeprowadzić kuracje.

Zabrałem z Syłgudyszek strzelca a jednocześnie młodszego pokojowego Józuka, wielkiego łobuza, ale też i wielkiego sprycíarza, aby był mi pomocnym i południowym pociągiem wyjechałem do Mińska. Ojca zostawiłem w Syłgudyszkach. Dnia następnego miał przybyć do Mińska.

Był to jeden z tych naszych cichych upalnych dni litewskich , kiedy to najprzyjemniej [redacted] bywa po dobrym chłodniku i kurczętach zasiąść gdzieś z dobrą książką w cieniu kwitnących lip i słuchać brzęku pszczół.

Gdy siadłem w Syłgudyszkach [redacted] na stacji do naszego wagonu ,a jak dziś pamiętam wyjrzałem na następnej stacji w Kiewnaliszkach przez okno wagonu, niewiadomo czemu ogranęło mnie jakieś niezrozumiałe a tak silne uczucia strachu przed przyszłością , żem musiał użyć całej siły woli, aby się opanować. Zazdrościłem w tej chwili każdemu, który pozostawał w swej wsi , swej parafji, który mógł oto zaszyć się wśród swoich drzew i czterech ścian swojej chaty.

[redacted] Był to jedyny w moim życiu atak [redacted] lęku , lęku nieposkromionego . Był to zapewne głos ostrzegający przed temi nieszczęściami, które w kilka lat później jak lawina zwaliły się na moją głowę. Dopiero na stacji kolei szerokotorowej w Święcianach odzyskałem równowagę i zanim dojechał do Minska uspokoiłem się zupełnie, choć mi ta chwila lęku pozostała w pamięci na całe życie.

Zatrzymałem się, jak zwykle, w hotelu Garni. Zastałem już liczne grono przyjezdnych. Nie przypuszczałem, że nasze wesele będzie tak liczne [redacted] , że tyle osób zbierze się do Ślepianki, majątku podmiejskiego mego szwagra [redacted] Piotra Wańkowicza. Wesele nasze wypadło w dniu Św Apostołów Piotra i Pawła, oprócz więc naszego wesela obchodzono imieniny Piotra .

[redacted]

W dniu ślubu wyjechałem od rana do Ślepianki, pozostawiwszy w hotelu mego Józuka , aby spakował walizki i odwiózł do Ślepianki.

O godzinie 10 rano niezliczony korowód powozów karet, dorożek stał przed kosciołem na Złotej Gorce . [redacted] Kosciół

był zapełniony po brzegi zaproszonemi gośćmi i tłumem ciekawych.

Mszę świętą celebował ks prałat Michalkiewicz, późniejszy biskup wileński. Nie będę poruszał tego co się dzieje w duszy człowieka, gdy Celebrans odczyta słowa przysięgi i zwiąże młodym ręce stułą. Są to uczucia tak osobiste, tak dziwne, nie wiem czy wielu przed ołtarzem uświadamia sobie, że wstępuje na nową nieznaną drogę życiową, wymagającą oprócz miłości , wiele serca, wiele równowagi, wiele poświęceń jak z jednej tak i z drugiej strony, że się odwraca bezpowrotnie karta w ich życiu, że od pierwszych kroków, od pierwszych kilku dni zależy czasem całe szczęście małżeńskie. Ach gdyby każdy zobaczył w tej chwili wizję swego przyszłego życia, to przypuszczam że większość w ostatniej chwili uciekła by z przed ołtarza.

Co do mnie, to nie miałem najmniejszych złych przeczuć. Miałem obok sibie kobietę, którą kochałem i byłem kochany, byłem młody, pełny sił, byłem materjalnie zabepieczony , miałem stanowisko i pogodnie i wesoło patrzyłem w przyszłość. Życie mi się uśmiechało.

Moją przywarą życiową było " domatorstwo ". Lubiłem dom, spokój lubiłem przyjazne, kochające otoczenie. Stałem więc na progu spełnienia moich marzeń.

Ceremonja ślubna trwała dość długo .

Gdyśmy wreszcie pod rękę odeszli od ołtarza z trudem dobarliśmy do drzwi kościelnych, nie było bowiem końca uscskom, życzeniom, uściskom dłoni . Wreszcie siedliśmy do karety zaprzęgniętej w czwórkę rosłych karosjerów ślepiankowskich i znaleźliśmy się na leśnej drodze. Otworzyliśmy okna od karety. Buchnęła na nas fala gorącego przesiąkniętego żywicą upalnego powietrza.

po krótkiej przejażdce stanęlimy przed dworem ślepiankowskim.

Były to jeszcze czasy w których obowiązywały dawne zwyczaje towarzyskie, było więc Błogosławienstwo, był chleb i sól, [illegible] [illegible] tradycyjne szampan i picie zdrowia młodej pary, Nie potrzebuję dodawać że wrzyscy byliśmy w strojach galowych [illegible] a więc panowie we frakach panie w sukniach wieczorowych [illegible]. Byłem trochę oszełomiony [illegible] liczbą osób [illegible] z któremi musiałem trącac się kieliszkiem. [illegible]

W oczach migało od wańkowiczowskich brylantów, szmaragdów, rubinow ozdabiających niewieścią część rodziny.

Po tym wstępie roznoszono tace ze starką i kanapkami, poczem towarzystwo przeszło do sali jadalnej. Nawet wielka sala [illegible] Ślepianki nie mogła pomieścic wrzystkich zebranych gosci, których naliczyłem około 100. Starałem się panować nad sobą, ale byłem bardzo wzruszony i z niecieplliwością czekałem końca galowego obiadu z niezliczoną liczbą dań, przemówien i toastów. W owych czasach przemówienia były poważne, trochę moralizatorskie, [illegible] progarmowo polityczne przepełnione cnotliwością, hasłem utrzymania ziemi rodzinnej, wrzystko w nich było oprocz tego co zdobi wrzystkie przemowienia angielskie mianowicie " sence of humor". Tem nie mniej wysłuchaliśmy w skupieniu mowy prezesa Edwarda Woyniłłowicza, [illegible] wuja Ignacego Witkiewicza, Seweryna Czetwertynskiego, prezesa Centr Tow Roln Królestwa, przemawiał też i mój Ojciec ze zwykłym sobie poważnym stylem. naturalnie nie obeszło się bez wzmianek co do starożytności rodowej i połączenia dwuch mitr. Wreszcie programowa mowa Romana Skirmunta wygłoszona jak zawsze w przepięknej formie [illegible] a głosząca koniecznosc solidarnej współpracy ziemianstwa uwieńczyła długi szereg toastow, toastem " kochajmy się ".

po skończonym obiedzie jak zwykle w takich okolicznościach była fotografja , przyczem nie mało czasu zajęło ustawienie grupy składającej z tak licznej liczby osób.

Oboje byliśmy bardzo wyczerpani i zmęczeni i z radościę znalezlismy się w otwartym powozie, który nas odwiózł na kolej.

Mieliśmy bardzo mało czasu i ledwośmy się nie spóźnili na pociąg wieczorny, którym mieliśmy dojechać do Wilna z tem, aby przesiąść się na expres Petersburg Berlin.

Rano byliśmy w Berlinie a dnia następnego wieczorem siedliśmy do expresu Berlin Trellborg Stockholm.

Umyśliliśmy zrobic sobie i innym niespodziankę i zamiast utartych szlaków podróży poślubnych via Paryż Nizza , Wiedeń, postanowiliśmy przejechać Szwecję a potem dostać się do Bergen i tam siąść na statek turystyczny płynący fjordami aż do Nord Cap.

Z przyjemnością znalazłem się w Szwecji, którą poznałem za czasów mojej młodości. Spędziłem kilka miesięcy na praktyce w fabrykach w Jönköping a tyle naopowiadałem Juli, że koniecznie chciała poznac tę miejscowość. Z Jonköping siedliśmy na statek płynący kanałem Gotha do Stockholmu.

Nie będę opisywał uroku tego przejazdu wsród zieleni kwitnących z obu stron bzów . W niektórych miejscach kanał przechodził sztucznym wysoko położonym korytem, tak że z pokładu statku widać było w dole zielone łęgi i stada pasących się krów.

W Stockholmie zatrzymaliśmy się w Grand Hotelu. Zastaliśmy tam listy od rodziny, a między innemi od Piotra, w którym mnie prosił abym wybrał dla niego stadnika rasy szwedzkich holendrów słynących ze swych wysokich zalet i odporności.

Zaopatrzyłem się zawczasu w czasie bytnosci w Petersburgu w list polecający od Emanuela Nobla, przyjaciela naszej rodziny i skorzystałem z tego aby zwiedzić z Julą wspaniałą oborę

w majątku należącym do rodziny Noblów położonego pod Upsalą. Wybrałem tam rocznego byczka, którego poleciłem odesłać via Niemcy do Mińska. Stadnik ten, okazał się wspaniałym okazem, który znacznie podniósł oborę mego szwagra.

Byliśmy zadziwieni olbrzymią ilością zabytków polskich zagrabionych przez Szwedów w czasie ich najazdów na Polskę w muzeum historycznym w Upsali i w katedrze upsalskiej.

Niestety musieliśmy się liczyć z czasem, gdyż miałem tylko miesiąc urlopu, który mnie dyrekcja banku udzieliła dość niechętnie, gdyż to nie było we zwyczaju, aby w pierwszym roku po wyborach radca korzystał z urlopu. Musiałem się z tem liczyć, tembardziej że pan Józef Montwiłł mimo swojej tolerancji, gdy chodziło o obowiązek był surowym , mnie zaś chodziło o zachowanie mojej dobrej na przyszłość opinji.

Czas tymczasem uciekał. Zanim przybiliśmy do Bergen minęło prawie dwa tygodnie, podróż zaś Fiordami do Nordcap i z powrotem zajmowała prawie trzy tygodnie. "Nolens volens" zmuszeni byliśmy skrócić naszą podróż i dopłynęwszy do Trondheim przesiąść na statek płynący z powrotem do Bergen.

Niezapomniane są te wieczory i noce północne , gry kolorów nieba i morza. i ten dziwny, powiedziałbym mistyczny spokój w którym tchnie o tej porze roku Norwegja.

Poznaliśmy na pokładzie statku parę ciekawych osób. Między innemi poznałem starszego norwego, który był prezesem sądu. Byłem zdumiony gdy mnie między innemi powiedział że w ciągu dwudziestu kilku lat swego urzędowania nie sądził ani jednej sprawy połączonej z kradzieżą.

Gdym, w kilkanaście lat potem, będąc pierwszym Delegatem Generalnym i Ministrem pełnomocnym w Gdańsku przyjmował pierwszą delegację Norweską do Polski z Ministrem Ejde na czele, w swej mowie powitalnej wspomniałem ten fakt o niezrownanej uczciwości narodu Norweskiego.

Zbliżał się kres moich wakacji . Z Bergen, które o tej porze jest dziwnie urocze wróciliśmy via Oslo i Kopenhaga do Berlina.

W jakże innych warunkach znalałem się w Bergen jesienią pamiętnego 1939 roku.

W Berlinie zatrzymaliśmy się kilka dni dla zrobienia zakupów. " Musisz mnie Miechu pokazac lokale berlinskie w których za młodu tak lumpowałes " Oczywiście wybrałem najniewinniejszy, bo Winter Garten [illegible] Była rozczarowana, bo nic gorszącego nie zobaczyła, a przecież tyle jej naopowiadano zupełnie niesłusznie o tem " co Miech za młodu dokazywał w Berlinie".

Z Berlina [illegible] udaliśmy się prosto do Syłgudyszek, aby zobaczyć się z rodzicami i w parę dni wrócilismy na 1 Sierpnia do Wilna.

Mieszkanie zastaliśmy przygotowane na nasz przyjazd , czekała nas dobra kolacja, pokoje pełne były kwiatów, służący w liberji , słowem pierwsze wrażenie było dobre. Juli bardzo się spodobało urządzenie naszego niewielkiego mieszkanka, które już po roku, musielismy zmienić wynająwszy apartament na parterze w domu hr Józefa Tyszkiewicza o kilka kroków od naszego dawnego mieszkania.

Pod koniec Sierpnia [illegible] po tem, jakesmy się już na dobrze zadomowili Jula wyjechała na kilka tygodni do matki do Horodyszcza , ja musiałem byc w Syłgudyszkach, aby obsadzić nowego ekonoma i zająć się urządzeniem dworu w Kukuciszkach, gdzie mieliśmy z Julą [illegible]-

zamieszkac . Byłem zawsze przeciwny zamieszkiwaniu w Syłgudyszkach razem z rodzicami, gdyż zwykle z takich kombinacji nic nie wychodziło dobrego. Dwór w Kukuciszkach drewniany, rozłożysty, był zbudowany pod koniec 18 czy na początku 19 w. przez ówczesnych właścicieli baronów Franków.

Wymagał on gruntowanego remontu . Musiałem się tem wrzystkiem zawczasu zająć. Zaledwiem wrócił do Wilna, gdy w parę dni po przyjeździe musiałem wyjechać w interesach bankowych. Tym razem losy rzuciły mnie aż na głęboką Białoruś do Berezyńskich dóbr hr Maurycego Potockiego, które odziedziczył po ojcu swym hr Auguście Potockim . Dobra te ongiś zajmowały obszar 150.000 ha.

Niestety hr August nie będąc sam dobrym administratorem stracił połowę tej fortuny. Dobra berezyńskie składały się z Berezyny Pilawskiej położonej w dolnym biegu Berezyny i Berezyny Luboszańskiej zajmującej północną część tych olbrzymich OBSZARÓW. Berezyna Pilawska została sprzedana niejakiemus Helmersenowi zniemczałemu Łotyszowi, który doszedł do znacznej fortuny kupując majątki leśne.

Hr August Potocki był sądzę bardzo człowiekiem łatwowiernym i nie grzeszył umiejętnością w dobieraniu sobie administracji. To też poleganie na administracji składającej się przeważnie z warszawskich żydów adwokatów jak Konic lub różnych wywiałków ziemiańskich z królestwa doprowadziło Berezynę do opłakanego stanu. Dopiero pod koniec życia swego, hr Potocki powierzył administrację Berezyny zacnemu Stefanowi Wańkowiczowi, który był świetnym administratorem i potrafił ocalić resztę Berezyny i zaprowadzić wzorowe gospodarstwo leśne. Stefan Wańkowicz był ożeniony z panną Bohuszewską z Mohylewszczyzny znaną badaczką i

przyrody białoruskiej. Nazwano ją " Wierozubem " od nazwy ryby znajdującej się w Berezynie o której wspomina w swej powieści w Puszczy" Józef Weyssenhof. Stefanowie Wańkowi-"wiczowie mieli czworo dzieci, syna Maurycego, bardzo obiecującego młodego człowieka, który zginął w r. 1918 jako ułan Krechowiecki w potyczce z bolszewikami. Córki Maniutę , która wyszła nieszczęśliwie zamąż za p. Jankowskiego , Ziutę późniejszą Tadeuszową Romerową, żonę ambasadora polskiego w Tokjo i Ministra Spraw Zagranicznych rządu emigracyjnego w Londynie w r. 1945, wreszcie najmłodszą córkę zamężną za hr Rostworowskim.

Droga prowadziła z Borysowa traktem na Hliwin należący do Świdów na Słobodkę mego szwagra , na Kalużyce Tola Wankowicza . Zatrzymałem się po drodze w Kalużycach u Tola, aby dać wypocząć koniom i dopiero na wieczór stanąłem przed czworokątną budowlą położoną nad samą Berezyna, zwaną pałacem , gdzie mieszkał jako administrator Stefan Wańkowicz.

Miałem do oszacowania około 75.000 dziesięcin / ha / rozciągnętych pasem wzdłuż Berezyny . Figura dóbr Berezyńskich przypominała trochę figurę obu Ameryk. i składała się z kilkunastu rewirów leśnych z których do najpiękniejszych należały rewiry Kliczew i Jagódka.

Spędziłem w Berezynie około tygodnia pracując w terenie od świtu aż do późnego wieczora. . Stefan Wańkowicz był wybitnym myśliwym i mistrzowsko wabił jarząbki. Jemu tu Morys Potocki zawdzięczał ów wspaniały zwierzostan kilkaset łosi , kilkadziesiąt niedźwiedzi nie mówiąc o drobnej zwierzynie . Puszcze berezyńskie sławiły się też ilością głuszców, choć mam wrażenie ustępowały pod tym względem puszczom Słobodki i Lelum Polelum należącym

do mego szwagra. Załatwiwszy jeszcze kilka spraw w okolicach Mińska, skorzystałem z paru dni wolnych, aby zajechać do Horodyszcza. Pod koniec Września Żona moja wróciła do Wilna. Jako młode małżeństwo musieliśmy poskładać wizyty. Nasze stosunki towarzyskie były nieco skomplikowane z powodu nieporozumienia dwuch zresztą spokrewnionych rodzin Tyszkiewiczów i Wańkowiczów.

Powodem do zerwania wzajemnych stosunków towarzyskich było postępowanie braci Stanisława Wańkowicza: Ottona i Aleksandra. Głównym winowajcą był Aleksander. Oboje bracia byli nieposkromieni hulacy, gracze i pijacy i przesporzyli niemało wstydu całej Wańkowiczczyznie, ale postępowanie i zachowanie Aleksandra Wańkowicza w pewnej delikatnej sprawie z Antonim Tyszkiewiczem, było nie tylko nad wyraz nie gentlemańskie ale do pewnego stopnia podłe. Wreszcie paszkwil napisany przez Aleksandra Wańkowicza i wydany po rosyjsku, jako broszura, którą rozsyłał proszonym i nieproszonym wzburzyły do reszty opinję publiczną.

W owym czasie w stosunkach towarzyskich w Wilnie Tyszkiewicze grali pierwsze skrzypce i mieli za sobą większą część społeczeństwa wileńskiego które również zerwało swoje stosunki towarzyskie z Wańkowiczami. Poślubiwszy Wańkowiczównę musiałem, siłą rzeczy, działać bardzo ostrożnie, aby nie narazić moją, w niczem niewinną Żonę na jakieś afronty towarzyskie. Bywaliśmy wiele tylko w tych domach w których wpływ Tyszkiewiczów nie był krępujący, a które grupowały się koło osoby Księżnej Michałowej Ogińskiej, od pierwszego dnia okazała ona nam wiele sympatji i zrozumienia. Osobiście bardzo żałowałem, że musiałem wyrzec się bywania w Landwarowie u hr Władysławów Tyszkiewiczów, dla których miałem wiele sympatji i przyjaźni, a szczególnie dla hr Marji Tyszkiewiczowej z domu Lubomirskiej. W czasie moich późniejszych katastrof życiowych doznałem od niej zarówno jak

i od księżnej Michałowej Ogińskiej wiele serca i pomocy moralnej.
Z domów z ktoremi nawiązaliśmy stosunki towarzyskie byli [redacted] hr. Józefowie O'Rourkowie, Pan Paweł Konc-za z corką Inką, Hilarowie Łęscy, Józefowie Mineykowie, Pani Mieczysławowa Jeleńska, Aleksandrowie Czapscy, Stanisławowie Kognowicczy. Waldemarowie Weyssenhofowie, koło te w parę lat zwiększyło się, [redacted] gdyż w Wilnie osiedli Aleksandrowie Meysztowiczowie, [redacted] Władysławowie Meysztowiczowie, Władysławowie Mineykowie Aleksandrowie hr Ilińscy Kaszowscy,
Odwiedziliśmy moich krewnych Dr Węsławskich, Michałów Węsławskich, Konradów Mackiewiczów, oraz pp. Franciszków Dmochowskich, Panią Hipolitową Korwin Milewską / t. zw. senatorową / pp. Edmundow Bortkiewiczów, wreszcie gubernatora Lubimowa z żoną, oraz [redacted]ka Szymonow Krasowkich [redacted] P. Krasowski po śmierci marszałka Gustawa Brol Platera, został mianowany guberjalnym [redacted] marszałkiem szlachty gub Wileńskiej.
W Wilnie zastałem moich kolegów z Arkonji: Kazia Krzyżanowskiego inżyniera architekta, Księdza Zygmunta Lewickiego wreszcie Bogdana Żagiella.
Musieliśmy więc prowadzić dość ruchliwe życie towarzyskie [redacted]
Na zimę przyjeżdżali do Wilna Edmundowie Niezabytowscy i jeszcze kilka rodzin tak że krąg naszych znajomych coraz się rozszerzał.
Do tego należy dodać że raz wraz przyjeżdżał ktoś ze wsi już z naszych krewnych już to znajomych i odwiedzał nas.
[redacted] Jakoś pod koniec Października przyjechała do Wilna na parę tygodni nasza szwagierka Gabryela Piotrowa Wańkowiczowa z córką Marjetą.

W czasie jej bytności poruszyliśmy z nią sprawę Aleksandra Wańkowicza i oboje przyszliśmy do przekonania, że chociaż rodzina Wańkowiczów bardzo czyn Aleksandra potępiła, a nawet większa część w tej liczbie moi szwagierstwo i moja teściowa zerwali z nim wszelkie stosunki, to tem nie mniej, wina była po stronie Wańkowiczów i z tej strony powinna była wyjść inicjatywa przełamania lodów.

Oboje z Gabryelą byliśmy raczej stroną neutralną i doszliśmy do przekonania, aby dyplomatycznie się dowiedzieć jaka będzie reakcja Landwarowa gdybyśmy się tam wybrali z wizytą.

Od ustosunkowania się Landwarowa zależała naszym zdaniem możliwość nawiązania na nowo stosunków z rodziną mego szwagra.

Inicjatywa nasza była przyjęta nadspodziewanie przychylnie i oboje z Garyelą otrzymaliśmy zaproszenie na podwieczorek do Landwarowa. Byliśmy przyjęci przez hr Marję nad wyraz uprzejmie. Spędziliśmy tam parę miłych godzin i pierwszym pociągiem wróciliśmy do Wilna. Na odjezdnem hr Marja zapowiedziała, że będzie rewizytowac Gabryele i zaprosiła mnie z Julą jako młode małżeństwo do Landwarow

Wrzystko się zakończyło pomyślnie i od tego czasu stosunki zostały nawiązane, a dom nasz wyjęty z pod bojkotu towarzyskiego, co nam znacznie ułatwiło życie towarzyskie w Wilnie.

W związku z przyjazdem Gabryeli i Marjety urządziliśmy pierwsze większe przyjęcie, podobno bardzo udatne, gdyby nie szczupłość mieszkania, które było natłoczone po brzegi gośćmi. Urządziliśmy zimny bufet a napoi było wbród, pękła przy tej okzaji nie jedna butelka szampana. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności Ojciec mój w tym czasie bawił w Wilnie i był obecnym na przyjęciu.

# DROGIE CICHE WILNO

Życie płynęło nam pogodnie i spokojnie. Wieczory spędzałem zwykle w domu. W owym czasie pisywałem dość dużo do Kurjera Litewskiego i do gazety rolniczej. Sporo czasu zajmowało mnie kolekcjonowanie materjałów które skrzętnie zbierałem w czasie moich podróży po kraju . Byłem zamiłowanym fotografem i począwszy od lat studenckich zbierałem swoje zdjęcia. Był to poprostu pamiętnik mój w formie zdjęć fotograficznych których miałem całe albumy. Z każdej mojej wyprawy na prowincję, przywoziłem zawsze kilka tuzinów zdjęc, które sam wywoływałem i odbijałem. Mając pewne zdolności do rysunku, robiłem też w ołówku szkice przeróżnych ciekawych rzeczy, które oglądałem. Były tam rysunki mebli, oręża, wypisy różnych ciekawych dokumentow. krzyże przydrożne, czasem szkice krajobrazów , drzew, legowisk niedzwiedzi lub żeremi bobrowych. Zebrałem już pożądną bibljotekę, która się wciąż powiększała. Mogłem też po części nasycić moj głod zbieracza włócząc się po rożnych zakątkach dawnego Wilna i wyszukując rożne ciekawe pamiątki. Nistety w Wilnie trudno już było coś znaleźć, jeżeli chodziło o antyki, sztychy lub portrety . Wilno leżało na wielkiej drodze z Zachodu do Petersburga i przejezdni antykwarjusze wywozili z Wilna wrzystko co było cenniejszego.

Po za tem Wilno było również miastem zbieraczy, a z Henrykiem Platerem lub Leonem Romerem konkurencja była trudna. Mieli oni swoich agentów wśród służby i umieli wyłowić przy pierwszej okazji jakiś cenny antyk. Natomiast wsród handlarzy starych książek, wyłącznie żydów, zamieszkujących wąskie uliczki w pobliżu ulicy Sto Jańskiej można było bez konkurencji nabywać za darmo bardzo cenne stare księgi dokumenta. Udało mi się zebrać pokazną kolekcję Volumina Legum, nabyłem za kilkanaście rubli białego kruka mianowicie „Biblje Radziwiłowską nie mowiąc o Wujku i szeregu innych dawnych wydawnictw.

Wychodziliśmy z Julą z domu po poźnym obiedzie i włoczyliśmy się po starym mieście.

Lubiłem te jesienne wieczory, szczegulnie owe wieczory księżycowe z płynącemi po niebie pędzonemi wiatrem chmurami z po za których od czasu do czasu przezierało światło miesiączne.

Gdym przechodził ulicą Wielką w stronę Ostrej bramy tą ulicą skąd rozchodziły się trakty na Lidę, Nowogródek, Oszmianę czegoś zawsze brzmiały mi w uszach pierwsze strofy " Grażyny.

Coraz to zimniej, wiatr połnocy chłodzi
Na dole tuman a miesiąc wysoko
Pośród niknących czarnych chmur powodzi
We mgle nie całe pokazywał oko
I świat był naksztaŀt gmachu ogromnego
A niebo nakształt dachu sklepionego.
Księżyc jak okno którędy dzień wchodzi.
Zamek na barkach Nowogródzkiej góry
Od miesięcznego brał pozłotę blasku
....................................

Za owych czasow żył jeszcze w Wilnie i miał swoj sklep Kinkulkin, wnuk owego Kinkulkina dawnego księgarza do którego zapewne nie raz zaglądali i Mickiewicz i Słowacki i Śniadeccy i Lelewel.
W każdym razie Kinkulkin lubił długo i szeroko opowiadać o tem co słyszał od swgo Ojca, że pan Słowacki to on był bardzo hojny , że pan Mickiewicz to jemu było bardzo ciężko z pieniędzmi, a pan Lelewel to bardzo lubił targować się . Pan Śniadecki to un był bardzo wielki pan, sam nigdy książek nie brał do ręki a trzeba było jemu wrzystko na kwatere przynieść.

Pozostały jeno wspomnienia domu w którym podobno mieszkał Mickiewicz i domu w ktorym mieszkał ojczym Słowackiego prof. Becu

Z pustego okna kamiennej arkady
Przez lat minionych zamierzchłe wierzeje
Smutnego Julka cień wygląda blady
W okryte liśćmi jaszuńskie aleje......

Or - Ot

Drogie , ciche Wilno , gdy myślą przbiegam twe stare ulice Zamkową Sto Jańską, stają mi w oczach dawne znajome od dzieciństwa szyldy. Oto skład obuwia Kossowskiego - wileńskiego Kilińskiego ubranego nie inaczej jak w czamarze , który ku przerażeniu ojców odsyłając obstalowane przez żony lub córki pantofelki zwykł był wkładać do środka różne zakazane broszury patrjotyczne , tuż obok widzę zakład p. Jaroszyńskiego wysokiego przystojnego a bardzo dystyngowanego pana z piękną czarną brodą , który ubierał wrzystkie posażne panny z Litwy i Żmudzi, a przykładem swego sąsiada lubił zakładać za podszewkę lub do rękawów literaturę narodową . Oto zakład fotgraficzny Czyż - Frères / fotgrafowanie się u Czyża należało poniekąd do obowiązków patrjotycznych, jako że jego rodzina spokrewnioną była z rodziną Tadeusza Kosciuszki/ Z tego to Atelier rozchodziły się po całym kraju owe tak dobrze nam znane, lśniące wizerunki naszych litwinek opartych w zadumie o postument, lub część kolumny na którym stał zawsze ten sam wazon sztucznych kwiatów , lub usadowionych na fotelu z albumem w ręku z buzią " w ciup " a wzrokiem utkwionym w przestrzeń, a raczej w samego pana Czyża, trzymającego przez kilkanaście długich jak "wieczność" sekund ofiarę swego kunsztu przed objektywem.

Widzę renomowany w owych czasach zakład krawiecki p. Stypułkowskiego , który w porze karnawałowej przeistaczał młodych niedźwiedzi litewskich w kraciastych , pasiastych lub wyfrakowanych anglików, rodem z pod Oszmiany lub Wiłkomierza, a do kieszeni uszytego ubrania wkładał ozdobną kartkę z życzeniami"wesołego karnawału i powodzenia w zamierzaniach sercowych." Oczywiście na kartce figurował pulchny różowy amorek trzymający w ręku strzałę.

A ten tak wrzystkim wilnianom pamiętny wielki sklep i skład naczyń wszelkiego użytku i wyrobu Odyńca, gdzie można było nabyć wrzystko os filiżanki saskiej i samowaru aż do ..... " passons le mot ".

Oto księgarnia Zawadzkiego, która jakoś w latach 192o święciła jubileusz stuletni egzystencji firmy.

Tego naszego handlu katolickiego nie mogły zniszczyć ani rosyjska ani żydowska konkurencja.. Wrzystko tu było solidne , sumiennie odważone w dobrym gatunku - słowem nie było tu tandety.

A rzemieślnicy wileńscy. Takich stolarzy, szewców, zdunów, tapicerow, introligatorów , zdunów, trudno było gdzieś znaleźć po za Wilnem

Żyło całe te towarzystwo w zgodzie , uczęszczało regularnie do kościoła, należało do bractwa różańcowego , popijało niezgorzej, a przy okazji rozdawało przybyłym wieśniakom polskie elementarze lub broszurki patrjotyczne.

Ten element rzemieślniczy i robotniczy, był opoką o którą rozbijały się najlepsze chęci rusyfikacyjne gubernatorów. Łatwiej już było sobie poradzić z względnie mniej liczną inteligencją niż z " dziadźką wileńskim " siedzącym wsród tysiąca podobnych Wincuków, " Kaziuków ", Onuprych czy " Franciszków ", a już największym postrachem dla administracji , jak mnie kiedyś w szczerości / pod pijanuju ruku / ~~wyznawał/ała~~ wyznał gubernator wileński/, były nasze dewotki katedralne. Nie dawały one nikomu dmuchać sobie w kaszę, a nawet w kościele strzegły swego autorytetu

" Odsuńsia w strona , nie przeszkadzaj, bo musza " baranka odbić" a zgniła jajki ci japki zawsze znalazły się w pogotowiu, jeżeli trzeba było zrobić" jakaści publiczna, monstrancja ".

Jesienią tegoż 1910 roku zostałem powołany do Zarządu Towarzystwa kolei dojazdowych, którego założycielem i prezesem był ojciec mój generał Jałowiecki. W charakterze kandydata na jednego z dyrektorów musiałem od czasu do czasu przyjeżdżać do Petersburga na posiedzenia zarządu, aby się zaznajomić z interesami towarzystwa.

Ojciec mój miał w swoim ręku lwią część akcji. Mieliśmy trzy grupy kolei dojazdowych. Ideą mego Ojca, było pokrycie kraju siecią wąskotorowych kolei łączących oddalone okolice a arterjami kolei szerokotorowych, coś co można porównać do systemu krwionośnego w organizmie. Koleje bałtyckie łączyły Parnawę, port położony nad Bałtykiem ze stacją Walk kolei Bałtyckich szerokotorowych, przecinając najbardziej dawniej zapadłą część Livonji. Kolej nasza miała też odnogę łączącą stację Moizeküll z Rewlem głównym miastem Estonji. Dyrektorem kolei Bałtyckich był pan Kasper Krzyżanowski, inżynier, wychowaniec Politechniki Rygskiej, stary przyjaciel naszej rodziny.

Koleje litewskie łączyły Stację Nowoświęciany kolei Petersburg - Wilno Warszawa i Wierzbołowo z jednej strony z miasteczkiem Głębokiem, położonym na głuchej zapadłej Wileńszczyznie w pow. Wilejskim a z drugiej strony w Poniewieżem.

Kolej ta prowadziła na Syłgudyszki, Kukuciszki, Ucianę, Onikszty, Traszkuny, Surdegi do Poniewieża. Dyrektorem kolei litewskich był inż. technolog p. Kalikst Buchowiecki, zastępcą jego był pan Stanisław Malecki, nasz sąsiad a na czele rachunkowości stał p. Kazimierz Narutowicz nasz daleki krewny i powstaniec 1863 roku przyrodni brat Gabryela - pierwszego prezydenta, zwany powszechnie Wujciem.

Grupa kolei południowo zachodnich łączyła Berdyczew z Żytomierzem

Winnicę z Wapniarką i Olgopol z Gołtą, łącząc odległe części Ukrainy i Podola z magistralami kolei Południowo Zachodnich. Koleje nasze miały w sobie coś, co bardzo pachniało prowincją i było bardzo zlokalizowane . Personal był przeważnie miejscowy, Polski, Litewski, Łotyski. Wrzyscy się tu znali . Jeździła niemi zawsze ta sama publiczność miescowy ziemianin , miejscowy kupiec, urzędnik. Trzecia klasa była wypełniona przeważnie mniejszością narodową, za wyjątkiem Livonji która była prawie wolna od elementu żydowskiego.
Koleje te dostarczały wiele tematów do pism humorystycznych. Naczelnicy stacji widząc spóźnionego pasażera jadącego co koń wyskoczy aby się nie spóźnic na kolej, zwykle przetrzymywali chwilę odejścia pociągu a nierzadko telefonowali do sąsiednich dworów, że " Pociąg wyszedłszy z ostatniej stacji, tak prosza śpieszyc sie ". Służba kolejowa znała też wrzystkie przyzwyczajenia pasażerów. Przygodny podróżny nie znający miejscowych zwyczai bywał nie raz zaskoczony uwagą konduktora .
" Przppraszam pana i prosza kiedy łaska przesiąść się bo to miejsca pan Jeleńskiego z Oknisty a on deklarował już dwa tygodnie temu naczelnikowi stacji że dzis pojedzie do Wilna tak music i wsiądzie w Dnikształach.
Największy ruch panował na kolejach bałtyckich . Tam pociągi były urządzone z komfortem, a nawet kursowały wagony sypialne.
Inicjatywa mego Ojca stała się dobrodziejstwem dla tych oddalonych od świata zapadłych części kraju, po za tem dała pracę setkom katolików - polaków i litwinów u siebie w kraju i ocaliła ich od emigracji wgłąb Rosji za chlebem.

Na prośbę matki mojej stacja w Syłgudyszkach była wybudowana w stylu Zakopiańskim według projektu Stanisława Witkiewicza.

Pamiętam w czasie budowy przybyli z Zakopanego wysłani przez wuja Witkiewicza dwaj górale cieśle, ubrani w swych strojach . Litwini nasi patrzyli dość niechętnym okiem na przybyszów i nazywali ich " czerkiesami " powodem wzjamnej niechęci była zapewne różnica temperamentów, która występowała , po wypiciu paru kieliszków krupniku lub lodówki / lodówką nazywano na Litwie słodką wodkę kminkówkę /.

Jeżeli wspomniałem o interesach mego Ojca, to nie mogę pominąć milczeniem, że Towarzystwo Dróg Dojazdowych, było raczej najmniejszym z interesów . Gros kapitałow mego Ojca koncentrowało w Rosyjsko Belgijskim Towarzystwie Metalurgicznym, którego jednym z dyrektorow Zarządu był mój Ojciec . Towarzystwo te posiadało kopalnie rudy i węgla w zagłębiu Donieckim w Wołyńcewi-e i zatrudniało około 12.000 robotnika - były to po zakładach Dnieprowskich największe zakłady metalurgiczne w Państwie. Po za tem Ojciec mój był w Zarządzie Wielkiej fabryki budowy wagonów w Rewlu . Dyrektorem owych olbrzymich zakładów był polak, inż. techn. p. Antoni Księżopolski, późniejszy profesor Politechniki Warszawskiej Po za tem Ojciec moj posiadał około 20.000 dziesięcin / hektarów / lasów położonych nad Dźwiną północną w gub. Wołogodskiej , dom w Petersburgu i rodzinne dobra Syłgudyskie , do których był przy - wiązany fanatycznie i nie szczędził środków na doprowadzenie ich do stanu kwitnącego.

Za te pieniądze, które utonęły w Syłgudyszkach, można było by zapewne nabyć jakieś WIELKIE dobra. Ale my z Ojcem o tem nie myśleliśmy, Syłgudyszki były dla nas czemś najdroższym na świecie.

Pamiętam kiedyś odwiedził nas p. Wincenty Montwiłł, po obejrzenie gospodarstwa sztucznych łąk na torfowiskach , inwentarza żywego lasów odezwał się do mego Ojca w te słowa

" Wiesz Bolesławie wrzystko u Ciebie piękne, tylko brakuje jednego

" Co masz na myśli - spytał zdziwiony mój Ojciec.

" Postaw jeszcze wielki obelisk z nadpisem " Tu leżą zagrzebane

" pieniądze Bolesława Jałowieckiego.

Ale mój Ojciec nie był wyjątkiem w swoim pokoleniu. To samo czynili i koledzy jego p. Paweł Kończa w Szeszolkach . Ex[illegible]encja Leonard Iwanowski w Lebiodce, Generał Riesenkampf w swoim majątku w Nowogrodzczyznie, gen Falewicz w Wiljanowie pod Wilnem, gen Woynicki w Nidokach i długi szereg innych"fanatyków ziemi ".

Jakoś w Listopadzie odbyło się w Wilnie pod przewodnictwem Marszałka gubernjalnego zjazd deputatów szlachty ze wrzyskich powiatów gubernji Wileńskiej . Jako deputat szlachty powiatu święciańskiego brałem udział w zjeździe. Deputatem oszmiańskim pamiętam był Szymon Meysztowicz który w owym czasie objął po swoim dziadku starym Korwin Milewskim Ojcu jego Matki Marji z Milewskich i wujów Hipolita członka rady Panstwa i Ignacego , majątek Cicin.

Na zjeździe zostałem wyznaczony jako delegat gub Wileńskiej do Departamentu Heroldji Senatu dokąd musiałem zjawaiać się kilka razy do roku w sprawach zatwierdzania przez Senat wywodów szlacheckich , szlachty ziemi wileńskiej.

Po zjeździe byliśmy podejmowani obiadem przez Marszałka Krasowskiego. Na obiedzie był obecny gubernator Wileński Lubimów .

Był to mam wrażenie jeden z ostatnich przyjęć oficjalnych na którym obecny był Lubimow, jakos już na początku roku następnego został od odwołany z Wilna a miejsce jego zajął cieszący się powszechną sympatją b. gubernator Kowieński, a sąsiad stryja Stefana z Jassan Piotr Wieriewkin osobisty przyjaciel cesarza z ktorym służył jako młody oficer w Pułku Preobrażeńskim Gwardji.

Byłem z tej zmiany bardzo zadowolony, bowiem z Lubimowym byłem aczkolwiek w stosunkach poprawnych, tem nie mniej oboje nie mieliśmy do siebie sympatji .

Będąc delegatem do departamentu heroldji Senatu miałem możność dobrze się zaznajomić z genealogją rodów litewskich. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że najbardziej snobujące na Litwie rodziny wypłynęły na światło dzienne coś na początkach 19 wieku, i nie wiem jakiemi drogami doszło do posiadania znacznych fortun i skoligacenia się ze staremi rodami. Natomiast wiele starożytnych rodzin znalazło się w cieniu, jak rody: kniaziów Połubińskich , jak Giedroyciów jak z Chalcza Chaleckich, ustępując miejsce Lubańskim i innym nowobogackim. Wiele też rodzin nie mogło się wylegitymować z dostatecznej liczby pokoleń aby się znaleźć w ksiedze szóstej szlachty starożytnej lub w księdze piątej obejmującej rodziny pochodzenia kniaziowskiego, lub tytułowane a znalazło się natomiast w księdze trzeciej rodów heraldycznie najmłodszych, nie mogących udowodnić wstecz swej dawniej genealogji niż od końca 18 wieku. W trzeciej księdze znalazło się też kilka starych a mocno skoligaconych rodzin jak Łopacińscy i inni. Wojny , powstania zniszczyły zapewne niejedno rodzinne

# M A N J A K

Nadchodził Grudzień . Zanim wypadły śniegi , musiałem kilka razy wyjechać na prowincję / nie lubię nowożytnego wyrażenia " wyjazdów w teren , co mi zawsze przypomina wycieczki agitatorów politycznych na wieś /w sprawach bankowych. Tym razem losy zaniosły mnie w strony podwileńskie. Miałem do oszacowania dobra należące do pana wróblewskiego położone o dwadziescia wiorst od Wilna na gościńcu wiodącym z Wilna na Malaty. Był to ładny majątek, niestety własciciel miał liczne upodobania za wyjątkiem upodobania do gospodarstwa, co znacznie nadwerężyło jego fortunę. Była to natura artystyczna . Grał pięknie na fortepjanie, a poza tem kolekcjonował rzeźby i drzewa iglaste.

W obszernym parku otaczającym dwór nie znalzłem wcale drzew liściastych natomiast był to prawdziwy ogród botaniczny sosen, świerków, jodeł, modrzewi . Czego tam nie było , od zwykłej sosny i świerku aż do sosen wirginijskich , do cedrów , do modrzewi europejskich, syberyjskich. Były tam wspaniałe okazy sosny austryackiej , świerkow , jodeł srebrnych, jodeł balsamicznych(Abies concolar violacea, Abies balsamea hudsonica , Abies grandis , Abies lowiana Abies pectinata ....)zapewnę skatalogowanie wrzystkich tych koniferów zajęło by pokazną książkę.

Pokoje przepełnione były rzebami przeważnie w marmurze. Rzeźby te mój gospodarz nabywał wyłącznie we Włoszech, gdzie co rok spędzał długie miesiące.

Uwagę moją zwróciła jakaś rzezba ustawiona w salonie zapewne było to jakieś popiersie , dojrzeć nie mogłem, bo było OSŁONIĘTE białą płachtą.

Nie śmiałem spytac gospodarza co się kryje pod tą białą zasłoną. Wyręczył mnie sam .

" Wybaczy pan, że nie odsłonię panu tej rzeźby, jest to przepiękne
" dzieło popiersie kobiety włoszki, która mnie złamała
" życie i zrobiła ze mnie dziwaka , jak zresztą zapewne sam PAN w duchu
" stwierdził. Nigdy tego popiersia nie odkrywam, a nie mam siły
" woli aby go rozbić na drobnę kawałki ..... zbyt jest piękne.

Przed domem ujrzałem szopę w której była pracownia rzebiarska , gospodarz był w tym czasie zajęty odlewaniem w cemencie figur dwuch rycerzy jak mnie mówił Skrzetuskiego i Wołodyjowskiego, które miały ozdabiać wejście do dworu.

Radziłem mu z całego serca aby się trochę zajął majątkiem , lub przynajmniej wziął dobrego rządcę, gdyż szkoda było pięknego a zaniedbanego warsztatu , szkoda mi wreszcie było samego właściciela który nieopatrznie marnował majątek.

Chciałem mu podsunąć projekt , aby się poradził u swego sąsiada Stanisława Sienkiewicza z Czerwonego dworu, znakomitego gospodarza lub oddał mu majątek w administrację, ale się przekonałem że ten projekt nie bardzo mu przypadł do smaku. Zapewne sfera zainteresowań pana Wróblewskiego i pana Stanisława zwanego " pomieszczykiem" była djametralnie rożna. Przy okazji spytałem pana Stanisława co o myśli o swoim sąsiedzie.

Tak powiem , panie Mieczysławie -rzekł pomieszczyk - że z szyszek
- jodłowych mleka nie zrobisz a te jego marmurowe postumenty to
- tylko jeden pożytek ... rozbić w drobiazgi na proszek w wywieść
- na koniczynisko zamiast gipsu.

# KROKODYL W ŻEJMIANIE

W kilka dni po bytności u pana Wróblewskiego zetknąłem się z drugim oryginałem, był to niejakiś pan Hansen z pochodzenia niemiec, człowiek miljonowej fortuny właściciel kilkudziesięciu tysięcy dziesięcin w gubernji saratowskiej.
Do dziś dnia nie mogę zrozumieć, jakich losów koleją pan Hansen znalazł się w NowoŚwięcianach i wynajął wielką drewnianą willę i zamieszkał tam z żoną. Oboje byli to bardzo mili i kulturalni ludzie, ale nigdy nie mówili o tem, co ich zapędziło do Nowo Święcian. Pan Hansen nabył koło stacji Podbrodzie w najbliższym sąsiedztwie Żułowa kilkanaście tysięcy dziesięcin nieużytków, torfowisk i wyrębów leśnych ciągnących się pasem wzdłuż biegu rzeki Żejmiany. Narazie trzymał w tajemnicy jaki użytek zamierzał zrobić z tych obszarów. Przyjazd i osiedlenie się Państwo Hansenów w miasteczku Nowo Święciany wywołało t[illegible] wielkie zainteresowanie wśród mieszkańców, a cóż dopiero, gdy obok willi zaczęto wznosić oszklony budynek z instalacją do ogrzewania. Przypuszczano, zresztą słusznie, że to ma być szklarnia na kwiaty. Jakież było zdziwienie, gdy pewnego dnia, nadszedł na stację jakiś tajemniczy ładunek, który z ostrożnością wyjęto z wagonu bagażowe-

go i przewieziono co prędzej do willi państwa Hansenów.
Okazało się, że to był, ni mniej ni więcej, tylko młody krokodyl długości około półtorametra. Umieszczono go w basenie w oszklonym budynku. Willa państwa Hansenów przez kilka dni była oblegana przez ciekawych chcących po raz pierwszy w życiu zobaczyć na własne oczy krokodyla.
W cztery lata potem krokodyl wyrósł na potężnego smoka, trzeba było powiększyć basen , ale co gorzej, że w czasie niebytności państwa Hansenow, jakiś łobuz wypuścił krokodyla, który instynktem wiedziony dopadł do Żejmiany dopływu Wilji i zniknął. Było to latem w miasteczku, było pełno letników używających kąpieli w Żejmianie. Zmobilizowano policję i miejscową straż ogniową. Popłoch ogranął letników . Krokodyl znikł jak kamień w wodzie . W kilka dni potem widziano go już w Wilji gdzieś pod Niemenczynem, ale od tej chwili wszelkie ślady krokodyla zniknęły.
Jaki go los spotkał nie wiadomo, być może że trafił na prądy zimnej wody i zginął.
W każdym razie Żejmiana może się poszczycić, że w niej pływał krokodyl. Letnicy jednak obawiali się tego lata kąpać w Żejmianie a nawet w następnym roku byli tacy, którzy twierdzili że " Kompac sie w rzece obojętnie , bo kto jego wie tego krokodyla może on w ta pora zniosł jajki i rozprowadził sie w rzece.".
" Nie gadaj, wszak krokodyl to nie ptaszka on music żyw rodzi sie a " jajek music nie nosi "
Spory na ten temat przez długie miesiące zajmowały tragarzy i obsługę bufetową na stacji w NowoŚwięcianach.
Pan Hansen okazał się bardzo miłym i wykształconym człowiekiem. Ukończył fakultet nauk przyrodniczych na Uniwersytecie w Petersburgu i nabył te obszary w celu urządzenia tam wzorowego leśnego gospodarstwa i zaprowadzenia zwierzostanu a szczególnie bobrów.

Chodziło panu Hansenowi o formalny szacunek nabytych dóbr i ocenienie pozostałego po barbarzyńskich wyrębach drzewostanu. Z punktu widzenia możliwości hipotecznych, dobra te były mało warte jedyną częścią wartościową były nadrzeczne łąki składające się przeważnie z nizinnych tofowisk wymagających meljoracji.

Zwróciłem na to uwagę p. Hansena i zaproponowałem mu, aby przyjechał do Syłgudyszek obejrzec nasze sławne zmeljorowane torfowiska

Znaleźliśmy w p. Hansenach bardzo miłych i ciekawych znajomych.

Nadchodziły święta Bożego Narodzenia, część świąt spędziliśmy w Syłgudyszkach, gdzie przy stole wigilijnym zebrała się cała nasza rodzina. Jula zaprzyjaźniła się bardzo z moim szwagrem Władysławem Żukowskim . Oboje mieli wiele wspólnych rysów charakteru spokój, zrownoważenie i zdrowy sąd o ludziach i rzeczach.

Z Syłgudyszek na nowy rok pojechaliśmy do rodziny mojej żony do Mińska . Sylwestra obchodziliśmy w Ślepiance . Po Nowym Roku musiałem już byc w Banku.

Na tem kończę moje notatki dotyczące roku 1910.

---

R O K  I 9 I I

## SZKICE WILEŃSKIE

W czasie miesięcy zimowych Komisja szacunkowa miała stosunkowo mało roboty, załatwiano różne zaległe sprawy, różne formalności dotyczące parcelacji lub odprzedarzy części majątku, o ile to nie wymagało wyjazdu na miejsce. W prędkim czasie w składzie dyrekcji banku miały zajść poważne zmiany, ale w Styczniu 1911 nic jeszcze nie zapowiadało tych mających rychło nastąpić przesunięć. W owym czasie skład Władz Bankowych był następujący:

Dyrekcja.

p. Jozef Montwiłł Prezes
p. Paweł Kończa
p. Edmund Bortkiewicz
p. Aleksander Meysztowicz.
p. Restytut Sumorok.

Komisja Szacunkowa

hr Jozef O'Rourke Prezes
p. Jan Skarbek Kiełłczewski
p. Karol Falewicz
p. Franciszek Dmochowski
p. Mieczysław Jałowiecki.

Delegat Ministerstwa Skarbu Rz. Radca Stanu Dubrowin.
Głowny Buchhalter p. Prekker

Z nazwisk znajomych należących do liczby pracowników banku ziemskiego wymienią. p. Władysława Sawickiego sekretarza komisji Szacunkowej. Michała Birżyszkę / późniejszego profesora Uniwersytetu w Kownie / Antoniego Smetonę pomocnika buchhaltera-poźniejszego Prezydenta Republiki Litewskiej, p. pułk Bitnera - szefa [illegible]

kancelarji. Pana Jana Piłsudskiego, który spełniał specjalne polecenia przy Dyrekcji Banku. Był on ongiś bardzo zamożnym ziemianinem, niestety żył na szeroką skalę, czem nadwerężył swój majątek. Pan Jan powszechnie znany i lubiany w Wilnie pozostał jednak zawsze wielkim panem, a dzięki swoim stosunkom i wyrobieniu towarzyskiemu nie raz mógł z powodzeniem przeprowadzić różne delikatne sprawy.

Zarządzający gmachem i gospodarzem banku był przemiły p. Wiktor Godlewski obywatel ze Żmudzi. W komisji szacunkowej mieliśmy do pomocy paru agentow taksatorow agronomow a więc : księcia Połubińskiego p. Kontkowskiego, p. Niedziałkowskiego - ojca przyszłego przywódcy socjalistów w Sejmie Rzeczypospolitej a synowca biskupa Niedziałkowskiego. Pracowali też w buchhalterji i kancelarji bracia Żagiellowie, Bogdan - kolega moj z Arkonji i Witold ożeniony z panną Jelską z Lad, sąsiadką Horodyszcz. p. Połoński ojciec późniejszego wziętego adwokata Witolda Połońskiego.

W owym czasie zaszedł przykry wypadek, który oburzył opinję znacznej większości mianowicie jakiś niepoczytalny fanatyk - endek, znieważył czynnie bez żadnych powodów cichego i spokojnego p. Antoniego Smetonę, jedynie za to, że należał do grupy odrodzenia Litwy. Większość społeczeństwa pragnąca zgody i porozumienia z Litwinami z panem Józefem Montwiłłem na czele rzecz oczywista ujęła się za pokrzywdzonym. Ten wybryk tak niestety często zdarzający się wśród koroniarzy , gdyż napastnikiem był właśnie koroniarz, przyczynił się niemało do pogorszenia stosunków polsko Litewskich. Muszę oddać sprawiedliwość p. Smetonie że zachował się w całym zajściu jak gentleman . Nie doszło do pojedynku gdyż na skutek ostrej interwencji z naszej strony

napastnik przeprosił p. Antoniego. Dyrekcja postanowiła wydalic go z Banku / pracował w kancelarji / i jedynie na prośbę p. Smetony cofnęła dymisję.

Osobiście byłem nad wyraz oburzony całym zajściem , które mnie bardzo zniechęciło i uprzedziło do koroniarzy.

Należy przyznać, że p. Antoni stawszy się prezydentem Litwy, nigdy nie mścił się na polakach, choć miał w gruncie rzeczy do tego powody.

Pamiętam, gdym pamiętnej jesieni roku 1939 był w Kownie i udałem się do prezydenta, aby mu podziękować za opiekę nad uchodźcami przyjął mnie serdecznie i pamiętam powiedział patrząc na mnie swemi poczciwemi niebieskiemi oczami.

- Panie Mieczysławie , my Litwini dobrego nigdy nie zapominamy
- a złym staramy się wybaczyć.

/ Mies błogu ne atmenam /

Niestety, na terenie wileńskim, zjawiło się kilka osób, które na każdym kroku drażniło miłość własną Litwinów, a których niezrozumiała fanfaronada i zarozumiałość względem tych " chamów Litewskich" jakim mianem w czambuł ochrzciła litwinów była oburzająca.

Należałem do stronnictwa " krajowego " t. zw. żubrów " i sprawa ta była przedmiotem nie małej troski ludzi grupujących się w tym stronnictwie. Zebrania odbywały się zwykle w mieszkaniu pana Prezesa Pawła Kończy . Większość ziemiaństwa Litwy i Białej rusi jeżeli nie czynnie to przychylnie odnosiło się do naszego stronnictwa, którego organem był Kurjer Litewski wydawany przez p. Hipolita Korwin Milewskiego . Pierwszym redaktorem jak wspominałem wyżej był p. Czesław Jankowski, którego później zastąpił Wojciech Baranowski - mój kolega z Arkonji.

Karnawał roku 1911 zapowiadał się dobrze , chociaż nie było już dawnych zabaw w prywatnych domach , ale przewidywano szereg bali publicznych i prywatnych. Zjechało się też do Wilna sporo ziemiaństwa. Wilno posiadało swój tak specyficzny, urok że kilka domów ziemiańskich osiadło na stałe w Wilnie. Między innemi Wilno zyskało wiele skutek zamieszkania tu hr Aleksandrów Ilińskich Kaszowskich których mieszkanie przy ulicy nadbrzeżnej stało się ośrodkiem życia towarzyskiego. Przyjechała też jak zwykle na sezon Ordynatowa Klementyna Tyszkiewiczowa z domu Potocka siostra hr Józefa Potockiego z Antonin. Zjechali Aleksandrowie Lubańscy, Żona Aleskandra Iza z Mierzejewskich, była bliską krewną mojej żony. Była to nad wyraz urocza osoba , jak by opromieniona otoczeniem jej majątku Worończy położonego w pobliżu Świtezi w Nowogrodzkiem. Worończa była ongiś własnością Wojewody Niesiołowskiego i drogą spadku przeszła na krewnych jego Mierzejewskich. Przyjechali też na zimę Waldemarowie Weyssenhofowie z Jużynt, Władysławowie Mineykowie , hr Feliksowie Broel Platerowie , ona Elżbieta z Potockich. Łączyły mnie z domem hr Feliksa szczere uczucie przyjaźni . Hr Feliks posiadał olbrzymi klucz składający się z Belmontu i Opsy kilkadziesiąt tysięcy dziesięcin położonych w pow. Jezioroskim i Dziśnieńskim w okolicach dawnego Bracławia. Był to jeden z wybitniejszych naszych rolników i świetny administrator.a może niezasłużenie, widząc we mnie rolnika oddanego swemu zawodowi zawsze gdzie mógł mnie popierał . Po za tem hr Feliks przyjaźnił się z moim Ojcem.

" Clou " sezonu miał być wieczor dobroczynny pod nazwą "Ach ! Na wieczor ten składały się przedstawienia amatorskie w różnych obrazach , tańce na scenie, monologi , deklamacje. Wrzystko było mistrzowsko ujęte w repertuarze napisanym świetnie

a dowcipnie przez dra [redacted]nkiewicza znanego ze swego ciętego pióra . Dr Minkiewicz był ożeniony z panną Skórzewską z poznanskiego i posiadał majątek rodzinny w okolicach Kiejdan.

Patronat nad [redacted] tą imprezą objęła hr Elżbieta Broel Plater i przez parę tygodni mieliśmy co wieczór próby w wielkiej sali hotelu Georges'a a często po probach tańce i wspólną kolację.

Oboje z Julą braliśmy udział w tym"Achu". Ja występowałem w różnych komicznych scenach, mając do towarzysza mego kolegę Arkona Leona Romera. [redacted] Nasza pogawędka w której graliśmy rolę dwuch stróży wileńskich prowadząc między sobą rozmowę w naszej gwarze wileńskiej miała wielkie powodzenie. Na karnawał zjechało się kilka debiutantek panny Romerowny z Janopola z Inflant, Ziuta Skirmuntowna , Zula Gieczewiczowna, Oleczka Lubanska [redacted], przyjechały też i starsze uczęstniczki karnawałow panna Irena Komarówna, panna [redacted] z Mińszczyzny, panna Kisielówna , panna Grużewska , zamożna jedynaczka ze Żmudzi, Helena Broel Plater, panna Marja Hołyńska z Mohylewszczyzn przyjechali Henrykowie Zyberg Platerowie ze Swojatycz. Kazimierzowie Zyberg Platerowie z Inflant, ona z domu [redacted] Kalkstein z [redacted] Wielkopolski [redacted]puzerowie- było ich wielu, a mało się niemi interesowałem ; jeżeli mam mowić szczerze to mogłem naliczyć zaledwie kilku młodych ludzi wartościowych jak Witold Wańkowicz z Szypian, jak Józef Jezierski z Podlasia jak Bronisław Romer z Antonoszy, jak Karol Wagner z Solecznik.jak inż Kazimierz Krzyżanowski [redacted]

a dowcipnie przez dra Minkiewicza znanego ze swego ciętego pióra . Dr Minkiewicz był ożeniony z panną Skórzewską z poznanskiego i posiadał majątek rodzinny w okolicach Kiejdan.

Patronat nad tą imprezą objęła hr Elżbieta Broel Plater i przez parę tygodni mieliśmy co wieczór próby w wielkiej sali hotelu Georges'a, a często po probach tańce i wspólną kolację.

Oboje z Julą braliśmy udział w tym"Achu". Ja występowałem w różnych komicznych scenach, mając do towarzysza mego kolegę Arkona Leona Romera. Nasza pogawędka w której graliśmy rolę dwuch stróży wileńskich prowadząc między sobą rozmowę w naszej gwarze wileńskiej miała wielkie powodzenie. Na karnawał zjechało się kilka debiutantek panny Romerowny z Janopola z Inflant, Ziuta Skirmuntowna , Zula Gieczewiczowna, Oleczka Lubanska, przyjechały też i starsze uczęstniczki karnawałow panna Irena Komarówna, panna Łęska z Mińszczyzny, panna Kisielówna , panna Grużewska, zamożna jedynaczka ze Żmudzi, Helena Broel Plater, panna Marja Hołyńska z Mohylewszczyzn przyjechali Henrykowie Zyberg Platerowie ze Swojatycz. Kazimierzowie Zyberg Platerowie z Inflant, ona z domu Kalkstein z Wielkopolski Spuzerowie- było ich wielu, a mało się niemi interesowałem ; jeżeli mam mowic szczerze to mogłem naliczyć zaledwie kilku młodych ludzi wartościowych jak Witold Wańkowicz z Szypian, jak Józef Jezierski z Podlasia jak Bronisław Romer z Antonoszy, jak Karol Wagner z Solecznik.jak inż Kazimierz Krzyżanowski

tego roku była jak to mówiono posucha na dobre partje.
Natomiast jak to zwykle bywa w czasie karnawału pojawiła się czereda " łowców posagow " reprezentowanych przez paru gołych hrabiów galicyjskich lub grodzieńczuków w rodzaju Sieheniow, Eynarowiczow , oraz takiej nieciekawej figury jaką był niejakiś Załutyński.
Nie brak było u nas na Litwie i Żmudzi młodzieży wartościowej ale tego roku wrzystko to siedziało, u siebie na wsi lub wyjechało w świat. Natomiast przyjechało kilku starszych a nie żonatych solidnych epuzerow jak hr Wacław Mohl, jak ks Konstanty Radziwiłł , Michał Meysztowicz , Włodzimierz Łęski, Leon Gieczewicz . Za dobrą partję był uważany Kot Jeleński z Wielkiego dworu, ale , Kot pędził żywot tajemniczy miał swoją garsonjerę w Wilnie o której panie opowiadały sobie różne krążące po mieście plotki szeptem z rumieńcem na twarzy , panowie zaś chętnie zaglądali do Kota na kieliszek i kawalerską zabawę. Tajemniczy Kot zniknął jednak w czasie karnawału, zatarłwszy za sobą wszelkie ślady, niewiadomo czy był w Paryżu czy w Warszawie, czy wreszcie w Nicei, w każdym razie nie śpieszył się z ożenkiem.
Przedstawienie odbyło się w sali Lutni , sala była zapełniona po brzegi a sukces był ogromny. Były niektóre numery obmyślane i odegrane BARDZO ŁADNIE jak Lancier przetańczony przez cztery pary rycerzy w zbrojach i pań w ubiorach średniowiecznych . Sala ujrzała na scenie ścianę komnaty zamkowej. W ośmiu niszach stały nieruchomo figury rycerzy i dam.

Rozlegly się jak by zdaleka przytłumione tony Lancier'a ;rycerze i damy zstąpili na podłogę i przetańczyli ten piękny taniec pełen ukłonów i i figur

Jak pod względem urody tak i wzrostu, wrzystkie cztery pary były dobrane, pamiętam że jako tancerki występowały panie: hr Olga Ilińska Kaszowska, hr Lola Plater Zyberg . panna Nina Komarówna , hr Henrykowa Plater Zyberg ze Swojatycz.

Następnym numeram była rozmowa grzybów litewskich. Występowała tu sama młodzież mając na głowach nakrycia w kształcie różnych grzybów : borowików, rydzów, lisiczek, muchomorów. Djalogi grzybów ułożone przekomicznie przez dr Minkiewicza odniosły wielki sukces , sala trzęsła się od śmiechu. Pani Sobańska z domu Górska, odśpiewała szereg dumek ukraińskich Po ukonczonym przedstawieniu, odbył się w salach George'sa bal wydany przez hr Feliksow Platerów jako gospodarzy całej imprezy.

Był to pierwszy „Ach" który dał początek następnym Achom, które się odbywały tradycyjnie w Wilnie, a zyskały sobie rozgłos na całą Polskę , Litwę i Ukrainę.

W owym karnawale prowadziliśmy życie dosc ożywione, byliśmy na kilku balach urządzanych w hotelu Georges'a lub salach klubu szlacheckiego, nie było końca proszonym obiadom , wizytom , koncertom dobroczynnym .

Jula brała czynny udział w towarzystwie Sw. Wincentego a Paulo Nigdy mnie nie mówiła o swej działalności, dopiero wypadkowo dowiedziałem się że narowni z innemi paniami miała przydzielony

kilka rodzin biedaków któremi się opiekowała. Podczas gdy ja odsiadywałem swoje godziny w banku, Jula w chusteczce na głowie i koszykiem napełnionym prowizją i lekarstwami w ręku, odwiedzała rożną biedotę gnieżdżącą się gdzieś na Zarzeczu lub Snipiszkach.
Dowiedziałem się o tem wrzystkiem w parę lat później, gdy w czasie jej choroby zaczęły zjawiać się różne biedaczki i biedacy rozpytując o zdrowie tej tak dobrej i miłosiernej Pani, która dla nich była prawdziwą matką.

Nadszedł wreszcie Wielki Post, tak charakterystyczny dla Wilna okres , okres pięknych kazań rekolekcyjnych , nieszporów w katedrze Wileńskiej , Jarmarku wiosennego, zwanego Kaziukiem . okres tego przedziwnego wileńskiego przedwiosnia.
Pamiętam tego roku były rekolekcje specjalnie przeznaczone dla t. zw."towarzystwa " Rekolekcje prowadził ksiądz prałat Kurczewski .
Pierwsze kazanie zaczął słowami " Zwracam się do was jaśnie wielmożni panowie ., mowię do was jaśni bo powinniście jaśniec przykładem swoich cnót , swego serca, swojej miłości dla ludzi, dla niednych i opuszczonych, mówię do was wielmożni, bo przez swój majątek, swoje wykształcenie, swoje stosunki , swoje stanowiska wiele możecie . Nie zapominajcie o tem .......
Słuchaliśmy jaki będzie dalszy ciąg kazania. Dał nam ksiądz Prałat dobrą szkołę, niejednemu łzy stanęły w oczach a po skórze ciarki przeszły.
Nasz Prezes pan Józef Montwiłł bardzo przestrzegał, aby władze Banku świeciły swoim przykładem i gremjalnie odbyli spowiedź.

Spowiedź odbywaliśmy w kaplicy katedralnej, a naszym spowiednikiem był sam ks penitencjarjusz, specjalnie uproszony przez Pana Józefa, aby dał odpowiednią życiową naukę jak dyrektorom tak i radcom . Nie było wśród nas coprawda niedowiarków, ani notorycznych grzeszników, tem nie mniej były tam małe przekroczenia w których celował nasz miły ale trochę lekkomyślny kolega p. Jan Skarbek- Kiełłczewski , on lubił zaglądać do t. zw. Szumana / Wileńskiego lokalu nocnego / i przy okazji wymykać się do Paryża, gdzie zapewne czasu nie tracił.

Nie ulega wątpliwości że poufna rozmowa pana Jana z Księdzem Penitencjarjuszem, zapewniała na okres kilku miesięcy spokój Szanownej Pani Janowej , Salmonowiczownie z domu.

Pan Józef miał zwykle kłopot z hr Wilhelmem Platerem należącym poniekąd do rodziny bankowej, który był głuchy, a jak wrzyscy ludzie obdarzeni tym defektem miał przyzwyczajenie mówienia głośno. Z tej racji spowiedź szanownego hr Wilhelma, była do pewnego stopnia spowiedzią publiczną, gdyż wrzyscy wierni zgromadzeni w Katedrze słyszeli wyznanie grzechów.

- Proszę ciszej - szeptał ks Penitencjarjusz

- Mea culpa zgrzeszyłem dwa razy - ryczał na całą katedrę hr Wilhelm

- Ale ciszej , ciszej upominał spowiednik

- Tak mea culpa - ryczał dalej penitent - ale to tylko było „ ad - festibus ".

Po ukończonej spowiedzi, hr Wilhelm niezwłocznie przystępował do odprawiania pokuty, która odbywała się przed wielkim ołtarzem nie mniej głośno niż sama spowiedź.

Charakterystyczną cechą ludzi z Litwy była daleko posunięta indywidualność , indywidualność wypływająca jak z samej przyrody litewskiej, tak sposob życia i różnych atawizmow plemiennych. Wśród ludzi zamieszkujących ten kraj nie można dopatrzyć się typów przeciętnych Jak w Wilnie tak i na Litwie całej próżno byś szukał „oryginałów." Spotykałem takich oryginałów w Warszawie , w Królestwie w Krakowie zapewne we Lwowie . W każdym z tych oryginałów dopatrywałem się jednak dużo sztucznej a często mało zamaskowanej pozy.

Oryginalność naszych ludzi wypływała bezpośrednio z ich natury, nie raziła ona nikogo nie zwracała niczyjej uwagi . poja w ... o ... . Były jeżeli można użyć tego wyrażenia, postacie typowe, tak zrośnięte z otoczeniem że nie psuły one pejzażu , przeciwnie dodawały pewnego kolorytu jak gonne, a przerastające swych towarzyszy drzewa w lesie.

Byli to ludzie różnego ciężaru gatunkowego, różnej wartości społecznej, ludzie którzy sami nie uświadamiali swej odrębności ani niektórych swoich dziwactw.

Wrzyscy nasi działacze , wrzyscy wybitniejsi ludzie Litwy i Białej Rusi jak Edward Woyniłłowicz, Józef Montwiłł , Roman Skirmunt Stanisław Łopaciński, Hipolit Korwin Milewski, Pani Mieczysławowa Jelenska, Tadeusz Wróblewski, Czesław Jankowski, Ignacy Parczewski Karol Salmonówicz, Feliks hr Plater, Aleksander Meysztowicz , Władysław hr Tyszkiewicz, Stanisław Wankowicz, Michał Węsławski , ks Bogdan Oginski i brat jego ks.Michał , Franciszek Kończa , Zygmunt Węcławowicz, Karol Świacki, Piotr Wańkowicz , Paweł Wankowicz, Leonard Iwanowski , Bolesław Jałowiecki, prof Marjan Zdziechowski, prof. St. Kościałkowski, prof. Wielhorski , ks Lubianiec p. Ostreyko, Hr Wawrzyniec Puttkamer. p. Wincenty Wołłodkowicz

wrzyscy oni mieli w sobie wiele cech oryginalnych, ale ta ich oryginalność wypływała z ich nieprzeciętności. Były to rozłożyste drzewa dęby, sosny, jodły, wyrosłe samotnie nie w parkach miejskich, lub alejach ulicznych, nie wśród gwaru i tłumu, ale wśród ciszy pól, borów, wód i łęgów kresowych.

Te nasze warunki wytworzyły inny typ ludzi były to " typy " ale nie oryginały. Kultura łacińska, która od wieków przenikała w te kraje dalekie nie niwelowała ludzi, oddziaływała ona swoistym sposobem na natury ludzkie, wywołując w każdym inną psychiczną reakcję, z tej racji na Litwie nie było " filisterskiej lub drobno-mieszczańskiej przeciętności " był to jak by jakiś dziwny konglomerat minerałów i kryształów przeróżnego kształtu, barwy, składu, spojony jednak w twardą a odporną na warunki zewnętrzne materję tutejszości."

"Jak Wilno tak i cała nasza Litwa i Białoruś roiła się od " typów" a co dziwniejsze, że żaden z tych typów, nie uświadamiał reakcji otoczenia, uważał wszystko za normalne, a bardzo by się obraził, gdyby mu ktoś wytknął lub posądził o to że jest " oryginałem"

W komisji szacunkowej przez którą przeciągała stale fala osób przyjezdnych z dalekiej prowincji, w której jak w soczewce skupiały się wszystkie wiadomości i plotki z całego obszaru dawniejszego W.X.L. mogłem przez czas mego tam pobytu, napatrzyć się na ten cały barwny kalejdoskop, a gdybym posiadał talent pisarski mógł bym skreślić cały długi szereg opowiadań.

Zresztą, nawet wśród nas samych były bardzo typowe postacie. Niestety pod wiosnę zmarł nasz Kolega Radca Franciszek Dmochowski chodząca kronika Litwy i Białej rusi, o którym mówiono że nie ma takiego dworu, miasteczka, traktu, czy

wrzyscy oni mieli w sobie wiele cech oryginalnych, ale ta ich oryginalność wypływała z ich nieprzeciętności.
Były to rozłożyste drzewa dęby, sosny, jodły, wyrosłe samotnie nie w parkach miejskich, lub alejach ulicznych, nie wśród gwaru i tłumu, ale wśród ciszy pól, borów, wód i łęgów kresowych.

Te nasze warunki wytworzyły inny typ ludzi były to " typy " ale nie oryginały. Kultura łacińska, która od wieków przenikała w te kraje dalekie nie niwelowała ludzi, oddziaływała ona swoistym sposobem na natury ludzkie, wywołując w każdym inną psychiczną reakcję, z tej racji na Litwie nie było " filisterskiej lub drobnomieszczańskiej przeciętności " był to jak by jakiś dziwny konglomerat minerałów i kryształów przeróżnego kształtu, barwy, składu, spojony jednak w twardą a odporną na warunki zewnętrzne materję tutejszości."
Jak Wilno tak i cała nasza Litwa i Białoruś roiła się od " typów" a co dziwniejsze, że żaden z tych typów nie uświadamiał reakcji otoczenia, uważał wszystko za normalne, a bardzo by się obraził, gdyby mu ktoś wytknął lub posądził o to że jest " oryginałem".

W komisji szacunkowej przez którą przeciągała stale fala osób przyjezdnych z dalekiej prowincji, w której jak w soczewce skupiały się wszystkie wiadomości i plotki z całego obszaru dawniejszego W.X.L. mogłem przez czas mego tam pobytu, napatrzyć się na ten cały barwny kalejdoskop, a gdybym posiadał talent pisarski mógł bym skreślić cały długi szereg opowiadań.

Zresztą nawet wśród nas samych były bardzo typowe postacie. Niestety pod wiosnę zmarł nasz Kolega Radca Franciszek Dmochowski-chodząca kronika Litwy i Białej rusi, o którym mówiono że nie ma takiego dworu, miasteczka, traktu, czy

nawet krzyża przydrożnego, którego by nie znał pan Franciszek
Pochodził on z powiatu Oszmiańskiego należał do rodziny szeroko
spokrewnionej , wychowywał się w Instytucie Szlacheckim w Wilnie
Była to typowa postać szlachcica , jakiegoś podkomorzego , sędziego, prezesa trybunału. Wysoki o orlim nosie i pięknych sumiastych wąsach jak nikt nadawałby się do portretu " podkomorzego z "Pana Tadeusza ".

Była to zaiste skarbnica różnych wiadomości, opowiadań , dykteryjek z całej Litwy i Białej Rusi. Opowiadania pan Franciszka zajęły zapewne nie jeden tom.

Używał zwracając się do swego rozmówcy wyrażenia " Duszo Droga skąd przezwano go " Duszą ".

Dusza miał jeden defekt nie znosił mianowicie " grodzieńczuków " i z zasady nie załatwiał żadnej sprawy związanej z tą gubernją. Przyjezdni " grodzieńczucy " unikali go i bali się jak ognia, bo przy każdej okazji mówił im prawdę w oczy.

Spytałem go kiedyś co jest przyczynę jego niechęci do ziemiaństwa grodzieńskiego.

" Duszo droga - rzekł- Grodzieńczuk, to nie człowiek ,.widzisz
" Duszo droga mieszka blisko Warszawy, zatracił nasze litewskie
walory, a nie nabrał polityury koronjarskiej , wyszło ni to ni
" owo. Nibyto i przedziałek z tyłu, główka rozłupana , napomado-
" wana , spodnie odprasowane , ale wrzystko razem to wyszła ni
" to ni sio - jakaś ckliwa konfitura w rodzaju Jana Bispinga
" Sieheniów , czy innych Eynarowiczów ".
" Wrzystko co u nas było najgorszego, wrzystko wyszło z Grodna.
" Jedyny wyjątek to Władysław Lubecki , ale i ten w piętkę goni.

Opowiadania pana Franciszka miały tą zaletę że Pan Franciszek

ściśle trzymał się prawdy i znany był z tego że nie cierpiał blagi i sam nie blagował.

Przypominam sobie jedno z ciekawszych przygód, które spotkały pana Franciszka w czasie jego długoletnich pielgrzymek po kraju

## OPOWIADANIE PANA FRANCISZKA

" Było to jesienią 1898 roku - Duszo Droga - rozpoczął opowiądanie
" Pan Franciszek Dmochowski, - Znasz Henryka Platera, dobrze,
" co to nazywamy jego Ombą, nigdy Omba nie był gospodarzem,
" od młodości lubił karty, a wojaże zagraniczne drogo kosztowały.
" Po Ojcu wziół, dureń, piekny majątek Pustyń na Inflantach Polskich
" leżącym przy gościńcu prowadzącym z Dyneburga na Dagdę.
" Scheda była piekna i żeby dostała sie do rąk akuratnych, była by
" do dziś dnia piekną fortuną i nie poszła by na parcelacja pomiedzy
" "chamstwem. Jednym słowem żydki, i inni kredytorowie tak przycisnęły
" Ombę, że szukał ratunku i zaryzykował wziąść pożyczkę w banku.
" Podjechałem pod dwór, jakoś nikt nie wyszedł na moje spotkanie
" Zacząłem kołatać nikt na moje stukanie do drzwi nie odpowiedział
" Pomyślałem że Omby jego zwyczajem zapewne niema w domu, a służba
" korzystając z nieobecności wyszła. Wreszcie po kilku minutach
" zgrzytnął zamek, drzwi się otworzyły i prze-
" demną stanął cicho jakiś staruszek, ubrany po staroświecku
" i skinieniem ręki zaprosił mnie do wnętrza. Pozdrowiłem go odpo –
" wiedział kiwnięciem głowy następnie rownież ruchem ręki zaprosił
" do sąsiedniego pokoju bawialnego. Stanął na środku pokoju wskazu-
" zując ręką na ściany i smutnie kiwając głową, wreszcie położył
" swą dłoń na sercu jak by go te serce bolało.

" W tej chwili usłyszałem jakieś głosy w sieni
" i do pokoju wpadł zadyszany służący. Z wejściem służącego
" staruszek znikł.
" Przepraszam bardzo, wyszedłem na chwilę, nie spodziewając się
" że J. Pan tak prędko przyjedzie. Ale kto J.Panu otworzył
" Jakto kto - rzekłem był tu jakiś starszy pan , ale nie wiem,
" gdzie się podział .
" Służący zbladł. " Kto to mógł być, przecież
" wrzystkie drzwi były zamknięte z wewnątrz a ja wyszedłem z
" kredensu i klucz wziąłem z sobą. Może ktoś się tu zakradł
" trzeba będzie poszukać "
" Pan Hrabia bardzo przeprasza J. Pana, ale dziś dostał telegram
" i musiał wyjechać do Dyneburga . Obiad przygotowany wraz
" powiem kucharzowi i proszę do stołowego.
" Gdym zasiadł przy stole spojrzałem po ścianach za-
" wieszonych portretami rodzinnemi i na jednym, ku swemu zdzi-
" wieniu, poznałem mego staruszka. Nie mówiąc nic służącemu o
" zajściu spytałem, kto jest ten pan, którego podobiznę oglądam
" na portrecie .
" To stary pan Hrabia, Ojciec hrabiego Henryka .
" Nie wdawałem się więcej w rozmowy ze służącym, który nie był
" dla mnie sympatyczny , kazałem sprowadzić rządcę i załatwiwszy
" sprawy tegoż wieczora odjechałem do Wilna.
W tydzień po mojej wizycie zjawił się do Banku sam Omba.
" Nie widziałem powodu dla zatajenia tego com widział.
W Wysłuchawszy mego opowiadania był blady jak płótno, łzy mu
" płynęły z oczu. " Ach gdybym mógł odrobić moją przeszłość i
" ocalić gniazdo rodzinne od sromu... teraz wrzystko dla mnie

mmmm stracone, chcąc ratować majątek postawiłem wrzystko na jedną kartę i straciłem - zawołał z rozpaczą w głosie.

- Przyznam się,, duszo droga", że w tej chwili nie miałem dla
" niego litości , wziął bym rozciągnął mmm na kobiercu i
" wsypał sto batów"
" Nic Ciebie nie żałuję - rzekłem do Omby , mmmmm masz to
" na co zasłużyłeś .
" Jak wiesz Pustynię sprzedano , pałac rozebrano na cegły a
" ziemię rozparcelowano wśród starowierców.
" Teraz Omba siedzi wśród was u George'sa , a wy wrzyscy mu
" rękę podajecie - rzekł pan Franciszek z goryczą w głosie.

Pan Franciszek był przez długie lata deputatem szlachty powiatu Oszmiańskiego, po nim, jak mówiłem, nastał kuzyn jego Szymon Meysztowicz. Z tego okresu pan Franciszek wyniósł nie słychaną pogardę dla ludzi, używających nie należnych mmm im tytułów , bowiem na Litwie, niestety, zdarzały się aczkolwiek rzadko takie wypadki.

" Lokajski hrabia - duszo droga - zwykł mówić - lokajski
" hrabia . Zwykle najprzód zaczyna go tytułować lokaj,
" potem pachciarz, potem ktoś z sąsiadów chcących się przy-
" dobać , wreszcie wrzyscy się do tego zaczynają przyzwyczajać
" i taki ekonom z pochodzenia robi się " hrabią z łaski Bożej"

Pan Franciszek miał też niewytłumaczoną niechęć do Pusłowskich Duszo droga - to ekonomy - które zrobiły karjerę na Targowicy nie darmo mieszkają w Grodzieńszczyźnie.

Był cichy dzień wiosenny gdyśmy licznym gronem odprowadzili naszego Kolegą na Cmentarz na Rosie. Pozostawił on Wdowę i córkę jedynaczkę Zofję zamężną za Stanisławem Kognowickim, filistrem Polonji i właścicielem Łęczynowa na Litwie pod Kiejdanami

Na wakujące po śmierci pana Franciszka Dmochowskiego stanowisko radcy wszedł Władysław Mineyko, ożeniony z Marją z Oskierków, przyjaciółką mojej żony. Zyskaliśmy w nim ze wszech miar miłego kolegę i gentlemana w każdym calu. Władyś był w moim wieku, więc komisja szacunkowo jak mówiono odmłodniała. Posiadał on ładny majątek Widze Łowczyńskie, którym rządził rozumnie i fachowo.

Zbliżał się marzec, w powietrzu czuć było przedwiośnie. Nastały słoneczne dnie, czasem przrywane niespodziewaną śnieżycą.

Pod koniec Marca otrzymałem list od mego szwagra Piotra Wańkowicza zapraszający mnie na głuszce do Słobodki położonej w pow. Ihumeńskim o cztery mile od Borysowa. Udało mi się wyrwać z Wilna i spędzic cztery dni [redacted] w tym prawdziwym raju głuszcowym. Puszcze Słobodki [redacted] i sąsiedniego majątku należącego również do Piotra a noszącego piękną a tchnącą przeszłością nazwę Lelum - Polelum [redacted] słynne były ze swego zwierzostanu, były tam niedzwiedzie, łosie, rysie i niezliczona moc ptactwa [redacted], puszcze te obfitowały w głuszce, cietrzewie i jarząbki.
Nie chcac przerywac toku moich pamiętników opwiem o polowaniu na głuszce poniżej. również kilka ciekawych zdarzeń na tle naszych stosunkow beda [redacted] treścią moich dalszych szkiców które umieszczę [redacted] po ukończeniu rozdziału dotyczęcego roku 1911.

Wielkanoc spędziliśmy w Syłgudyszkach. Musiałem zająć się urządzeniem na lato dworu w Kukuciszkach, który wymagał remontu i umeblowania.

Z nastaniem wiosny zaczęły się moje wyjazdy w sprawach bankowych które z małemi przerwami trwały aż do póżnej jesieni.

Pod koniec Maja po sławnych wileńskich wyścigach Jula wyjechała na kilka tygodni do Horodyszcza . W projektach naszych zaszły zmiany , musieliśmy tego lata zrezygnować z spędzenia pory letniej w Kukuciszkach ze względów zrozumiałych , w związku ze stanem zdrowia Juli. Teściowa moja zatrzymała Julę w Horodyszczu aż do końca Sierpnia.

Nie pamiętam, abym kiedyś tak się ubawił jak w czasie wyścigów Wileńskich. Pokazy gentlemanskie przyprowadziły by angielskich sportsmanów do szału. Naogoł litwini nasi nie grzeszyli dobrą jazdą KONNĄ . Dobrze jeździł Władysław Mineyko jako zapasowy oficer kawalarji i jeszcze kilku kawalerzystów. Panowie byli poubierani w czerwone rajtfroki i białe łosiowe spodnie i zachwycali swoją angielszczyzną skrojoną przez Szumańskiego w Wilnie, PANIE, które gęsto obsiadły wrzystkie loże.
Szczegulnie zwrócił na siebie uwagę Włodzio Dowiatt ze Żmudzi siedzący na ładnie odpasionym kurtuzownym mierzynie, który za nic chciał brać przeszkód . W progamie było wypisano „Pan W. Dowiatt na koniu rasy Hackney". Jakim sposobem poczciwy Włodzio wyszukał tę nazwę dla olśnienia publiczności pozostanie to jego tajemnicą osobistą, wiadomo bowiem, że Hackneye są to „par exellence" konie zaprzęgowe, odznaczające się niepospolitemi chodami, ale chyba nie ma na świecie Hackneya używanego pod siodło a szczegulnie do galopu i brania przeszkód są to STEPAKI angielskie .

W wyścigach z przeszkodami brała też udział Hela Iwanowska, siedząca na doskonałej importowanej z Anglji hunterce, nie miała jednak szczęścia, gdyż na każdej przeszkodzie waliła się się jak gruszka, ale jak to mowią „z herzem" dosiadała znowu wierzchowca, aby na następnej przeszkodzie znowu zwalić się z konia. Plac wyścigowy leżał po za Wilnem na dalekim skraju Antokola i należał do właściciela Pospieszki i Wirszuby pana Antoniego Aleksandrowicza jednego z najzabawniejszych a zarazem najnudniejszych okazów Wilna. Antonello, tak powszechnie zwany, ukończył instytut dróg i komunikacji, ale po ukończeniu, wrócił do Wyrszuby, gdzie spędzał czas przeważnie przy fortepjanie, lub przy kieliszku. Grał biegle W Wilnie zasiadał u George'sa i wystękiwał swoje teorje życiowe, mógł zanudzić do żywego. Był po za tem człowiekiem bardzo gościnnym, miał dobrego kucharza i świetną piwnicę. Antonello był starym kawalerem, bo wątpię, czy ktoś z nim mógł wytrzymać na dłużej. Stał się jednak cud, bo, było to już przed pierwszę wojną światową, Antonello ożenił się z niełądną, ale bardzo miłą panną Siemieńską z Królestwa, która po roku wróciła jednak do rodziny, pozostawiwszy starego nudziarza wraz z jego dziwactwami w Wirszubie.

Swoje istnienie Zawdziecza Towarzystwo Wyścigów konnych ofiarności Antonella, który dał plac, zabudował trybuny i urządził kosztem własnym tor. Aby być bliżej Wilna zbudował w Pośpieszce willę w stylu zakopiańskim, gdzie przeważnie przebywał. Brat jego był głównym plenipotentem hr Branickich w Białej Cerkwi.

Konstantego
Wracając do wyścigów nie mogę pominąc Adamowicza . Adamowicz był to to chyba jedyny klubowo specyficzny typ wileński. Musiał mieć w owym czsie pod czterdziestkę. był kawalerem posiadał ładny folwark gdzieś w pow. Lidzkim ,ale cały czas siedział w Wilnie i noce spędzał przy zielonym stoliku. Granie w bridga było jego jedynym zajęciem i pokaźnym źródłem dochodu, grał podobno mistrzowko , z reguły nie zasiadał do hazardu ale w bridga ogrywał systematycznie wrzystkich. Był gościem klubowym i nigdy nie podał się na członka z obawy przebalotowania,co by mu zamknęło na zawsze drzwi klubowe. Nie bywał w towarzystwie , zresztą wątpię,czy łatwo by się tam dostał . Można go było spotkać jedynie w klubie lub czasem u George'sa . W stosunkach z ludźmi , mimo że był zawodowym graczem,postępował po gentlemańsku i na swym honorze nie miał żadnej skazy. Gdy przyszła wojna bolszewicka,wstąpił jako ochotnik do wojska i podobno odznaczył się odwagą a nawet zyskał krzyż walecznych. Otóż na owczesnych wyścigach wileńskich występował również i Adamowicz jak zwykle ubrany z igły,w rajtfroku koloru buraka na rosłym dobrze zbudowanym wałachu ,naturalnie kurtyzowanym / na naszym partykularzu wileńskim konie kurtyzowane były uważane za szczyt fasonu sportmańskiego / Adamowicz nie będąc wcale dobrym jeźdźcem ku zdumieniu wrzystkich,wziął jedną z pierwszych nagród. Te powodzenie zawdzięczał wyłącznie swemu wierzchowcowi ,który / przenosił swego pana trzymającego się często łęka siodła przez przeszkody i doprowadził go do zwycięstwa . Na programie było wypi-/ p. Adamowicz na koniu rasy huntera angielskiego / należy zauważyć że świat nie zna tej rasy , huntery bowiem pochodzą jedynie z krzyżówki ciężkiej klaczy z koniem pełnej krwi /.

W każdym razie sezon wyścigów zapisał się świetnie w historji towarzystwa wyścigów konnych a według sprawozdania reporterow Wilno oglądało po raz pierwszy prawdziwe konie wierzchowe " importowane z Anglji mianowicie Hackneja pana Dowiatta i " huntera angielskiego " pana Adamowicza."

Po pewnym czasie zaroiło się na jarmarkach końskich w Wiłkomierzu, Lidzie , Żołudku od hacknejów i hunterów angielskich, bowiem przemyślni handlarze koni z mniejszości narodowej na gwałt obcinali ogony wałachom i brali na tę przynętę powiatowych snobów, sprzedając im za drogie pieniądze różne kurtyzowane szkapy.

" Prosie J. pana to jest prawdziwy "haknejowski koń angielski", lub " to jest prawdziwy koń polowaniowy angielski co nazywasie " munter " , niech jw pan sam zapyta pana Adamowiczą "

Z przyjezdnych sprtsmanów przybył z Warszawy dobry jeździec Dachowski który mam wrażenie pobrał wrzystkie nagrody , był po za tem Breza, dobry, jezdziec ale człowiek nieprzyjemny i posiadający dość mierne konie.

Breza pochodził z Wielkopolski, ożenił się na Litwie z zamożną a posiadającą znaczne obszary ziemi na Polsiu panną Ordzianką. Nadwerężył bardzo jej fortunę, poczem małżenstwo to rozprzęgło się.

Po wyjezdzie Juli pozostałem sam w Wilnie . Pobyt latem w mieście był dla mnie ze wszech miar uciążliwy , korzystałem więc z wszelkich okazji aby wyjeżdżać w sprawach bankowych na prowincję i większość czasu spędzałem to w dalekiej Mohylewszczyźnie , to na Inflantach to w Mińszczyznie to na Żmudzi, dokąd mnie interesa bankowe wzywały.

Korzystałem też ze wrzystkich wolnych dni aby odwiedzac Horodyszcze .

Do Syłgudyszek zaglądałem rzadko, choć od czasu do czasu musiałem tam zaglądać w sprawach gospodarskich i kontrolować przebudowę a raczej remont dworu.

W przewidywaniu rozszerzenia rodziny, zmuszeni byliśmy do zmiany naszego szczupłego mieszkania. Szczęśliwie udało mi się wynająć mieszkanie na tej że ulicy Nadbrzeżnej na parterze domu hr Józefa Tyszkiewicza. Był to bardzo ładny apartament, pokoje były białe za stylowemi gzymsami i sufitami ze stiukami . Nasze meble należące do znacznie późniejszej epoki nie bardzo co prawda pasowały do tego wnętrza, ale nadrobiło się to obrazami, sztychami i makatami.

Żona moja wrociła do Wilna pod koniec Wrzesnia . Na początku Październikа urodził się nam syn . Moja teściowa, była w tym czasie w Wilnie i zamieszkała z nami. Daliśmy na imię Andrzej . Nie było tego imienia ani wśród moich, ani Juli antenatów, ale Św. Andrzej jest patronem Szkocji, wybrałem więc tę imię przez pamięć dla mojej Babki, a również przez pamięć dla hr Andrzeja Zamoyskiego założyciela Towarzystwa Rolniczego WARSZAWSKIEGO.

Obrządku św. Chrztu dokonał mój kolega z Arkonji i przyjaciel naszego domu zacny ks. Zygmunt Lewicki. Zgodnie z tradycją naszej rodziny Chrzestną matką Andrzeja była gospodyni z Sąsiedniego zaścianku Grezylda Ginejtis, a Ojcem chrzestnym Ks Konstanty Radziwiłł z Towian, w drugiej zaś parze moja siostra Jadwiga Żukowska i szwagier mój Piotr Wańkowicz.

Ze względu na stan zdrowia mojej żony , musieliśmy wyszukać karmicielkę dla Andrzeja . Nie chciałem innej karmicielki jak litwinki pomogła w tem zamożna gospodyni z sąsiedztwa Syłgudyszek , Grezylda Ginejtis , chrzestna Matka naszego Andrzeja, która w parę dni wyekspedjowała do Wilna wysoką,tęgą przystojną Litwinkę Weronikę, ktora przez parę lat opiekowała się Andrzejem i okazała się nad wyraz uczciwą i zacną kobietą.

We Wrześniu tegoż Roku Rosja była poruszona wiadomością o zabójstwie premjera Piotra Stołypina. Stołypin bawił wówczas w Kijowie . Zamach miał miejsce w gmachu teatru Kijowskiego . Stołypin był obecny na przedstawieniu, Siedział w pierwszym rzędzie foteli . W czasie przerwy stanął oparty plecami o parapet oddzielający orkiestrę od sali.

W pewnej chwili, zbliżył się do niego jakiś młody człowiek i prawie dotknąwszy lufą rewolweru piersi Stołypina dał kilka strzałów , Stołypin padł na miejscu ugodzony kulą w serce. Zabójca nazwiskiem Bogrow dał się ująć. Był sądzony i skazany na śmierć. Opinja publiczna różnie reagowała na zabójstwo premjera Wielu widziało w Stołypinie wroga polaków , osobiście znając dobrze zakulisowe sprawy z ust p. Knolla / stryja Romana Knolla późniejszego posła polskiego w Berlinie i Rzymie / byłem innego zdania. Stołypin politycznie był naszym przeciwnikiem, ale będąc człowiekiem o zapatrywaniach zachodnich, miał osobistą sympatję dla polakow. Miał w swoim najbliższym otoczeniu kilku polakow , którzy bynajmniej nie ukrywali ani swej narodowości ani swych przekonań, byli to jednak ludzie uczciwi , mówiący mu pra-

prawdę w oczy. Zresztą Stołypin wychowany na Litwie, w okolicach Kiejdan w majątku Kałnoberże skonfiskowanym po powstaniu od hr Edwarda Czapskiego i darowanym jego Ojcu , był zawsze pod urokiem ziemiaństwa polskiego i zazdrościł do pewnego stopnia nam naszej kultury łacińskiej . Przyznawał się on otwarcie, że swoje poglądy zawdzięcza społeczeństwu polskiemu i że gospodarstwa zachodnie natchnęły go myślą o przeprowadzeniu kardynalnej reformy rolnej, rozwiązania wiejskiej wspólnoty i osadzenia chłopów na indywidualnych gospodarstwach. Reformę agrarną rozpoczął od Kowieńszczyzny i Wileńszczyzny i reforma ta dała jak najlepsze wyniki .

Będąc członkiem Ministerjalnej komisji urządzeń rolnych, oraz członkiem gubernjalnej komisji , byłem, w pełnym tego słowa znaczeniu, po stronie Stołypina, a jestem przekonany, że gdyby nie jego przedwczesna śmierć, zapewne nie doszło by do rewolucji bolszewickiej.

Niestety reformy Stołypinowskie przyszły co najmniej o 40 lat za późno.

Przewidywałem też zgóry, że zabójstwo Stołypina nie wyjdzie na dobre a wywoła tylko ~~[illegible]~~ wzmożenie wpływów reakcyjnych w Rosji.

Niestety przewidywania moje sprawdziły się całkowicie.

Następcą Stołypina, stał się Mikołaj Makłakow - ~~[illegible]~~ należący do skrajnej prawicy , człowiek ograniczony i nie orjentujący się w sytuacji.

Rzecz godna zanotowania, że Stołypin miał już opracowaną nową konstytucję dla Polski w której przewidywana była szeroka autonomja. Chciał jednak wprowadzić takową w życie NIECO PÓŹNIEJ. W Dumie Stołypin nie miał wielkiego poparcia, zraził do siebie Październikowców, Guczkowa Zwieginecewa , Szydłowskiego z drugiej strony miał przeciwników wśród skrajnej prawicy rosyjskiej z Biskupym prawosławnym Jewłogjim NA CZELE.

prawdę w oczy. Zresztą Stołypin wychowany na Litwie, w okolicach Kiejdan w majątku Kałnoberże skonfiskowanym po powstaniu od hr Edwarda Czapskiego i darowanym jego Ojcu , był zawsze pod urokiem ziemiaństwa polskiego i zazdrościł do pewnego stopnia nam naszej kultury łacińskiej . Przyznawał się on otwarcie, że swoje poglądy zawdzięcza społeczeństwu polskiemu i że gospodarstwa zachodnie natchnęły go myślą o przeprowadzeniu kardynalnej reformy rolnej, rozwiązania wiejskiej wspólnoty i osadzenia chłopów na indywidualnych gospodarstwach. Reformę agrarną rozpoczął od Kowieńszczyzny i Wileńszczyzny i reforma ta dała jak najlepsze wyniki .

Będąc członkiem Ministerjalnej komisji urządzeń rolnych, oraz członkiem gubernjalnej komisji , byłem, w pełnym tego słowa znaczeniu, po stronie Stołypina, a jestem przekonany, że gdyby nie jego przedwczesna śmierć, zapewne nie doszło by do rewolucji bolszewickiej.

Niestety reformy Stołypinowskie przyszły co najmniej o 40 lat zapóżno.

Przewidywałem też zgóry, że zabójstwo Stołypina nie wyjdzie na dobre a wywoła tylko wzmożenie wpływów reakcyjnych w Rosji.

Niestety przewidywania moje sprawdziły się całkowicie.

Następcą Stołypina, stał się Mikołaj Makłakow - należący do skrajnej prawicy , człowiek ograniczony i nie orjentujący się w sytuacji.

Rzecz godna zanotowania, że Stołypin miał już opracowaną nową konstytucję dla Polski w której przewidywana była szeroka autonomja. Chciał jednak wprowadzić takową w życie nieco później. W Dumie Stołypin nie miał wielkiego poparcia, zraził do siebie Październikowców: Guczkowa Zwieginecewa , Szydłowskiego z drugiej strony, miał przeciwników wśród skrajnej prawicy rosyjskiej z Biskupym prawosławnym Jewłogjim na czele.

Zapewne stosunek Stołypina do polaków byłby inny, gdyby nie wpływ jego żony / nazwiska panieńskiego nie pamiętam / która pochodziła z rodziny należącej do sfer ultra prawicowych i niechętnych polakom

Opowiadano mnie, że [illegible] Pani Stołypin oczekiwała rozwiązania. Było to w ich Majątku Kałnoberże na Litwie. Poród nadszedł, niespodziewanie przed terminem. Wezwano miejscową akuszerkę - polkę. W czasie porodu akuszerka odezwała się po polsku do swej pomocnicy prosząc a jakieś narzędzia.

Pani Stołypin mimo bolów [illegible] krzyknęła na nią " Proszę mówić po rosyjsku ".

Latem roku 1911 w hotelu Georges'a miało miejsce nieprzyjmne dla opinji towarzystwa Polskiego zajście. W powiecie lidzkim mieszkała panna niepospolitej urody, ale też niepospolicie nieokiełzanego charakteru. Była to sierota wcześnie objęła po rodzicach piękny folwark. [illegible] Jedynym jej opiekunem był Fredzio Brzozowski, zamożny ale kretynowaty obywatel mieszkający w sąsiedztwie.

Bawił wówczas w Wilnie hr Waldemar Tyszkiewicz z biedniejszej linji Tyszkiewiczów. Ożeniony był z bogatą jedynaczką Elą Kierbedziówną córką Inżyniera Stanisława Kierbedzia. Otóż hr Tyszkiewicz tak zw, powszechnie Wal zakochał się w Heli Narbuttównie, rozpoczął się romans który trwał dość długo . Wreszcie nawet zakochany Wal miał dosyć nieposkromionego charakteru Heli i postanowił się z nią rozstać. Tyszkiewiczowie przyjechawszy do Wilna zamieszkali w hotelu Georges'a, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności w tym samym czasie i na tym samym korytarzu zamieszkała Hela Narbuttówna.

J[illegible] Co zaszło między niemi niewiadomo, dość że rozległ się strzał Wal Tyszkiewicz padł ranny / jak się okazało bardzo lekko ranny / a obok stała Narbuttówna z rewolwerem w ręku.

[illegible]

Hr Tyszkiewiczowa usłyszawszy strzał wpadła do pokoju i nie mając innej broni rzuciła się na Pannę Narbuttownę ze szpilkę od KAPELUSZA.
Winowajczyni została aresztowana, ale tegoż dnia zwolniona za kaucją.

W parę miesięcy po tem stanęła przed sądem okręgowym, jako obwiniona o zabójstwo . Bronił ją któryś ze znanych wileńskich adwokatów i ława przysięgłych jednogłośnie uznała ją za niewinną

Gdy wyszła w towarzystwie wuja już bez straży z gmachu sądu okręgowego była przedmiotem owacji zgromadzonych tłumów . Szczegulnie rosjanie zrobili z niej bohaterkę. Wątpić należy, czy jakaś sławna spiewaczka była tak obsypana kwiatami i prezentami /prawie włącznie przez rosjan/jak Hela Narbuttowna.

O dalszych wyczynach Heli Narbuttowny można było by napisać tomy. Wyszła zamąż , jakoś na początku pierwszej wojny światowej za kurlandczyka hr Kaiserlinga, z którym po kilku miesiącach się rozstała.

------

Jesień 1911 roku spędzilismy w domowym zaciszu . Ukończyłem moje rosjazdy w połowie pazdziernika i mogłem spokojnie oddać się życiu rodzinnemu, zajęciom w banku i towarzystwie rolniczym. Tem nie mniej rzadki dzień przeszedł bez gości lub wizytowania znajomych i krewnych . Raz wraz przyjeżdżał ktoś z rodziny mojej lub Juli.
W Listopadzie byłem proszony przez mego przyjaciela , i kolegę Totka Radziwiłła na polowanie do Towian.

Dzień był cichy słoneczny. Polowalismy na drobną zwierzynę , gospodarz nasz prosił abyśmy nie strzelali do łosi. W pamięci mi staje w oczach [illegible] obraz kiedy na 20 krokow odemnie wyszło kilkanascie łosi i spokojnie przeszło przez dukt.

Ks Konstanty Radziwiłł był nietylko swietnym myśliwym ale i hodowcą zwierzyny. Towiany wraz z Łańską i Towiańską puszczą miały chyba najlepszy zwierzostan na Litwie.

Było nas zaledwie 10 strzelb, między innemi sławny Boluta Brzozowski z Trombaciszek, hr Aleksander Iliński Kaszowski, Karol
Stanisła Kossakowski Władysław Komar
Salmonowicz, Bogdan Żagiell i paru najbliższych sąsiadów Totka.

Wieczorem mmmmm po polowaniu zjechało się na obiad całe sąsiedztwo z najbliższym sąsiadem Towian panem Kontowtem, prezydentem Wiłkomier na czele. Był tam jeszcze pan Jan Kossko z Bogieniszek , Otton Koziełł Poklewski, mmmmmmmmm Dominik Dowgiałło z Siesik, Franciszek Kończa z Łukini. Stanisław Kozakowski z Kuran.

Matka Totka, księżna Karolowa Radziwiłłowa, było osobą rzadkiej dobroci i prostoty w obejsciu , lubiana była przez całą okolicę, a każdy choć by z najdrobniejszych sąsiadów był zawsze gościnnie przyjmowany w Towianach.

Na Boże Narodzenie wyjechaliśmy z Wilna do Syłgudyszek mmmmmm zabraliśmy z sobą Andrzeja, aby pokazać dziadkom następcę tronu. Przyjechali rownież z Królestwa Bmmmmmmm moi szwagierstwo Belinowie również z ich pierworodnym synem, który miał na imię Żelisław od Rycerza Żelisława Herbu Belina z czasów ponoc łokietkowych, ktory był protoplastą tego starożytnego rodu.

Zjechali też moi szwagierstwo Władysławowie Żukowscy z ich dwoma corkami Jadwigą / Późniejszą generałową Sosnkowską i Teresą poznìejszą Lipkowską /

Było to ostatnie tak liczne Boże Narodzenie spędzone w Syłgudyszkach.

koniec roku 1911

# ROK 1912

Mam przeświadczenie, że wspomnienia moje z dnia na dzień stają się coraz bardziej jakieś bezbarwne , szare a przepełnione komunałami.

Od młodości nie odznaczałem się ani pięknym stylem, ani poprawną gramatyką. Pisywałem w życiu dość dużo, szczegulnie w prasie fachowej i codziennej . Dziwię się, jakim cudem, artykuły moje były drukowane, a ludzie chętnie je czytali . Pisywałem wiele do Gazety Rolniczej, do Kurjera Litewskiego , do Słowa , wreszcie do Słowa Wileńskiego , a cieszyłem się nawet uznaniem Stanisława Mackiewicza , którego uważam za jednego z najwybitniejszych / czasem nie obliczalnych/ publicystów naszych; przypuszczam że sam należę trochę do szkoły Mackiewicza choć mi oczywiście brak jego rozmachu, jego głębokiej znajomości historji, jego barwnego języka i fantazji.

Wczoraj 3 Czerwca 1952 Paryskie Radjo ogłosiło wiadomość o wysadzenie przez bolszewików / czytaj szatana / w powietrze murow Ostrej bramy, oraz o zniszczeniu i zniwelowaniu cmentarzu na Rosie. Jest tu nas kilku wilenczuków a między innemi przemili Państwo Bogdanowiczowie , ona nad wyraz zdolna i pisząca tak ładnie , tak prosto, rzeczy które człowieka zaczepiają o serce i uczucie . Wiersze Pani Zofji Bogdanowiczowej którą uważam ze jedną z najzdolniejszych naszych poetek. . Pan Feliks jej mąż jest dalekim sąsiadem Syłgudyszek. Ojciec jego dzierżawił majątek w okolicy Dawgiel, tam gdzieś na północ od Tawrogin. Była to niegdyś rodzina zamożna i posiadał znaczne ziemie między Traszkunami a Buboczem. Sąsiadujemy z Państwem Bogdanowiczami w małym domku tu w Północnej Walji.

Trudno opisać jakie uczucia ogarnęły nas na wiadomość o zniszczeniu Ostrej Bramy i Rosy. Trudno mi nawet o tem pisać , bo co bym nie napisał wrzystko by tchnęło beznadziejną banalnością.

Zniszczono wiele pamiątek na Rosie, groby naszych wielkich ludzi Syrokomli , Józefa Montwiłła . Na Rosie pochowaliśmy naszych Rodziców, przewiozłszy ich trumny z krypt Kościoła Św Katarzyny w Petersburgu do Wilna.

Wrzystko składa się na to, że mi nad wyraz ciężko zabrać się do spisywania" dnia powszedniego " i wydarzeń i wypadków z owego okresu, a nawet wrzystkie zdarzenia które dla nas wydawały się wówczas czemś bardzo ważnym są w porównaniu z ostatniemi klęskami które spadły na nasze drogie Wilno, nawet czemś mniejszym niż " burza w szklance wody ".

W Styczniu owego 1912 roku mieliśmy kilka zebrań politycznych , miałem możność zaznajomić się bliżej z życiem intelektualnym Wilna

Byłem nawet zaproszony na zebranie " Szubrawców" Wileńskich do których należała elita inteligencji Wileńskiej. Nie miałem pojęcia o tem co to są „Szubrawcy" i do dziś dnia nie znam historji tego dziwnego zgromadzenia ludzi , zgromadzenia które już wówczas miało swoją dawną historję. W każdym razie było to zgromadzenie tajne, do którego nie łatwo było przeniknąć a „outsider" nie łatwo bywał tam wpuszczany. Jedynym żyjącym autorytetem jest tu na obczyznie prof Stanisław Kościałkowski.

Nie była to w każdym razie żadna loża masońska, gdyż należało do niej wielu z wierzących i praktykujących katolików.

„Szubrawcy" zbierali się wówczas w mieszkaniu p. Tadeusza Wróblewskiego, sławnego adwokata i miłośnika książek. Pan Tadeusz był twórcą bibljotego jego imienia którą w swej ostatniej woli przekazał Uniwersytetowi Stefana Batorego.

Pamiętam, żem był wprowadzony do sali, gdzie zastałem już kilka

kilkanaście osób. Światło było przyćmione, nie mogłem od razu rozeznać siedzących tam gości. Na ścianie wisiał olejny obraz, wyobrażający pana Bronisława Umiastowskiego, lecącego gdzieś wdal na łopacie ponad mury i wieżyce Wilna.

Pan Bronisław był jednym z naszych czołowych endeków. Był to zamożny ziemianin z pow. Lidzkiego. Ożeniony był z Panną Salmonowiczówną, siostrą Karola i miał dwie córki / wówczas podlotki /. Pan Bronisław był członkiem Rady i długoletnim skarbnikiem Towarzystwa Wileńskiego Rolniczego. Zapewne był jednym z ważniejszych wtajemniczonych i pełnił jakąś funkcję odpowiedzialną, skoro wizerunek jego ozdabiał salę zebrań.

Przez dyskrecję, nie dopytywałem się co oznacza owa łopata. Noszę się z zamiarem napisania do prof. Kościałkowskiego bawiącego w Anglji, aby mnie to wyświetlił.

Oprócz p. Bronisława i gospodarza ujrzałem wuja Dr Witolda Węsławskiego, dr Zahorskiego, p. Kazimierza Dmochowskiego, Dr Dembowskiego, Dr Hłaskę i kilku innych znanych mi z widzenia osób, których nazwisk nie pamiętam. Siedziałem w milczeniu nie otwierając ust, aby nie przeszkodzić ogólnej przyciszonej a złożonej z krótkich zdań lub słów rozmowie, których treść, zapewne była dostępna jedynie dla wtajemniczonych.

Tem nie mniej, zobowiązałem się nie wyjawiać nikomu gdziem był i com słyszał. Około północy opuściłem mieszkanie p. Tadeusza a będąc wyczerpany i głodny skierowałem swoje kroki do Klubu Szlacheckiego, gdzie szczęśliwie spotkałem Olutka Kaszowskiego i po wypiciu z nim kilku kieliszków starki odświeżyłem swój zmęczony umysł, pogadanką o rzeczach więcej dla mnie dostępnych mianowicie o ewnetualnym polowaniu na niedzwiedzie u mego szwagra Wańkowicza.

dokąd oboje byliśmy zawczasu zaproszeni. Stanowczo nie nadaję się do żadnych tego rodzaju zebrań.... simplex servus Dei ... simplex servus Dei..... jak miał się o mnie wyrazić p. Tadeusz Wróblewski.

Tegoroczny karnawał i "Ach" ściągnął do Wilna sporo przyjezdnych osób. Patronat nad " Achem " objęła Iza Lubańska z Worończy, kuzynka mojej żony. Codzień mieliśmy więc w sali Georges'a próby na które gromadzili się nietylko aktorowie, ale i wrzyscy wtajemniczeni w zakulisowe sprawy " Achu " Program miał być niepodzianką dla publiczności.

Było kilka ładnych debiutantek, między innemi przemiłe panny Szostakowskie. Pan Szostakowski był jednym z wybitnych adwokatów wileńskich Państwo Szostakowscy / ona Umiastowska z domu/ mieszkali w pięknej własnej wili na pohulance, gdzie się zbierało w czasie karnawału wiele młodzieży.

Nie wiem jakim cudem i za czyją namową zjechało na karnawał towarzystwo z Królewstwa, składające się z Hr Władysławów Zamoyskich- ona Stecka z domu. pani Romy Czarnockiej i pani Łosiowej z Lubelszczyzny

Oczywiście byli przyjęci, jak zwykle, bardzo gościnnie przez gospodarzy "Achu" i zapewne pozostali by dłużej, gdyby nie dziwnie aroganckie zachowanie hr Władysława Zamoyskiego. Nazajutrz po ich przyjeździe znaleźli się u Georgesa na kolacji. Sala była przepełniona . Wielu z panów było we frakach z powodu wieczoru urządzanego przez państwa Dolińskich .

W trakcie kolacji hr Władysław zawołał na służącego ze słowami " Nie wiem jak mam wołać na ciebie, bo tu w Wilnie niewiadomo, kto jest " panem a kto lokajem " Słowa te wypowiedziane bardzo głośno, aby wrzyscu słyszeli podniosło na nogi całą salę.

Ozwały się głosy, albo ten pan wyjdzie zaraz, albo my wrzyscy wyjdziemy

Jakoż większość z obecnych na sali, wstała i skierowała się ku drzwiom wejściowym. Nie byłem przy tem obecnym, nie wiem jak się zachował hr Zamoyski . Faktem jest, że nazajutrz, rano, pierwszym pociągiem opuścił Wilno ż powrotem do Warszawy.

Pozostała jednak hr Zamoyska i obie panie Czarnocka i Łosiowa. Nazjautrz było wielkie przyjęcie u Lubańskich w salach hotelu George'sa.

Przed Kolacją Iza Lubańska zwróciła się do mnie z przykrą prośbą, abym prowadził do kolacji hr Zamoyską. " Jako moj powinowaty pomóż " mnie, bo nikt niechce prowadzic do stołu hr Zamoyską po wczorajszym " zajsciu ". Przyznam się że nie bardzo mi się uśmiechała, ta propozycja, nie mogłem jednak odmówić Izie Lubańskiej, dla której miałem wiele sympatji. Nie mogło mi się pomieścić w głowie, dlaczego hr Zamoyska nie wyjechała razem z mężem . Ogólnym zdaniem, był to wielki nietakt. Nie mogliśmy jednak robić afrontu kobiecie.

Siedzieliśmy więc w "splendid isolation". Nadrabiałem jak mogłem chcąc ją zabawic rozmową . Zauważyłem, że przyszła do kolacji już nie zupełnie trzeźwa . W czasie kolacji wyraziła chęć zahipnotyzowania mnie , czemu się stanowczo oparłem. Miała rzeczywiście coś dziwnego w wzroku. Położyła przedde mną na stole serwetkę.

"Niech pan spojrzy przed siebie "- rzekła. W tej chwili zobaczyłem że serwetka pod wpływem jej wzrodku podniosła się na kilka dobrych cali nad stołem i zawisła w powietrzu.

" Widzę - rzekłem - całe szczęście że nie jestem serwetką i że " nie poddałem się urokowi oczu Pani.

" Kto wie co by pan zrobił gdybym chciała pana zahipnotyzo- " wac - odparła.

Nie lubię takich eksperymentów, to też z ulgą wstałem od stołu i pośpieszyłem do gospodyni, aby zdać jej sprawozdanie z przebiegu naszej rozmowy . - Gdybym wiedział Izo, co ma mnie spotkać nigdybym - się nie zgodził na takie sąsiedztwo przy stole.

dokąd oboje byliśmy zawczasu zaproszeni. Stanowczo nie nadaję się do żadnych tego rodzaju zebrań.... simplex servus Dei ... simplex servus Dei..... jak miał się o mnie wyrazić p. Tadeusz Wróblewski.

Tegoroczny karnawał i „Ach" zciągnął do Wilna sporo przyjezdnych osób. Patronat nad " Achem " objęła Iza Lubańska z Worończy, kuzynka mojej żony. Codzień mieliśmy więc w sali Georges'a próby na które gromadzili się nietylko aktorowie, ale i wrzyscy wtajemniczeni w zakulisowe sprawy " Achu " Program miał być niepodzianką dla publiczności.

Było kilka ładnych debiutantek, między innemi przemiłe panny Szostakowskie. Pan Szostakowski był jednym z wybitnych adwokatów wileńskich Państwo Szostakowscy / ona Umiastowska z domu/ mieszkali w pięknej własnej wili na pohulance, gdzie się zbierało w czasie karnawału wiele młodzieży.

Nie wiem jakim cudem i za czyją namową zjechało na karnawał towarzystwo z Królewstwa, składające się z Hr Władysławów Zamoyskich- ona Stecka z domu. pani Romy Czarnockiej i pani Łosiowej z Lubelszczyzny. Oczywiście byli przyjęci, jak zwykle, bardzo gościnnie przez gospodarzy „Achu" i zapewne pozostali by dłużej, gdyby nie dziwnie aroganckie zachowanie hr Władysława Zamoyskiego. Nazajutrz po ich przyjeździe znaleźli się u Georgesa na kolacji. Sala była przepełniona . Wielu z panów było we frakach z powodu wieczoru urządzanego przez państwa Dolińskich .

W trakcie kolacji hr Władysław zawołał na służącego ze słowami " Nie wiem jak mam wołać na ciebie, bo tu w Wilnie niewiadomo, kto jest " panem a kto lokajem " Słowa te wypowiedziane bardzo głośno, aby wrzyscu słyszeli podniosło na nogi całą salę.

Ozwały się głosy, albo ten pan wyjdzie zaraz, albo my wrzyscy wyjdziemy

jakoż większość z obecnych na sali, wstała i skierowała się ku drzwiom wejściowym. Nie byłem przy tem obecnym, nie wiem jak się zachował hr [illegible] Zamoyski . Faktem jest, że nazajutrz rano, pierwszym pociągiem opuścił Wilno z powrotem do Warszawy.

Pozostała jednak hr Zamoyska i obie panie Czarnocka i Łosiowa. Nazjautrz było wielkie przyjęcie [illegible] u Lubańskich w salach hotelu George'sa.

Przed Kolacją Iza Lubańska zwróciła się do mnie z przykrą prośbą, abym prowadził do kolacji hr Zamoyską. " Jako mój powinowaty pomóż " mnie, bo nikt niechce prowadzić do stołu hr Zamoyską po wczorajszym " zajściu ". Przyznam się że nie bardzo mi się uśmiechała, ta propozycja, nie mogłem jednak odmówić Izie Lubańskiej, dla której miałem wiele sympatji. Nie mogło mi się pomieścić w głowie, dlaczego hr Zamoyska nie wyjechała razem z mężem . Ogólnym zdaniem, był to wielki nietakt. Nie mogliśmy jednak robić afrontu kobiecie.

Siedzieliśmy więc w „splendid isolation". Nadrabiałem jak mogłem chcąc ją zabawić rozmową . Zauważyłem, że przyszła do kolacji już nie zupełnie trzeźwa . W czasie kolacji wyraziła chęć zahipnotyzowania mnie , czemu się stanowczo oparłem. Miała rzeczywiście coś dziwnego w wzroku. Położyła przedde mną na stole serwetkę.

"Niech pan spojrzy przed siebie "- rzekła. W tej chwili zobaczyłem że serwetka pod wpływem jej wzrodku podniosła się na kilka dobrych cali nad stołem i zawisła w powietrzu.

" Widzę - rzekłem - całe szczęście że nie jestem serwetką i że " nie poddałem się urokowi oczu Pani.

" Kto wie co by pan zrobił gdybym [illegible] chciała pana zahipnotyzo- " wac - odparła.

Nie lubię takich eksperymentów, to też z ulgą wstałem od stołu i pospieszyłem do gospodyni, aby zdać jej sprawozdanie z przebiegu naszej rozmowy . - Gdybym wiedział Izo, co ma mnie spotkać nigdybym - się nie zgodził na takie sąsiedztwo przy stole.

Nazajutrz obie panie hr Zamoyska i p. Roma Czarnocka których łączyła jakaś dziwna przyjaźn opuściły Wilno.
Na placu pozostała pani Łosiowa, która przebyła jeszcze parę tygodni w Wilnie. Była ona przedmiotem stałych dowcipów p. Dominika Dowgiałły, który zwykle nad ranem, zapraszał wrzystkich do t zw. restauracji myśliwskiej, a w tej liczbie i panią Łosiową na " łosie chrapy".
" Ach " tegoroczny odniósł wielki sukces , karnawał był bardzo ożywiony zjechało bowiem sporo młodzieży z królestwa , bowiem w Warszawie obowiązywała żałoba narodowa z powodu Chełmszczyzny i nie było zabaw oficjalnych, które mogły by pociągnąć za sobą różne przykre konsekwencje ze strony ulicy-jak dla gospodarzy tak i dla gości.

Starałem się ograniczyć swój udział w "Achu" do minimum, bowiem dyrekcja banku patrzyła niechętnym okiem na to że " poważny radca" pospolituje się na scenie a przez to naraża prestige bankowy.

Moja rola ograniczyła się do odegrania razem z Leonem Romerem sceny pod tytułem "Quasimoda". Była to parodja projektu połączenia dwuch pism konserwatywnego Kurjera Litewskiego z endeckim dziennikiem wileńskim. Na scenę wystąpił "quasimoda" mający trzy nogi /nogi od środka mieliśmy związane ręcznikiem i dwie głowy to jest Leona i moją które się między sobą spierały.

" Unja ende i ugoda
" Wytworzyła "quasimoda"
" Trudno bowiem dojsc do zgody
" Ten jest ende , ten krajowy.

................

pod pretekstem różnych zajęć wymigałem się od innych ról, które mnie panie gwałtownie narzucały.

pod koniec Lutego skorzystałem z kilku wolnych dni i razem z Olutkiem Kaszowskim wybraliśmy się Słobodki położonej na dalekiej Ihumenszczyźnie na obławę na niedźwiedzia. W Borysowie czekały na nas konie wysłane przez mego szwagra Piotra Wańkowicza. Niski, gontem kryty dwór w Słobódce był już pełen gości. Zastałem tam malarza Henryka Weyssenhofa, malarza Wierusza Kowalskiego, Tola i Witolda Wańkowiczów, dra Zaboroskiego z Warszawy Edwarda i Zygmunta Kurnatowskich z Wielkopolski. Edward Kurnatowski był ożeniony z panną Sianożęcką z Mohylewszczyzny brat jego Zygmunt, szambelan dworu cesarskiego w Berlinie członek Izby panów t zw. " Hrabia z Przysieki " znany był ze swego temperamentu

Nazajutrz rano byliśmy już na stanowiskach. Miałem na strzał dwuch niedzwiedzi nie strzelałem, jako krewny gospodarza domu, aby dać możność strzału zaproszonym gościom.

Ogromny niedźwiedź ruszony z barłogu wyszedł również na Witolda Wańkowicza z Szypian, ten z tych samych co i ja powodów nie strzelał, a starał się powiewając chusteczką od nosa skierować niedzwiedzi na sąsiada. Zabito dwa niedziwiedzie Zygmunt Kurnatowski zabił starego niedźwiedzia / był spór między nim a bratem jego Edwardem, ale kula stucerowa jak się okazało pasowała do sztucera Zygmunta a nie Edwarda/ drugi niewielki dwuletni niedźwiadek padł od kuli p. Wierusza Kowalskiego.

Uważałem, że służba leśna miała jakiś zabobonny strach przed niedźwiedziem i uważało zabójstwo niedzwiedzia za coś co może ściągnąć na zamieszanego w tej sprawie jakieś nieszczęście. Niedziwedź według mniemania miejscowej ludności jest nie zwierzęciem a człowiekiem.

Przydzielony do mnie przez łowczego gajowy, a mój dobry znajomy z toków głuszcowych Oskierka, na widok niedźwiedzia targnął mnie za rękaw i szeptem prosił abym nie strzelał do miszki.

# J Ó Z E F   M O N T W I Ł Ł

W Marcu tego roku Wilno i całe społeczenstwo litewskie poniosło niepowetowaną stratę . Zmarł pan Józef Montwiłł, jeden z najwybitniejszych mężow epoki popowstaniowej. Był on [illegible] jednym z założycieli i Dyrektorem naczelnym wileńskiego banku ziemskiego, był on twórcą owej znamiennej w historji Wilna " epoki montwiłłowskiej. Ten tak nam spokojny , wytrwały, zdawało by się mało dostępny człowiek był jak może nikt czułym na niedolę i potrzeby ludzkie. Zdołał on zebrać koło siebie wrzystkie chętne a zdolniejsze jednostki [illegible] czy to wsród sfer robotniczych, czy inteligencji miejskiej, czy wsród ziemiaństwa litewskiego i zaprzęgnąć do wspólnej pracy. Całą swą wielką fortunę używał dla dobra społeczeństwa. Wychował szereg zdolnych a dzielnych ludzi. Będąc kawalecałe swe serce oddał na usługi kraju. Świetny bankowiec i ekonomista wymagał od swych pracowników rzetelnej pracy i rzeczowego, powiedział bym ekonomicznego podejścia, do spraw społecznych. Nie znosił histerji filantropijnej.

On to był założycielem towarzystwa " Kropli mleka ". Towarzystwa opieki nas sierotami , nad matką i dzieckiem. Jemu też Litwa zawdzięcza powstanie kas wkładowo [illegible] pożyczkowych, ktore gęstą siecią pokryły Żmudz i Litwę Katolicką. Jego to staraniom zawdzięcza Wilno powstanie spółdzielni stolarzy i Szkoły Rzemiosł.

Był założycielem Lutni Wilenskiej, jedynego ośrodka artystycznego za czasów generał gubernatorskich, tej Lutni, która wydała wybitnych muzyków a zyskała sobie taką sławę, że żaden z wybitnych artystów w drodze do Petersburga nie omijał Wilna. Grywali tu i Padarewski i Hofman i Śliwiński i stary Kęcki i Młynarski, grał na skrzypcach Wierzbiłłowicz, Barcewicz , spiewały Zembrich Kochanska, Kruszelnicka Bolska.

Przy jego głównym współudziale powstał Wileński Bank Ziemski - instytucja która pierwsza otworzyła kredyt hipoteczny długoterminowy dla katolickiej wsi i miast i wyciągnęło ziemiaństwo i mieszczaństwo z rąk lichwy. Do czasu, powstania Banku Ziemskiego ziemiaństwo nie miało źródeł kredytu, gdyż t.zw. Państwowy Bank Dworzański - jedyna instytucja hipoteczna, była zamknięta dla polaków i katolików. . Wileński Bank Ziemski, którego finansami kierowała umiejętna ręka pana Józefa, wysunął się na czołowe stanowisko wśród banków ziemskich Państwa . Pan Józef Montwiłł, był też inicjatorem założenia Wileńskiego Banku Handlowego, instytucji kredytu krótko terminowego. W celu podźwignięcia rzemiosł, a szczegulnie tkactwa, Pan Józef założył w miasteczku Szaty w pobliżu jego majątku Mitianiszki pierwszą szkołę tkactwa, która dała początek dalszemu rozwojowi tego rzemiosła na Litwie i Inflantach Podobną szkołę za namową pana Józefa założyła panna Anna Mohlówna w Rzerzycy na Inflantach.

Ostatnią zakrojoną na szeroką skalę pracą społeczną było założenie spółdzielni budowlanej. Powstały tak zwane kolonje montwiłłowskie zabudowane pięknemi murowanemi domkami, otoczonemi ogrodami . Jedna Kolonja była w okolicach Rosy, druga przylegała do placu Łukiskiego.

Ten nasz wielki wilnianin zwykł był mawiac " pieniądze to głupstwo, " dajcie mi przedewrzystkim ludzi a pieniądze same się znajdą.

I tak się stało znaleźli się ludzie, znalazły się pieniądze a jak grzyby po deszczu, mimo przeszkód stawianych przez administrację rosyjską zaczęły powstawać przedsiębiorstwa prywatne , podniósł się przemysł , handel gospodarstwa rolne.

Głęboki znawca ludzi - pan Józef zwykł był mawiać.

" Kto do dwudziestu lat nie był choć trochę socjalistą, ten nie miał
" serca , ale kto po trzydziesctce nim pozostał znaczy że nie miał
" głowy.

Wybrany posłem do Dumy z miasta Wilna, nie mógł się uchylić od tego ciężkiego obowiązku. Tęsknił za Wilnem , życie petrsburskie męczyło go jak męczyły ciągłe podróże z Wilna do Petersburga.
Zauważyliśmy że ze zdrowiem jego było coraz gorzej, tembardziej że jak i jego bracia cierpiał na serce.

Pamiętam na kilka dni przed jego śmiercią pomagałem mu włożyć płaszcz.

" Widzi pan , panie Mieczysławie , jaki ze mnie niedołęga , a czuję
" że już długo nie pobędę z wami - rzekł z odcieniem smutku w głosie

Odprowadziliśmy go na Rosę gdzie został pochowany. Wdzięczne miasto ze składek wystawiło pomnik swemu dobroczyńcy.

W czasie jego pogrzebu, zdawało się że całe miasto wyległo na ulice aby wziąść udział w pochodzie i zamanifestować swoje uczucie i swój żal za zmarłym. Nie pomiętam takich tłumów. Orszak pogrzebowy ciągnął się na parę kilometrów.

Po śmierci pana Józefa trzeba było zaraz stworzyć instytucję, która by przejęła całą pracę i nadzor nad olbrzymim dziełem pana Józefa.
Utworzono Kuratorjum Fundacji Montwiłłowskich do których weszła rodzina zmarłego oraz jego najbliższy współpracownik zacny pan Ostreyko.

Pan Józef Montwiłł, był to mąż wielkiej miary, który o głowe przerastał otoczenie, był to człowiek fanatycznie przywiązany do Wilna i do Litwy, człowiek - ktory się dobrze zasłużył swemu miastu i swej ziemi rodzinnej

Po śmierci pana Józefa prezesem Zarządu Banku, został pan Paweł Kończa ~~[illegible]~~ jeden z dyrektorów a na jego miejsce powołano dotychczasowego naszego prezesa Komisji Szacunkowej Józefa hr O' Rourka

Po przejściu Józia O' Rourka do Dyrekcji bankowej na wakujące miejsce wszedł z wyborów Władysław Meysztowicz z Pojościa, mój starszy kolega z Arkonji. Jako najstarszego wybraliśmy go na naszego prezesa. Zyskaliśmy w nim miłego i lojalnego kolegę, a ze wszech miar pracowitego człowieka.

Nadszedł Marzec . Ckliwo mi było w mieście, bo pod koniec Marca zaczynały zwykle już swą pieśń wiosenną głuszcę i serce ciągnęło do kniei. Niestety mogłem zaledwie wyrwać się na parę dni do Syłgudyszek i zajrzeć do rewirów Mintowciskich do mego przyjaciela starego leśnika Dewejkisa. Udało mi się podejść" pięknego starego głuszca, a po drodze do domu położyć parę kogutów cietrzewich.

Miałem z powrotem sporo roboty, ze względu na walny zjazd członków Wileńskiego Towarzystwa Rolniczego a na mnie jako na urzędującego viceprezesa, spadł obowiązek zreferowania spraw bieżących towarzystwa . Z powodu zdrowia pana Edmunda Bortkiewicza prezesa syndykatu, Rada obciążyła mnie obowiązkiem do częściowego zastępowania pana Edmunda w razie potrzeby w Syndykacie.

Nie widziałem żadnych przeszkód po temu, a byłem przyzwyczajony, że na mnie jako na młodszego składano różne dodatkowe zajęcia. Zresztą Syndykat należał do rzędu " murowanych " instytucji, to jest że był prowadzony wzorowo, sprawnie obsługiwał klijentów i jak wynikło ze sprawozdania pana Edmunda dał i w tym roku operacyjnym poważne zyski.

Nie wiem jednak czemu, zajrzawszy kilka razy do buchhalterji syndykatu ogarnął mnie jakiś niewytłumaczony niepokój.

Nie przypisuję sobie jasnowidztwa, ale nie ukrywam że zawsze miałem to co szkoci nazywają „second sight" i nieraz moje przeczucia okazały się słusznemi.

Jako członek rady i urzędujący viceprezes towarzystwa, byłem w stałym kontakcie z dyrektorem Syndykatu panem Jasińskim , znałem dobrze cały personel a ponieważ Syłgudyszki należały do większych klijentów Syndykatu, sprowadzaliśmy bowiem sporo nawozów sztucznych, narzędzi rolniczych płacąc za wrzystko gotówką, więc rzecz oczywista, często zaglądałem w naszych sprawach do buchhalterji.

„Spiritus movens" rachunkowości była starsza nieco garbata pani której nazwiska z wielu względów nie chcę wymieniać i zapewne jakiś jej krewny. Uważana była za tak doskonałą buchhalterkę i kasjerkę a że nikomu nie przyszło by do głowy, posądzać ję o jakieś zaniedbania. Pan Edmund opierając się na opinji Dyrektora Jasińskiego a będąc z natury człowiekiem dobrym i w każdym upatrując najlepsze tylko strony wierzył ślepo, że prowadzenie rachunkowości jest wzorowe.

Tem nie mniej coś mnie tknęło. Chcąc postępować lojalnie względem pana Edmunda , podzieliłem się z nim memi obawami. Uspokoił mnie mówiąc że trzyma rękę na pulsie i jest przekonany, że nie mam najmniejszych podstaw do niepokoju.

Jak się następnie okazało moje przeczucia były słuszne, ale o tem będę mówic poniżej. Tymczasem wrzystko zapowiadało się jak najpomyślniej. W Maju jak zwykle urządzaliśmy pokaz inwentarza żywego połączony ze sprzedarzą, coś w rodzju jarmarku wiosnnego.

Musiałem też przyłożyć się aby dopomódz w organizowaniu pokazu wspolnie z prezesem sekcji hodowlanej panem Stanisławem Sienkiewiczem

Wielkanoc spędzilismy w Syłgudyszkach i po kilku dniach wróciliśmy do Wilna. Czekały na mnie różne wyjazdy w sprawach bankowych.

Na począetku Maja dostałem pismo od Księcia Władysława Druckiego Lubeckiego , że się porozumiał z Dyrekcją banku i że prosi, abym w sprawach nie cierpiących zwłoki przyjechał do niego , do jednego z jego majątków, MIANOWICIE, Stanisławowa położonego pod Grodnem.

# CZERLONY

Miało się ku wieczorowi, gdym na stacji kolejowej w Grodnie wysiadł z pociągu pośpiesznego Petersburg-Warszawa. Na peronie czekał mnie ks Władysław Drucki-Lubecki. Siedliśmy do powozu i w kilkanaście minut stanęliśmy w Stanisławowie przed kolumnadą pięknego pałacyku, będącego niegdyś letnią rezydencją króla Stanisława Poniatowskiego.

Był piękny wieczór wczesnego Maja. Jeszcze bzy nie rozkwitły, ale sady tonęły w kwieciu różowawym jabłoni i białych kiściach czereszni i grusz.

Pałac stanisławowski, chociaż umeblowany stylowo, pełny rzeźb obrazów i portretów, był martwy. Książe nigdy nie bawił tam dłużej ponad kilku dni. Rezydencją był Szczuczyn. Mimo wzorowej czystości i licznej służby przebywającej stale w Stanisławowie czuć było jakiś chłód wiejący ze wrzystkich ścian, pachniało trochę stęchlizną.

Po kolacji wyszliśmy z cygarami do parku; z różnych stron dochodziły nas pierwsze wiosenne jak by niepewne, jak by nierozśpiewane trele słowików.

Uważałem od pierwszej chwili, że książe był jakiś nie swój, jakiś zafrasowany, nigdy go takim nie widziałem. Zawsze lubił pożartować ze mną, podrażnić mnie że jestem zaciętym litwinem, tym razem jakaś troska osiadła mu na czole. Był, jak na niego, mało rozmowny.

" Prosiłem Dyrekcję Banku żeby delegowała do mnie Pana, któremu sprzyjam i ufam."

" Prosiłbym aby pan zechciał oszacować tę część Stanisławowa
" która ma odejść na przymusowe wywłaszczenie pod rozbudowę fortów
" twierdzy grodzieńskiej. Jest to poniekąd tajemnicą wojskową
" dlatego prosiłbym pana o dyskrecję. Zresztą władze, mając
" zapewne na względzie pańskie stanowisko przy Ministrze Rolnictwa
" i wybaczy pan , pańską " błagonadiożnost / zgodziły się na
" pańską taksację i wydały zezwolenie na przebywanie w zakazanym
rejonie TWIERDZY
" Ludzie opowiadają tyle głupstw , ale to nic nie ma wspólnego z
" prawdą. - rzekł książe.
" Wybaczy książe rzekłem, ale ciesząc się zaufaniem księcia
" jestem o tyle niedyskretny , że uderzyła mnie zmiana jaką w
" panu zauważyłem.
" Mój drógi panie Mieczysławie, mam inne kłopoty , może kiedyś się
" pan o tem dowie .... a no zobaczymy.

Nie dopytywałem się księcia o powody. Tegoż wieczora gawędziliśmy jeszcze dość długo o różnych sprawach krajowych popijając starego węgrzyna.

W czasie rozmowy, dopytywałem księcia o stosunki w grodzieńszczyznie ktorą znałem mało i o ludziach tutejszych. Miałem tam kilku kolegów z Arkonji Marjana Baehra, Konstantego Czetwertyńskiego Oskara Meysztowicza . Dymitra Korybut-Daszkiewicza , Ursyn - Niemcewicza. Adama Viriona , gdym jednak między innemi wspomniał ordynata Jana Bispinga z którym wiedziałem łączyły księcia serdeczne stosunki i różne wspólne interesa zauważyłem że książe się zasępił i co prędzej zwrócił rozmowę na inne tory.

Ordynat Jan Bisping był to dziwny człowiek , ponury, zamknięty w sobie o twarzy wyrazistej z bródką à la Henryk IV, dziwnie zimnej i ostrym, przenikliwym wzroku. Znany był ze swej pobożności która raziła i tchnęła okresem inkwizycji . Był ożeniony z moją bliską krewną Ewą Rumoninianką z Hołonet na Litwie.

Mimo powinowactwa z ordynatem unikałem go, szczegulnie po tragicznej smierci mojej kuzynki spowodowanej dziwnym zachowaniem jej męża w czasie połogu. Mimo groźnego stanu nie sprowadził lekarza , a pozostawił pod opieką miejscowej akuszerki.

Widywałem go nie raz w Wileńskim Banku Ziemskim, ale ani ja do niego, ani on do mnie nie mieliśmy sympatji.

Wiedziałem że książe pomagał mu swoim kredytem w różnych sprawach związanych z rektyfikacją, wiedziałem też że książe nie raz żyrował weksle Bispinga , bo sam mnie o tem mówił.

Narazie przeszliśmy nad osobą Bispinga do porządku dziennego.

Dnia następnego udałem się z księciem na terytorjum forteczne i w towarzystwie jakiego pułkownika sztabu generalnego oszacowałem wartość gruntu według stawek bankowych, gdyż chodziło tylko o wydzielenie z hipoteki ciążącej na Stanisławowie , nie wchodziłem więc w sprawę faktycznej wartości ani ceny wyznaczonej przez rząd

Plany części fortyfikacji po obejrzeniu zwróciłem pułkownikowi, który miał osobiście przywieźć takowe do dyrekcji banku, aby na miejscu skreslić na planie Stanisławowa granice terenu fortyfikacyjnego.

Sprawa ta zajęła nam całe przedpołudnie. Wróciliśmy na obiad do Stanisławowa Po obiedzie zaproponował mi książe, abym pojechał z nim do położonego nad Niemnem w odległości kilku wiorst od Grodna Poniemunia, wchodzącego w skład dóbr księcia.

Była to śliczna rezydencja . Na urwistym brzegu Niemna wśród zieleni rozłożystych lip wznosił się pałacyk , zbudowany w końcu 18 wieku . Z tarasu pałacowego rozciełała się jedyna w swoim rodzaju panorama doliny niemeńskiej i płynącej w dole rzeki

Pałacyk w Poniemuniu aczkolwiek niezamieszkały był umeblowany

i była tam stała służba , gdyż za pod wieczor służący anonsował że kolacja podana . Siedliśmy za stołem zastawionym butelkami i przkąskami, poczem nastąpiły kurczęta , szparagi i jakiś doskonały tort.

Po kolacji wróciliśmy do Stanisławowa, i tegoż wieczora siedliśmy na pociąg dążący z Grodna do stacji Skidel, skąd miałem z księciem przyjechać na noc do Czerlon, niegdyś własności Księcia Minstra Ksawerego Lubeckiego. Czerlony drogą spadku przeszły na księcia Władysława.

Słońce już zaszło ale było jeszcze światło, niebo było czyste bez chmurki . Wysiedliśmy na stacji Skidel. Czekała przed stacją czwórka szpaków.

Stangret uchylił czapki liberyjnej , tragaż wyniósł nasze rzeczy i umieścił w powozie.

" Wybaczy pan , rzekł książe, ale muszę jeszcze czas jakiś przeczekać na stacji, za chwilę wrócę, niech pan tymczasem siądzie do powozu.

Dopiero po trzech kwadransach ukazał się książe, ale dziwnie zmieszany i milczący. Wrzystko to było jakieś zagadkowe.

Ruszyliśmy wreszcie w drogę. Czerlony leżały o kilka wiorst od stacji Skidel i od dóbr Skidel mego kolegi ks Konstantego Czetwertyńskiego . Gdyśmy podjeżdżali do dworu, książe wstał z siedzenia , nie dojeżdżając bramy, kazał stangretowi zatrzymać konie i skinął na mnie w milczeniu ręką. Wysiedliśmy obydwaj z powozu . Książe szedł pierwszy ja za nim. Stangret ruszył sam w stronę dworu , my zaś boczną ścieżką obeszliśmy park i otaczający mur i stanęliśmy przed małą bramką zamkniętą na kłódkę . Książe pociągnął za sznur, odezwał się dzwonek i w kilkanaście minut zgrzytnął zamek wrotka się otworzyły i w nich ukazał się stary służący ubrany w kurtkę liberyjną .

Przeszliśmy park przeprowadzani przez służącego . Było już ciemno, Służący otworzył kluczem drzwi prowadzące do parku i wprowadził nas do wnętrza . Znalazłem w salonie . Na kominku paliły się wielkie smolne kłody rzucając migające czerwone blaski na ściany i meble. Służący zapalił lampy spirytusowe. i odprowadził mnie do przeznaczonego pokoju gościnnego. Nie przeszło kwadransa, gdy słu żący zapukał do drzwi mego pokoju i zaanonsował że książe czeka na kolację w sali jadalnej. Kolacja przeciągnęła się prawie do północy. Gawędziliśmy o różnych sprawach , książe obiecał mi oprowadzić po pałacu Czerlońskim i po apartamentach księcia ministra, które były zachowane z całym pjetyzmem. Nie wolno było poruszyc w tych komnatach ani mebla, ani sprzętu ; wrzystko pozostało tak jak było w dniu śmierci księcia Ksawerego, nawet pióro gęsie porzucone na biorku leżało, jak książe mówił, na tym samym miejscu. Ubieralnia księcia swiadczyła, że książe był wielkim elegantem, takiej kolekcji brzytew, nożyczek , flakonów, luster i lusterek nie oglądałem w swoim życiu .

Było po północy, gdy książe Władysław zaproponował mi obejrzeć jedną rzecz wartą widzenia. Zawołał na służącego i kazał mu czekać przy drzwiach wejściowych w sieni pałacowej Przeszliśmy podwórze pałacowe i doszliśmy do bramy wejściowej składającej się z dwuch domków, po obuch stronach bramy wjazdowej, na podobieństwo siedzib angielskich.. Książe zakołatał do drzwi. Po chwili ukazał się odźwierny w narzuconej naprędce kurtce liberyjnej. Książe szepnął mu parę słów . Służący wrócił niosąc zapaloną latarkę i pęk kluczy. Zeszliśmy za nim po stromych drewnianych schodkach do podziemi. Pierwsza sklepiona izba była poprostu zawalona starą porcelaną saską, serwską i korecką, stosy tej porcelany piętrzyły się aż pod sufit. Na półkach stały srebra wazy, kandelabry, kryształy oprawne w srebro.

~~to co zobaczyłem w drugiej piwnicy do której my przeszli~~

ale dopiero gdyśmy weszli do środka, przez niskie przejscie ogranęło mnie zdumienie . Nie widziałem nic podobnego w życiu swoim.

Proszę sobie wyobrazić wielką sklepioną izbę, której podłoga na pół stopy pokryta była warstwą piasku. Z tej warstwy sterczały szyjki od setek butelek ustawionych w rzędy według gatunku wina czy miodu ~~[illegible]~~. Przy ścianach stały na kozłach wielkie okute zerdzewiałym już żelazem beczki . W niszach sciennych stały ogromne gąsiory napełnione winem miodem i starką.

Byłem tak oszełomiony tym widokiem, że nie mogłem wybąknąć słowa. Milczenie przerwał książe." Widzi pan, panie Mieczysławie ,to jest " bez przechwałek, chyba jedna z największych kolekcji tego ro-
" dzaju w Polsce, kolekcja, której napewno nie znajdzie się bodaj
" i u Fukiera. Oprócz węgrzyna i miodu wreszcie starki mam tu
" i wina francuskie nieco młodszej epoki, a więc Burgund i białe
" wina Bordeaux , naogół czerwone wina gorzej się przechowują,
" ale takich słodkich deserowych białych win nie znajdzie pan
" nigdzie . Co do węgrzyna to jak pan widzi w tym ~~[illegible]~~
" oto oddziale - tu wskazał mi na kwadrat usypanego piasku, są
" wina sięgające początków XVIII wieku, a mam kilkanaście butelek
" miodu z konca XVII wieku.

" Piwnicę tę odziedziczyłem po książciu Ksawerym Lubeckim . Szczę-
" śliwie zdołaliśmy ją zabezpieczyć i zataić tak że prztrwała
" wojny i powstania. Proszę też, aby pan obiecał że zachowa
" to w scisłej tajemnicy - rzekł wyciągając do mnie rękę.

" A teraz weźmiemy z sobą parę butelek, a o ile pan nie jest jeszcze
" zmęczony pogadamy trochę przy ~~[illegible]~~ lampce. Co pan woli
" miod ~~[illegible]~~ czy węgrzyn. Zresztą wezmę po butelce jednego i
" drugiego.

Wróciliśmy do pałacu i przy butelce miodu i węgrzyna spędziliśmy na pogawędce czas aż świtu. Było już jasno, gdyśmy udali się na spoczynek. Książe rozmawiał ze mną bardzo otwarcie. Dowiedziałem się różnych rzeczy, k[illegible] oświetliły mnie [illegible] ONE pewną sprawę która poruszyła całą opinję .społeczeństwa. Treść tej poufnej z księciem Władysławem rozmowy, zabiorę [illegible] z sobą do grobu.

[illegible] Za jedno mogę [illegible]ręczyć, że wszelkie podsuwane sugestje o ingerencji lub tendecji do usunięcia księcia Władysława [illegible] [illegible] przez rosyjską ochranę były i będą wierutnym kłamstwem. Nazajutrz przed południem po wczesnym śniadaniu rozstaliśmy się z księciem.

W kilka tygodni po mojej tam bytności , spotkałem księcia w Banku, i umówiliśmy się razem na śniadanie w hotelu Georgessa. Książe miał tegoż dnia wyjechać wieczorem do Teresina posiadłości leżącej pod Sohaczewem nabytej niedawno przez Księcia.

" Wie pan Panie Mieczysławie , dziwnie mi się nie chce , jechać
" do Teresina , najchętniej wróciłbym do Szczuczyna, jedynie z powodu
" nie cierpiących zwłoki interesów zmuszony jestem jechać do kongre
" suwy , a wie Pan, mam jakieś niedobre przeczucie . Kto wie, czy się
" z panem jeszcze zobaczymy.
" W każdym razie jeżeli [illegible] będę żyw i zdrów zaproszę pana
" jesienią na bażanty, choć bażanty to nie cietrzewie ani głuszce
" w każdym razie będę panu doradzać wziąść z sobą dwie strzelby.
" Dziękuję księciu i zgóry przepraszam że nie będę tak strzelał jak
" koroniarze.

W kilka dni po rozstaniu z księciem byłe oszełomiony wyczytawszy sensacyjną [illegible] a tragiczną wiadomość o zamordowaniu Księcia w parku w Teresinie. Nie będę poruszał tej sprawy. [illegible] Sprawa ta wywołała [illegible]zrozumiałe rozdwojenie opinji ogółu .

Rozdwojenie to doszło do zenitu w czasie rozprawy sądowej o zabójstwo księcia. Wiele stosunków towarzyskich i przyjacielskich na Litwie zerwało się w tym okresie, a przez długie lata opinja ludzi stojących blisko ks Władysława a w tej liczbie i mnie nie mogła się uspokoić.

Przeszło od tego czasu tyle lat i aktorowie, oraz ofiara tej strasznej zbrodni dawno już w grobie i Bóg im sędzią. Pisząc te słowa, myślę jeno o zmówienie Wiecznego Odpocznienia za duszę Ś.P. księcia Władysława Druckiego Lubeckiego , wielkiego pana, wielkiego oryginała , ale nad wyraz zacnego i uczciwego człowieka.

koniec opowieści o Czerlonach

---

S P A D E K   P O   Hr . M A N U Z Z I C H

Wróciwszy do Wilna zastałem Julę zajętą przygotowaniami do wyjazdu do Kukuciszek, gdzie zamierzała spędzić część lata, a ja moje miesięczne wakacje w Sierpniu. Żona moja była wyjątkową panią domu, znała się świetnie na gospodarstwie i kuchni, trzymała wrzystko w żelaznych rękach, miała wiele gustu i była zawołaną ogrodniczką.

Nie miałem czasu na dłuższy pobyt w Wilnie, gdyż po tygodniu musiałem wyjechać do majątku Łodzie położonego o kilkanaście wiorst od stacji i majątku Dukszty, kuzynki mojej Teresy z Dowgiałłów Zanowej.

Sprawa była bardzo zawikłana. Dobra te zajmowały obszar kilku tysięcy hektarów, położonych nad brzegami jeziora Łodzie.

Przez szereg lat, dobra te były w gruncie rzeczy własnością niczyją, będąc pod procesem. Wyznaczony z ramienia marszałka szlachty / rosjanina / powiatu Jeioroskiego, opiekun nie zadawł sobie trudu zaglądania często do dóbr Łodzie.

Był to znany ciągnący się wiele lat proces pomiędzy hr Feliksem Broel Platerem z Belmontu, a francuską rodziną zamieszkałą we Francji Junienów o spadek po hr Manuzzich. Sprawa ta przechodziła przez wrzystkie instancje jurydyczne, były tam apelacje, kasacje wyroków, powtórne rozpatrywanie w sądzie okręgowym. Jedyny bodaj to wypadek że sprawa dwa razy wracała do Senatu i wreszcie nie wiem jakiemi drogami Junienowie przyjęli obyatelstwo rosyjskie i wygrali proces. Nie pamiętam dokładnie całej tej skomplikowanej sprawy. Hrabiowie Manuzzi objęli Łodzie w wianie po hrabinie Manuzzi z domu hrabiance Broel Plater. Wypadało raczej że hr Feliks był prawnym spadkobiercą. Hrabianka Manuzzi wyszła zamąż za p. Juniena.

Podobno Hrabina Manuzzi zastrzegła w testamencie, że ziemie te powinny wrócić do rodziny Broel Platerów a spadkobiercy powinni się zadowolnić spłatą idemnizacyjną ze strony hr Feliksa Broel Platera.

Podczas trwania procesu hr Feliks przez lat kilka faktycznie władał temi dobrami.

Jak wiadomo francuzi w sprawach pieniężnych bywają bezwzględni a często bardzo agresywni. Junienowie zostawszy właścicielami Łodzi, wystąpili z pretensjami do hr Feliksa o wypłacenie im dodatkowego odszkodowania za okres tych kilku lat, podczas których hr. Feliks był w posiadaniu tego majątku.

Mam wrażenie, że pretensje te nie były uzasadnione , gdyż w gruncie rzeczy hr Feliks nie korzystał z dochodu z tych dóbr a cały dochod wkładał z powrotem do opuszczonego srodze majątku.

Była tam jeszcze dodatkowa pretensja o wycięcie kilkuset dziesięcin lasu, również zdaniem moim nie usprawiedliwiona.

Toteż jechałem tam z prawdziwym obrzydzeniem i bynajmniej nie myślałem ukrywać, przed młodym francuzem moich zapatrywań na tę sprawę. Zadaniem moim było oszacowanie obecnego stanu majątku a więc gruntów i drzewostanu.

Ponieważ nie fatygowano się przysłać po mnie konie na stacją wynająłem w miasteczku Dukszty pocztę i ruszyłem w drogę.

Miało się ku zachodowi, gdym stanął przed niewielkim dworkiem przypominającym rządcówkę położonym na brzegu w jeziora Łodzie . Wieczór był cichy ,gładka jak lustro powierzchnia jeziora o zielonawej toni odbijała ostatnie promienie zachodu.

Uroku dodawały kilka wysp porośniętych gonnym borem. Gnieździła się tam niezliczona ilość czapli które napełniały powietrze swym krzykiem. Nigdy w życiu nie oglądałem takiego skupiska czapli ,

Na spotkanie wyszedł młody służący ubrany z kozacka, a za nim jakiś starszy pan o typowej kresowej twarzy orlim nosie i sumiastych wąsach . Szczęśliwie był to nie młody p Junien, a daleki krewny Manuzzich, obywatel ziemski z Ukrainy, który czasowo objął administrację tych dóbr.

Przepraszał mnie bardzo, że nie wysłał po mnie koni, gdyż nie wiedział godziny przyjścia pociągu, po za tem, po raz pierwszy w życiu, od tygodnia bawił na Litwie i nie mógł się jeszcze zorjentować w miejscowych stosunkach, tak różnych od szerokiej Ukrainy.

Był to człowiek światły, o świetnych formach towarzyskich, jak się okzało właściciel pięknego majątku gdzieś w okolicach Żytomierza, zgodził się na kilkutygodniowym wyjazd na Litwę jedynie przez stosunki które go łączyły z hr Manuzzi.

Zawołał na chłopaka po ukraińsku, aby zabrał moje rzeczy i prosił na kolację. W czasie posiłku, rozmówiliśmy się o sprawach majątkowych, z jego słów wyczułem że nie miał najmniejszej sympatji dla francuzów, a wyrażał się w słowach raczej pochlebnych o hr Feliksie, nie wiedząc o moich stosunkach przyjacielskich z tym ostatnim.

Uprzedził mnie zgory, że dobra znajdują się w stanie opuszczonym, że nie może bez uczucia obrzydzenia patrzeć na uprawę roli, na inwentarz, że wreszcie to nie ziemia, a Bóg wie co. Albo glina do lepienia garnków, albo jałowy kamienisty żwir lub piach.
" Jak panowie tu możecie gospodarować na takiej lichej ziemi.
" Żeby mnie ofiarowano miljony nie zgodziłbym się tu zamieszkać a wzdycham do dnia kiedy wrócę do siebie na mój czarnoziem. Szczęśliwie za tydzień wracam. " - rzekł
" Ci francuzi, jak się oni nazywają, zawsze zapominam to sobie
" na tem zęby połamią, mnie ich nie szkoda, znam ich mało, ale
" szkoda mi ziemi i borów waszych dla tych przybyszów z bulwarów
" paryskich "
Nazajutrz rano wyjechaliśmy obydwaj aby obejrzeć cały majątek i lasy co nam zajęło prawie cały dzień, wróciliśmy na zachód do domu zmęczeni i zgłodniali.

Obejrzwaszy Łodzie przyszedłem do przekonania, że to piękny teren i cenny objekt który w dobrych rękach mógł by dawać POWAŻNE zyski.

" Z ziemiańskiego punktu widzenia-rzekł mój gospodarz -, żałuję że
" podobno taki świetny administrator jak hr Feliks Plater , któ-
" rego nie miałem okazji poznać nie utrzymał Łodzi w
" swym ręku, zapewne był by to inny obraz od tego cośmy dziś oglą-
" dali. Mówię to panu otwarcie mimo pokrewieństwa które mnie ponie-
" kąd łączy z temi Francuzami.

Wróciłem na parę dni do Wilna , aby zarządzić przygotowania do wyjazdu mojej Żony do Kukuciszek i zreferować sprawę dyrekcji banku. Anim się spostrzegł , gdy znowu byłem w drodze aż hen na Inflanty a potem dalej na północ na najdalsze rubieże dawnej Rzeczypospolitej leżące na pograniczu Estonji .

---

# UŚPIONY DWÓR

Delikatny przezroczysty zmierzch nocy wiosennej różowił się gdzieś na widnokręgu zorzą poranną. Wysiadłem z powozu przed uśpionym jeszcze dworem w Kamiencu na Inflantach Polskich.

Poleciłem stangretowi, aby odjechał do stajni i nie budził służby i państwa domu, a mnie pozostawił samego. Stanąłem na tarasie parkowym i bezwiednie znalazłem się w jakimś dziwnym czarownym świecie, w jakimś niepojętym misterjum wiosennym oderwanym od rzeczywistości.

Pełną piersią wdychałem ranne powietrze przepełnione oddechem kwitnących konwalji i bzów. Trele tysięcy słowików i głosy budzącego się ptactwa zlewały się w jeden potężny akord tryumfalnego hymnu budzącego się poranka wiosennego.

W dole, w blaskach wschodzącego słońca, mieniła się olbrzymia lustrzana toń jeziora z rozsypanemi na nim nakształt bukietów zielonemi wysepkami.

Fale kwitnącego bzu zalewały cały park, podpływały one aż pod białe mury dworu. Olbrzymie liljowe kiście kwiecia zwieszały ze słupów bramy wjazdowej i ginęły gdzieś szpalerem a jasności poranka.

Jak długo stałem nie pamiętam, straciłem poczucie czasu i rzeczywistości jak by zahipnotyzowany urokiem otoczenia. Była to jedna z tych rzadkich chwil w życiu ludzkim, kiedy Bóg jak by uchyla rąbek życia doczesnego i szarego dnia powszedniego i niespodzianie olśniewa pięknem i bezmierną doskonałością swego dzieła i rzuca na niego snop jasności chyba nie ziemskiej a płynącej z zaświatów raju.

Obejrzwaszy Łodzie przyszedłem do przekonania, że to piękny teren i cenny objekt ktory w dobrych rękach mogł by dawać poważne zyski.

" Z ziemiańskiego punktu widzenia-rzekł mój gospodarz -, żałuję że
" podobno taki świetny administrator jak hr Feliks Plater , któ-
" rego nie miałem okazji poznać nie utrzymał Łodzi w
" swym ręku, zapewne był by to inny obraz od tego cośmy dziś oglą-
" dali. Mówię to panu otwarcie mimo pokrewieństwa ktore mnie ponie-
" kąd łączy z temi francuzami.

Wróciłem na parę dni do Wilna , aby zarządzić przygotowania do wyjazdu mojej Żony do Kukuciszek i zreferować sprawę dyrekcji banku. Anim się spostrzegł , gdy znowu byłem w drodze aż hen na Inflanty a potem dalej na północ na najdalsze rubieże dawnej Rzeczypospolitej leżące na pograniczu Estonji .

# UŚPIONY DWÓR

Delikatny przezroczysty zmierzch nocy wiosennej różowił się gdzieś na widnokręgu zorzą poranną. Wysiadłem z powozu przed uśpionym jeszcze dworem w Kamiencu na Inflantach Polskich.

Poleciłem stangretowi, aby odjechał do stajni i nie budził służby i państwa domu, a mnie pozostawił samego. Stanąłem na tarasie parkowym i bezwiednie znalazłem się w jakimś dziwnym czarownym świecie, w jakimś niepojętym misterjum wiosennym oderwanym od rzeczywistości.

Pełną piersią wdychałem ranne powietrze przepełnione oddechem kwitnących konwalji i bzów . Trele tysięcy słowików i głosy budzącego się ptactwa zlewały się w jeden potężny akord tryumfalnego hymnu budzącego się poranka wiosennego.

W dole, w blaskach wschodzącego słońca, mieniła się olbrzymia lustrzana toń jeziora z rozsypanemi na nim nakształt bukietów zielonemi wysepkami.

Fale kwitnącego bzu zalewały cały park , podpływały one aż pod białe mury dworu. Olbrzymie liljowe kiście kwiecia zwieszały ze słupów bramy wjazdowej i ginęły gdzieś szpalerem a jasności poranka.

Jak długo stałem nie pamiętam, straciłem poczucie czasu i rzeczywistości jak by zahipnotyzowany urokiem otoczenia. Była to jedna z tych rzadkich chwil w życiu ludzkim, kiedy Bóg jak by uchyla rąbek życia doczesnego i szarego dnia powszedniego i i niespodzianie olśniewa pięknem i bezmierną doskonałością swego dzieła i rzuca na niego snop jasności chyba nie ziemskiej a płynącej z zaświatów raju.

Usłyszawszy niespodzianie jakiś głos płynący z drugiego piętra dworu , oprzytomniałem i spojrzałem wgórę ; ktoś mnie wołał po imieniu.

" Panie Mieczysławie , przerywam pańskie marzenia , zaraz
" schodzę na dół do sali jadalnej , proszę na kawę , bo ranek
" jest chłodny " ale prawda jak tu u nas jest cudnie na wiosnę !

W otwartym oknie zobaczyłem twarzyczkę najmłodszej z panien Reuttówien. Była one jeszcze podlotem. Za czasów rygskich na balach nie bywała, ale poznałem ją w gościnnym domu jej rodziców. Starsze siostry moje tancerki z karnawałów rygskich już powychodziły zamąż.

Panienka wyrosła na przystojną wysportowaną, dorodną pannę, była wesoła swobodna , a z całym wdziękiem i gościnnością zapraszała mnie do śniadania. Zapach kawy i widok garnuszków ze śmietanką pokrytych złocistym korzuszkiem wędlin i bułeczek obudził we mnie wilczy apetyt , poczułem jak byłem głodny, a nawet trochę zziębnięty wczesnym chłodnym powietrzem majowym.

Rozgadaliśmy się o dawnych czasach, o Rydze o wspólnych znajomych, Starsza Siostra wyszła zamąż za barona Offenberga syna generała Offenberga z Rygi i mieszkała w sąsiedztwie Kamieńca.

" Wie pan co - rzekła do mnie po skończonym śniadaniu - o ile
" pan nie jest zmęczony i śpiący, zanim wszyscy wstaną
" proponuję panu małą wycieczkę czółnem na wyspy, muszę nazbierać
" konwalji przed śniadaniem. Jest teraz pół do
" szóstej , mamy więc zgórą dwie godziny czasu.

Naturalnie, że chętnie przystałem na tę propozycję. Pobiegliśmy kłusem na brzeg jeziora, odepchnęliśmy łódź , panna ujęła za wiosła .

W swoim życiu nie widziałem takiej ilości konwalji jak na wyspach jeziora w Kamieńcu. Zrozumiałem skąd płynął ten zapach konwalji, który mnie odurzył wczesnym rankiem. Nazbieraliśmy całe ogromne dwa kosze tych kwiatów. Gdyśmy wrócili dom już był rozbudzony.

Przed domem spotkalismy p. Michała Reutta, starszego brata .

" No chwała Bogu odnaleźliśmy Pana , a to ładnie z twojej strony - rzekł zwracając się do siostry - nawet nie dałeś gosciowi chwili
" odpoczynku , Ona gotowa pana zamęczyć , niech się pan nie podda -
" je terorowi mojej siostry.

" Mogę byc tylko wdzięczny Pani, za te niezapomniane chwile pobytu
" na wyspach, nic podobnego w swoim życiu nie widziałem a po raz pierwszy odkryłem prawdziwe piękno
" Inflant.- rzekłem .

A teraz prosimy gościa do stołu , pewnie pan zgłodniały po bezsennej nocy i wycieczce na wyspy.

Zapewniłem, żem był już po doskonałym sniadaniu i kawie, której smaku długo nie zapomnę , co mi nie przeszkodziło żem się zabrał do drugiego śniadania z niemniejszym apetytem.

Przy stole zebrała się rodzina. Przedstawiono mnie starszej przemiłej siwej pani , babce mojej towarzyszki.

Nie wiele miałem co prawda do roboty . Do południa ukończyłem moje prace. Uprzejmy gospodarz proponował mi drzemkę po obiedni, za ktorą podziękowałem.

- Byłam pewna że pan nie należy do ludzi sypiających po obiedzie
- rzekła panna - straciłby pan wiele w moich oczach.
- Ponieważ pan nie sypia, proponowałabym abyśmy za jakieś pół godziny
- odpoczęli w parku, a potem osiodłają nam konie i pojedziemy

odwiedzić pańską dawną tancerkę z czasów rygskich a moją siostrę baronową Offenberg i jej męża.

Zwykłem zabierać z sobą ubranie do konnej jazdy i nie raz w czasie moich pilgrzymek po kraju miałem możność spędzenia kilka miłych chwil na koniu i poznania okolicy.

Majątek baronów Offenbergów leżał w odległości 18 wiorst / km/ od Kamieńca, gdzieś w kierunku na Rzeżycę. Moja towarzyszka siedziała po damsku, co mnie znacznie podniosło ją w oczach / nie lubię gdy panie udają mężczyzn /. Miała pod sobą ładną karo gniadą rosłą klacz. Ja dostałem trochę narowistego, ale z dobremi chodami brudnego kasztana, który okazał się nawet niezłym skoczkiem. Panna Reuttowna nie opuszczała okzaji przeskoczenia rowu lub płotu.

Miałem chwilę emocji, bo jakiś pies wyskoczył raptem z za drzew, klacz się spłoszyła i poniosła moją towarzyszkę. Klacz pociągnęła i mego konia. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności wpadliśmy na równą szeroką piaszczystą drogę i po przegalopowaniu " ventre a terre " dobrych kilku wiorst nasze wierzchowce zwolniły tempa, skorzystałem z tego, żeby w odpowiedniej chwili chwycić za cugle klacz i osadzić ją na miejscu.

Konie po tym galopie były zgrzane i robiły bokami. Zeskoczyliśmy z siodeł, zwolnili popręgi, i dobrą staję szliśmy piechotą prowadząc konie w ręku.

Anim się spostrzegł jak przebyliśmy w niespełna godzinę i trzy kwadranse owe 18 wiorst i stanęliśmy przed dworem państwa Offenrbergów.

Pozostaliśmy tam kilka godzin, aby koniom dać odpocząć. Przypomnieliśmy z baronową dawne dobre czasy rygskie. Dyskretnie

oboje nie poruszaliśmy balu Arkonji. Zaszedł bowiem na tle zazdrości między memi dwoma ówczesnemi kolegami z Arkonji spór, który się skończył pojedynkiem. Był to w historji naszej korporacji jedyny wypadak pojedynku na pistolety między dwoma Arkonami

Z reguły statuty nasze wzbraniały pojedynków wewnątrz stowarzyszenia. Obydwaj koledzy zmuszeni byli wystąpić na ten czas z Korporacji. Pojedynek zakończył się tragicznie , kula przeszyła kiść [illegible] prawej ręki jednego z partnerów. Nieszczęściem ofiarą padł kolega ,który był niepospolitym muzykiem. Po miesiącu obaj koledzy byli przyjęci z powrotem do stowarzyszenia, ale już w charakterze kandydatów , a więc bez prawa używania barw Arkonji i przyjmowaniu udziału w posiedzeniach koła. Dopiero po roku zostali przyjęci na nowo do Koła Arkonji. [illegible]

[illegible]

W owym pamiętnym karnawale baronowa Offenberg była debiutantką, a jak swą urodą tak i szczegulnym urokiem zawojowała serca młodzieży Mieliśmy na balu Arkonji, jako komisarze balowi nie mało kłopotu, aby koledzy zbyt tłumnie nie asystowali Pannie Reutt, ze szkodą innych tancerek. [illegible] Chociaż w zajściu między kolegami nie [illegible] było najmniejszej winy ze strony tej panienki, tem nie mniej całe te zajście mocno ją obeszło i zmusiło do opuszczenia Rygi w najbardziej ożywionym sezonie. W czasie podwieczorku przyglądałem się obydwom siotrom i doprawdy nie wiem, która z nich była przystojniejsza. W każdym razie mogły one z łatwością zawrócić głowę.

Skłamałbym gdybym się nie przyznał , że i ja byłem [illegible] urokiem mojej towarzyszki . Zapewne okoliczności i otoczenie w którym się znalazłem nie mało przyczyniły się do tego. Zapewne gdybym

był młodszy wiekiem , gdybym był nieżonaty, może bym i ja stał się ofiarą uczucia, które opanowuje każdego młodego człowieka o ile nie jest skończonym niezdarą lub „fajtłapą" życiowym gdy się znajdzie w cudowny wieczór majowy na koniu w towarzystwie miłej i przystojnej amazonki.

Wróciliśmy do Kamienca na kolację. Na niebo wszedł księżyc , nastąpiła jak by druga część misterjum wiosennego, ktorego część pierwszę podziwiałem o wschodzie słońca.

Zatrzymywano mnie na dzień następny, niestety musiałem o świcie opuscic Kamieniec aby zdążyć na pociąg idący w stronę Pskowa.

Mimo poprzedniej nocy bezsennej dopiero około północy znalazłem się w swoim pokoju aby zdrzemnąć się parę godzin

Miałem miłą niespodziankę, gdym rozbudzony o świcie przez służącego zastał w sali jadalnej czekającę na mnie z kawą i śniadaniem moją przemiłą towarzyszkę tego niezapomnianego dnia.

---

# ZAPOMNIANY CMENTARZ

W jednej z najbardziej odludnych i zapadłych częsci Inflant wrzynającej się klinem pomiędzy gubernją Pskowską a Estlandją, wsród bezbrzeżnych puszcz lasów i trzęsawisk należących do ordynacji Marjenhauzen rodziny Lipskich leży miescina Bołowsk.

Linja kolei petersbursko warszawskiej przecinała te lesne pustkowia w odległosci około 100 wiorst od Bołowska. Dawniej jedyną drogą łączącą okolice Marjenhauzen był trakt prowadzęcy do miasteczka i stacji kolejowej Korsówka.. Nie wiem nawet, czy ta droga lesna pełna zdradliwych topielisk, rzeczek i strumieni zasługiwała na nazwę traktu. W czasie rostopów wiosennych lub jesiennych słot droga ta była nie do przebycia i mieszkańcy chcąc się wydostać na swiat zmuszeni byli odbywać kilkaset-wiorstowe etapy końmi aż do kolei prowadzącej z Petersburga na Rewel i Dorpat

Z Marjenauzen jezdziło się bryczkami bez resorów / bo żadne resory nie wytrzymały by przejazdu przez ciągnące się wiorstami pomosty złożone z narzuconych na błotach kłodach lub drągowinach. Co kilkanascie wiorst zmieniono rozstajne konie, zwykle za bryczką podążał drabiniasty wóz, w którym oprócz fornala siedział kowal mając przy sobie zapasowe koła i osie.

Wątpić należy, czy komukolwiek, za wyjątkiem rodziny Lipskich i ich administracji, zależało na tem aby odwiedzać te okolice zabite od swiata deskami.

Dopiero w latach 1907 czy 8, dokładnie nie pamiętam, przeprowadzono odnogę łączącę Bołowsk i Marjenhauzen ze stacją Pytałowo kolei petersbursko - warszawskiej.

Wyjechawszy wczesnym rankiem z Kamieńca znalazłem się po południu na stacji Pytałowo. Niezliczoną ilość razy w swoim życiu przelatywałem nocną porą tę zapadłą stacyjkę pociągami pośpiesznemi dążąc do Petersburga lub z powrotem na Litwę lub zagranicę. Pociągi pośpieszne nie zatrzymywały się na Pytałowie. Często z moim Ojcem lub szwagrem Żukowskim żartowaliśmy na temat tej stacji, której żaden z nas w życiu nie oglądał.

Wylądowawszy z pociągu pasażerskiego w Pytałowie, nie mogę powiedzieć abym odkrył coś nadzwyczajnego. Była to typowa mała stacyjka, niczem nie rożniąca się od tysięcy podobnych stacyjek rozrzuconych po całej Rosji. Pachniało tem znajomy zapach lamp naftowych, machorki i zmieszanego z charakterystycznem dymem parowoza. Lokomotywy linji Petersburg Warszawa z reguły opalane były drzewem. Na stacji oprócz czerwonej czapki zawiadowcy, żandarma kolejowego i posługacza kolejowego wydzwaniającego w odstępach trzyminutowych godzinę odejścia pociągu, wałęsało się po peronie kilku brodatych ubranych w kożuchy chłopów i rzędowego leśniczego nie zastałem nikogo, ktoby zaciekawił moją wyobraźnię.

Przesiadłem do stojącego obok na linji zapasowej towarowego pociągu do ktorego doczepiono jeden " mieszany " wagon pasażerski trzeciej klasy z jednym oddziałem klasy drugiej. Towarzyszem podróży okazał się ów leśniczy; jak się dowiedziałem, wracał z urlopu do swego nadleśnictwa położonego gdzieś w Estonji o 25 wiorst na zachód od Bołowska. Rozmowa nasza trwała krótko, gdyż przeprosił mnie, że po paru bezsennych nocach jest bardzo zmęczony. Jakoż rozciągnąwszy się na ławce naprzeciwko, w kilka minut chrapał już na dobre.

Natomiast konduktor okazał się rozmowniejszym, objaśnił mnie że odnoga kolejowa była zbudowana jedynie w celu wywożenia

drzewa i materjałow drzewnych z lasów i tartaków odrynacji Marjenhauzen. „Czasem przejdzie kila dni nie mamy żadnego pasażera, a jak zjawi się ktoś obcy, jak np pan, to na całej linji wnet wiadomo i ludzie gromadzą się na stacjach aby ujrzec obcą twarz."

W wagonie powietrze było duszne , męczyło mnie też głośne chrapanie leśniczego , wyszedłem na " płoszadkę"/platforę wagonu/, usiadłem na podłodze [redacted] opierając nogi na stopniach wagonu i pogrążyłem się w półśnie. Zresztą mimo zmęczenia monotonne postukiwanie kół i do znudzenia jednostajny widok przesuwających się przed memi [redacted] oczami pni drzew uspasabiał do snu. Skonstatowałem że w ciągu czterech prawie godzin mojej podróży od Pytałowa aż do Maryenhauzen nie widziałem nic oprócz lasu , Ani jednego osiedla, ani skrawka pola ani halizny, las , las , aż do znużenia. Anim się opatrzył jakem się zdrzemnął

Rozbudził mnie konduktor. „Podjeżdżamy do połstanku gdzie sę niedźwiadki na sprzedaż.- rzekł do mnie
Co takiego!- zawołałem zdziwiony.
Pociąg stanął przed niewielkim drewnianym budynkiem stacyjnym .
N[redacted] wyczytałem napis " Biełoruczje ".

Wśród kilku ludzi czekających na przybycie pociągu, ujrzałem kudłatego chłopa prowadzącego na powrozie [redacted] dwuch małych okrągłych jak kuleczki niedzwiadków.

" Wasze błagorodje , kupitie miedwieżat dorogo nie woźmu 20 rublej " za paru ".
Z trudem wstrzymałem się od pokusy nabycia niedzwiadków , ale uświadomiłem sobie, że zawsze takie biedne zwierzęta stają się w końcu ofiarą jakiejś tragedji . Już pociąg miał ruszyć, kiedy chłop zdecydował się [redacted] sprzedać mnie niedzwiadki za 15 rubli.

Podszedł do mnie i drugi chłop prowadząc parę szczeniąt wilczych mogłem je kupic za 5 rubli.
Na następnej stacyjce , byłem zdziwiony zobaczywszy że i tu stał chłop ofiarowując małego niedźwiadka na sprzedarz.

drzewa i materjałów drzewnych z lasów i tartaków odrynacji Marjenhauzen. „Czasem przejdzie kila dni nie mamy żadnego pasażera, a jak zjawi się ktoś obcy, jak np pan, to na całej linji wnet wiadomo i ludzie gromadzą się na stacjach aby ujrzec obcą twarz."

W wagonie powietrze było duszne , męczyło mnie też głośne chrapanie leśniczego , wyszedłem na " płoszadkę"/platforę wagonu/, usiadłem na podłodze opierając nogi na stopniach wagonu i pogrążyłem się w półśnie. Zresztą mimo zmęczenia monotonne postukiwanie kół i do znudzenia jednostajny widok przesuwających się przed memi oczami pni drzew uspasabiał do snu. Skonstatowałem że w ciągu czterech prawie godzin mojej podróży od Pytałowa aż do Maryenhauzen nie widziałem nic oprócz lasu , ani jednego osiedla, ani skrawka pola ani halizny, las , las , aż do znużenia. Anim się opatrzył jakem się zdrzemnął

Rozbudził mnie konduktor. „Podjeżdżamy do połstanku gdzie sę niedźwiadki na sprzedaż.- rzekł do mnie

Co takiego!- zawołałem zdziwiony.

Pociąg stanął przed niewielkim drewnianym budynkiem stacyjnym . Nam wyczytałem napis " Biełoruczje ".

Wśród kilku ludzi czekających na przybycie pociągu, ujrzałem kudłatego chłopa prowadzącego na powrozie dwuch małych okrągłych jak kuleczki niedzwiadków.

" Wasze błagorodje , kupitie miedwieżat dorogo nie woźmu 20 rublej " za paru ".

Z trudem wstrzymałem się od pokusy nabycia niedzwiadków , ale uświadomiłem sobie, że zawsze takie biedne zwierzęta stają się w końcu ofiarą jakiejś tragedji . Już pociąg miał ruszyć, kiedy chłop zdecydował się sprzedać mnie niedzwiadki za 15 rubli.

Podszedł do mnie i drugi chłop prowadząc parę szczeniąt wilczych mogłem je kupic za 5 rubli.

Na następnej stacyjce , byłem zdziwiony zobaczywszy że i tu stał chłop ofiarowując małego niedźwiadka na sprzedarz.

Ależ tu u was cały " promysieł " / przemysł/ z temi niedźwiadkami"
rzekłem do konduktora.

" A czy są tacy ktorzy kupują ? spytałem.

„Dawniej to rzadko kto ryzykował ; ale od paru lat regularnie
„przejeżdżają tu agenci i kupują miedwieżat i wołczat / niedzwiadkow
„i wilczkow/ do menażerji .
„Tutejsze ochotniki oni niedzwiedzicy ani
niedzwiedzia nigdy nie ruszą . Szkoda ją zabijać bo ona na drugi
„rok znow będzie miała dzieci, a zabić niedzwiedzia to wielki grzech,
„a do tego skóry nie sprzedać, bo leśnicy z Maryjenhauzen i policja
„bardzo pilnuje a za zabicie niedzwiedzia czeka turma.

„ A czy nie słyszeliście wiele niedźwiedzi liczą w lasach ordynacji" spytałem

" Słyszałem jak w ubiegłym tygodniu nadleśny chwalił się,
" że liczą do 50 niedźwiedzi i pewno ze 200 łosi.

" A czy nie słyszeliście jak oni łowią niedzwiadki?"

" Tak szto wasze błagorodje - rzekł konduktor - to prosta sztuka.
" W pustym ulu nałożą plastrów z miodem i podleją dobrze spirtem
" a niedzwiedzie tak bardzo spirt i miód lubią. Jak niedzwiedzica
" upije sie razem z niedzwiadkiem tak zacznie tancować i kulać
" sie po ziemi jak nieprzytomna , wtedy ochotniki chwytają niedzwiad-
" ka do torby i w nogi.
" Ale nie daj Boże popaść potem pod niedzwiedzice , zabije na
" miejscu ; nawet najśmielszy nie pojdzie w te miejsce gdzie zabrano
" matce niedzwiadka , ona tam jaki miesiąc chodzi codzień wkoło i
" ryczy i szuka " wiadomo matka - rzekł konduktor

Nie bardzo chciałem wierzyć tej opowieści , ale w dzień po tej rozmowie zapoznałem się w Bołowsku z nadleśniczym ordynacji, który mnie dosłownie potwierdził opowiadanie konduktora.

„ Te wykradanie niedzwiadków to u nas prawdziwa plaga . Rewiry lesne są bardzo rozległe a są napewno miejsca w których noga ludzka oprócz kłusowników nie postała . Jedyne szczęście że żaden z najgorszych

kłusowników nie tknie starego niedzwiedzia czy niedzwiedzicy.
" Wolałbym - rzekł mi wówczas nadleśny że by więcej wykradali
" wilczków niż niedzwiadków , ale wilk to przebiegła sztuka".

Miało się już ku wieczorowi, gdym dojechał do Bołowska . Poleciłem tragarzowi aby wskazał mnie gdzie mieści się Bristol i zaniósł tam moje rzeczy.

Bołowsk był raczej wielką wsią cerkiewną złożoną z drewnianych budowanych już modą estońską budynków . Gmach cerkiewny nie miał nic wspólnego z typową wschodnią bizantyjską architekturą, przeciwnie był to piękny barokowy kościół jezuicki, zabrany własnie przez moskali i przemieniony na cerkiew . Wieżyce kościelne i dzwonice były oszpecone zielonemi przypominającemi wielkie cebule kopułkami, na ktorych złociły się szpetne rosyjskie sko—szlawione krzyże.

Jedynym dwupiętrowym drewnianym budynkiem był ów zajazd . Na szczycie domu widoczny był wielki napis
" Traktirnoje zawiedienje i gostinnica dla prijezżajuszczych
" Bristoł " Trkatierna i hotel dla przyjezdnych Bristol "
Wbrew przewidywaniom, zamiast jakiejś okropnej żydowskiej nory, znalazłem się w schludnym pokoiku , stało tam wygodne żelazne łóżko pokryte białą czystą kapą, w oknach stały doniczki kwiatów a na ścianach wisiały jakies oleodruki na ktorych w przedziwnych kolorach przedstawione były wodospady, gory, zamki a jakiś cudem zabłąkany w te dalekie strony piękny sztych z 18 wieku wyobrażający króla Augusta II Sasa w stroju koronacyjnym, zdobił jedną ze ścian.

Okazało się że właścicielem zajazdu był estończyk; stąd zapewne była ta czystość i pewna kultura, której trudno by szukać po miasteczkach litewsko-białoruskich.

Właściciel zajazdu mówił łamaną ruszczyzną i widać niechętnie wdawał się w rozmowę z obcym , gdym z trudem mogłem się z nim dogadać. Gdy jednak z rozmowy wynikło, że ma do czynienia z polakiem, a nie moskalem zmienił się do niepoznania , stał się mówny uprzejmy i jak się okazało umiał płynnie mówić po rosyjsku. Dowiedziawszy się, że jestem mocno zdrożony i głodny , zawołał na żonę i w pół godziny siedziałem przed dobrym kotletem cielęcym z jajkiem i talerzm powideł brusnicowych z gęstą smietaną. Wychyliłem dwa uczciwe kieliszki smirnówki a potem z gospodarzem zasiedlismy za szklanką ciemnego Waldszlösschen . Chciałem się przedewrzystkiem rozpytać o majątek BOŁOWSK będący celem mojej podróży. Jak wiedać z dokumentów, majątek ten często zmieniał własciciela . Ostatni z nich rozparcelował majątek pomiędzy kolonistów. Chodziło o rozłożenie pożyczki obciążającej te dobra na nowonabywców.

Dowiedziałem się że Anopol był kiedyś własnością rodziny polskiej. Niestety nikt już z okolicznych mieszkańców nie pamiętał dokładnie nazwiska. Po 1863 roku ostatni z prawowitych dziedziców był aresztowany jako Miatieżnik / rebeljant / zesłany na Syberję skąd już nie wrócił . Majątek skonfiskowano i darowno jakiemuś żandarmowi / jakiejs swołoczi/jak się wyraził sie mój gospodarz.

- Starzy ludzie tutejsi mówią, że to dobre były państwa-te polaki, tylko niecierpieli moskali , tak samo jak i my ich " tierpiet nie " możem " Pokażę panu parę pamiątek, które kupił mój dziad zapewne po konfiskacie majątku. Poszedłem za moim gospodarzem do ich mieszkanka utrzymanego bardzo czysto . Stało tam biureczko czeczotkowe, jakaś kanapa , szkatułeczka mahoniowa z herbem Jastrzębiec na srebrnej blaszce, wreszcie gospodarz wyciągnął z szafy dwa pałasze , klingi były naoliwione i dobrze przechowane, gardy starościeckie typowo polskie. Na klingach był wyryty orzeł Polski i napis składający się z trzech słów Bog, Honor, Ojczyzna.

Z dziwnym uczuciem oglądałem te drogie pamiątki zabłąkane gdzieś na rubieżach Inflanckich. Nie miałem nawet ochoty proponować memu gospodarzowi aby mnie sprzedał te pałasze. Gdyby to był moskal zapewne zrobił bym co można, aby wyrwać tę pamiątkę z łap moskiewskich, ale miałem przed sobą estończyka - ten prosty człowiek szanował jednak i rozumiał wartość pamiątek . Pozostawały więc one w dobrych rękach.

Jak mnie poinformował mój gospodarz majątek Bołowsk leżał w odległości 5 wiorst od miasteczka w pobliżu granicy estońskiej. Koloniści są to wyłącznie miejscowi estończycy. „Chciano tu nam nasłać mużików, ale mużiki boją się osiedlać w naszych stronach. Nie znają języka i byliby bojkotowani, jeżeli nie coś gorszego przez ludność miejscową."

Pożegnawszy się z gospodarzem, udałem się do mego numeru i zasnąłem snem kamiennym. Nazajutrz rano poleciłem zamówić niezwłocznie konie pocztowe a przy śniadaniu uprosiłem gospodarza, abym zgodził się mnie towarzyszyć i być moim tłumaczem, gdyż nie znam języka estońskiego., Chętnie przystał na moją propozycję.

W miarę zbliżania się do granicy Estonji krajobraz się zmienił. monotonne , biedne pokryte rzadkim lasem lub krzakami równiny ustępowały miejsce polom uprawnym i łąkom . Okolica była falista. Wśród zieleni drzew widać było pojedyncze pięknie zabudowane fermy estońskie . Nie spotkałem już tych obrzydliwych dla mnie moskiewskich wsi" sioł " zabudowanych skleconemi z bierwion " izbami ".

- A wot i imienje Bołowsk zagabnął mnie mój towarzysz wskazując ręką na zieloną kępę drzew. Minąwszy opłotki wjechaliśmy w dawną bramę dworską z której pozostały dwa murowane odarte z tynku słupy i wjechaliśmy w jakąś dżunglę zieleni, krzaków, zdziczałych róż , czeremchy, różnych polnych kwiatów łopianów i chwastów Wśród tej orgji zieleni widać było ukryty w gąszczu dwór.

Zatoczywszy półkole stanęliśmy przed kolumnadą ganku.

Dwor zapewne oddawne był niezamieszkały. Na pięknym łamanym dachu krytym gontem pełno było na prędce zabitych dranicami dziur. Tynk kawałami opadał ze ścian obnażając zwietrzałą przez słoty i wichury cegłę. Chwasty i polne kwiaty obrosły gęsto ściany dworu sięgając aż do połowy okien, częsciowo zabitcyh deskami.

Drzwi były zaryglowane. Panowała jakaś cmentarna cisza, przerywana tylko gruchotaniem dzikich gołębi i dalekim głosem kukułki. Obeszliśmy naokoło dworu. Nigdzie nie było ani śladu człowieka. Zdziczałe i pokryte mchem sędziwe grusze i jabłonie sięgały swemi konarami dachu, dzika winorośl pięła się po słupach czegoś, co zapewne było niegdyś tarasem.

Gospodarz mój zaczął nawoływać. Po pewnym czasie zjawił się wreszcie właściciel. Pozdrowił nas słowami " Tere, tere " co w języku estonskim oznacza " dzien dobry."

Dobrze że namówiłem mego gospodarza aby towarzyszył mnie, bo bym się nigdy nie rozgadał z tubylcami, nie umiejącemi, czy nie chcącemi rozmawiać po rosyjsku.

Dowiedziałem się przez mego tłumacza, że to własnie jest właściciel ośrodka, ale że nie zamieszkał we dworze ale stojącym opodal nowym domku.

Spytałem się dla czego nie zamieszkał we dworze.

" On niechce o tem mówić" rzekł mój towarzysz.

" A co zamierza zrobić z dworem - spytałem.

" Powiada że nie będzie ruszał, rozbierać ten stary dom, to grzech " jeszcze co złego naprowadzi."

Poprosiłem abym mógł obejrzeć nabyte przez niego grunta.

Zrobiwszy na planie odpowiednie notatki pożegnałem się z właścicielem i udałem się na obejrzenie innych kolonji.

Dwor zapewne oddawna był niezamieszkały. Na pięknym łamanym dachu krytym gontem pełno było na prędce zabitych dranicami dziur. Tynk kawałami opadał ze ścian obnażając zwietrzałą przez słoty i wichury cegłę. Chwasty i polne kwiaty obrosły gęsto ściany dworu sięgając aż do połowy okien, częsciowo zabitcyh deskami.

Drzwi były zaryglowane. Panowała jakaś cmentarna cisza, przerywana tylko gruchotaniem dzikich gołębi i dalekim głosem kukułki. Obeszliśmy naokoło dwór. Nigdzie nie było ani śladu człowieka. Zdziczałe i pokryte mchem sędziwe grusze i jabłonie sięgały swemi konarami dachu, dzika winorośl pięła się po słupach czegoś, co zapewne było niegdyś tarasem.

Gospodarz mój zaczął nawoływać. Po pewnym czasie zjawił się wreszcie właściciel. Pozdrowił nas słowami " Tere, tere " co w języku estonskim oznacza " dzien dobry."

Dobrze że namówiłem mego gospodarza aby towarzyszył mnie, bo bym się nigdy nie rozgadał z tubylcami, nie umiejącemi, czy nie chcącemi rozmawiać po rosyjsku.

Dowiedziałem się przez mego tłumacza, że to własnie jest własciciel ośrodka, ale że nie zamieszkał we dworze, ale stojącym opodal nowym domku.

Spytałem się dla czego nie zamieszkał we dworze.

" On niechce o tem mówić" rzekł mój towarzysz.

" A co zamierza zrobić z dworem - spytałem.

" Powiada że nie będzie ruszał, rozbierać ten stary dom, to grzech
" jeszcze co złego naprowadzi."

Poprosiłem abym mógł obejrzeć nabyte przez niego grunta.
Zrobiwszy na planie odpowiednie notatki pożegnałem się z własciciele lem i udałem się na obejrzenie innych kolonji.

Zobaczyłem że tłumacz coś żywo mówił do estonczyka skazując na mnie ręką.

" On się dowiedział, że pan jest polakiem i prosił aby wstąpić do nie- " go na piwo.

Estonczyk kiwnął na mnie uprzejmie głową i podniósł rękę do ust co miało oznaczac że chętnie ze mną wypije.

Prosiłem aby go przeprosił bo mając około 20 kolonji do obejrzenia, praca moja przeciągnęła by się na parę dni, gdybym chciał korzystać z gościnności. -

" Hüvasti härra - Dowidzenia panie - tänan - dziękuję rzekł na odchodnem.

Miałem sporo roboty zanim obszedł i otaksował wszystkich nowonabywców. Wszędzie spotkało mnie gościnne i życzliwe przyjęcie, widać rozeszła się wiadomość że jestem polakiem, a nie moskalem.

Słyszłame wszędzie powtarzane słowo " polak " i wszędzie mnie żegnano słowami ,, tänan väga" -co znaczy dziękujemy bardzo.

Byłem zdumiony pracowitością ESTOŃCZYKÓW. Niektóre kolonje dopiero oczyszczano z drzew, karczowano pnie. Wszędzie jednak zastałem w nowowybudowanych porządnych drewnianych domkach wzorową czystość, białe firanki i kwiaty w oknach.

Miało się ku wieczorowi gdyśmy wrócili do dworu gdzie czekał na nas woźnica.

Jeżeli pan się interesuje pójdzmy na cmentarz, pokaże panu grobowie dawnych właścicieli

Przeszliśmy ścieżką wsród zarośli i starych jabłoni na cmentarz. Cmentarz jak i dwór tonął w gąszczu krzaków, drzew, łopianów, głogów. Po murowanym ogrodzeniu pozostały tylko fundamenta i kilka zapoły rozwalonych słupów. Zapewne dawniej był tu cmentarz katolicki ale od lat nikt tu już nie był chowany. Musiał tu dawniej wznosić się kościołek czy kapliczka o czem świadczyły resztki fundamentow i zardzewiały krzyż leżący na ziemi, który podniosłem i postawiłem na ruinach fundamentu.

Idąc wslad za moim przewodnikiem stanąłem wreszcie przed szczątkami dawnego grobowca, zarosniętego całkowicie zielenią.

Był to zapewne niegdyś piękny grobowiec, niestety leżał już w ruinie. Czas zatarł ślady liter. Na marmurowej płycie grobowej pozostała jeno nieco starta ale widoczna płasko rzeźba wyobrażająca tarczę herbową ozdobioną szyszakiem i trzema piorami strusiemi. Na tarczy herbaowej były widoczne slady wizerunku podkowy przeszytej strzałą.

Ogarnęło mnie dziwne niezrozumiałe uczucie . Zdawało mi się wyraźnie że oto ktoś stoi za mną i dotyka mego ramienia, mimowolnie obejrzałem-się nie było nikogo. Jak by jakimś nakazem wiedziony odmówiłem " Wieczne odpocznienie" za duszę tych samotnie leżących na obcej ziemi a osiadłych tu na dawnych najdalszych rubieżach świetności Rzeczypospolitej , może za czasow Batorowych, potomkow rycerzy.

Byc może że niezbadaną wolą Boską zostałem skierowany ja może jedyny z żyjących, do odwiedzenia tego zapomnianego przez ludzi cmentarza. Brodząc wśród zarośniętcyh mogił i napoły zmurszałych krzyży zatrzymałem się między innemi przed jakąś obrośniętą mchem płytą grobową . Oczyscilem laską mech i odcyfrowałem ledwie widoczne datę i litery . Anno Domini 1687 , starte emblematy herbowe i kilka dostrzegalnych liter

R..dz....cz

Przypuszczam że to było nazwisko Rodziewicz znane wśród szlachty inflanckiej i kurlandzkiej.

Zrobiło mi się bardzo smutno . Pomyślałem o tysiącach podobnych cmentarzy, rozsianych wzdłuż dawnych granic Rzeczypospolitej. o tych samotnych cieniach zapomnianych przez ludzi, błądzących po uroczyskach i kurhanach kresowych.

Pozostały one jako rzucone przez odpływ morza na brzegu muszle, kamienie i wodorosty

ale byc może że przejdą lata i znowu potężna fala kultury łacińskiej i dawnej potęgi Rzeczypospolitej uderzy o te dalekie wybrzeża i zagarnie z powrotem pozostawione szczątki odpływu.

Było już późno, gdyśmy wrócili do Bołowska.

Nazajutrz wczesnym rankiem opuściłem te dalekie strony na zawsze.

W czasie mego pobytu w Londynie zaglądałem często do bibljoteki Reaserche Centre . Trafiły mi do rąk pamiętniki Gieysztora .

Znalazłem tam notatkę że właścicielem majątku Bołowsk położonym na Inflantach na pograniczu Estonji była rodzina Ulatowskich.

Władysław Ulatowski ostatni z dziedzicow za udział w powstaniu 1863 roku został zesłany na Sybir a dobra Bołowskie uległy konfiskacie.

# WSPOMNIENIA IWAŃSKIE.

Dia następnego po wyjeździe z Bołowska znalazłem się na dobrze mi znajomej stacji Sirotino kolei Rygo Orłowskiej. Stacja ta została mi w pamięci od czasu gdy latem ubiegłego roku w czasie moich wędrowek taksacyjnych znalazłem się w stronach lepelskich w OKRESIE epidemji cholery, która skosiła kilka tysięcy ludności. Na popasie w miasteczku Bieszenkowicze poczułem pierwsze symptomy zbliżającej się choroby i nie czekając skutków, przerwałem moje prace i nająwszy ekstra pocztę wróciłem na stację Sirotino, aby pierwszym pociągiem dotarć do Wilna i oddać się opiece lekarza.

Zdarzały się wówczas w tych stronach bardzo dziwne wypadki cholery piorunującej, która w kilka godzin zbijała chorego. Niestety byłem zmuszony około dwuch godzin czekać na najbliższy pociąg do Dyneburga. Musiałem zapewne mieć już silną gorączkę, co nawet zwróciło uwagę bufetowego. Poradził mi jako antydotum wypić butelkę wina czerwonego, usłuchałem go dodawszy jeszcze po tem pół butelki konjaku. Bufetowy zabawiał mnie wtedy opowiadaniem o epidemji i jej objawach a szczegulnie o owych wypadkach nieuleczalnej piorunującej cholery. Popijając wino a potem konjak mimowolnie liczyłem minuty dzielące mnie od przyjścia pociągu i być może przez imaginację odczuwałem wyraźnie symptomy o których mnie tak zajmująco opowiadał bufetowy.

Gdy nadszedł wreszcie upragniony pociąg, dowlokłem się z trudem podtrzymywany przez tragarz do przedziału pierwszej klasy i straciłem przytomność.

Z trudem dobudzono się mnie w Dyneburgu, gdzie przy pomocy służby kolejowej przesiadłem na ranny kurjer idący do Wilna.

Rozbudziłem się w Wilnie przespawszy Nowoświęciany z tym uczuciem, że choroba minęła. Pierwszym pociągiem wróciłem do Syłgudyszek, gdzie mnie Matka moja będąca doskonałym lekarzem poddała kwarantannie i zatrzymała

zanim nie powróciłem do sił i zdrowia.

Bufetowy poznał mnie od razu i przypomniał moje zeszłoroczne przygody, a z powodu dawnej znajomosci przygotował mi doskonałe sniadanie i osobiscie zakrzątał się o konie pocztowe.

Znalazłem się oto znowu wśród dobrze znajomych pagorków i gai lepelskich. Ranek był cichy , ze wrzystkich stron dochodziły mnie krzyki derkaczy , skowronki trzepotały się w błękitach nieba, wysoko nad polami nucąc swą porannę w tak drogą sercu rolnika piosnkę wiosenną.

Około południa przeprawiłem się wraz z końmi promem na lewy wyniosły brzeg Dźwiny i stanąłem przed znajomem zajazdem pana Cypkina / tom 3-ci " Przygody Lepelskie / .

Zanim przeprzężono mi konie pani Cypkinowa poczęstowała mnie kurczęciem pieczonym . W czasie posłku pan Cypkin, zabawiał mnie najnowszemi wiadomościami z okolicy np. że pan Spasowski trochę choruje i że pewno zapisze cały swój wielki majątek swojej siostrze pani Szczytowej z Pyszna, że do panstwa Ciechanowieckich do Boczejkowa przyjechali jakieś Angliki że wreszcie Panstwo Woołodkowiczowie w Iwańsku są zdrowi, ale że młodzi wyjechali z tych stron. Pan Józef zamieszkał w Starym Siole pod Mińskiem a pan Hieronim music będzie żenić sie bo remontuje dwor w Sołomereczu leżącym na pograniczu Wileńszczyzny i Mińszczyzny. Gdym wspomniał o Iwańsku, pan Cypkin radził mnie żebym dłużej popasał w Bieszenkowiczach, bo pan Generał Wołłodkowicz wstaje dopiero o godz 7 wieczorem więc nie mam czego się spieszyć, bo znajdę cały dwór pogrążony w głębokim śnie.

Uspokoiłem go że znam zwyczaje Iwańskie , tem nie mniej przeciągałem mój odjazd aby nie naruszyć trybu życia państwa Wołłodkowiczów . Gdym zbierał się już do drogi , przybiegł zdyszany Pan Cypkin oznajmując że nadeszły wysłane po mnie konie z Iwańska.

Jakoż przed zajazdem stał powoz zaprzężony w czwórkę karych śpienionych kłusaków iwańskich. Stangret podał mi kartkę od pana Wołłodkowicza w której się ekskuzował że tak pozno mógł wysałc konie z powodu opóźnienia odebrania depeszy którą wczoraj wysłałem z Bołowska.

Kazałem stangretowi aby dał wytchnąć koniom i poleciłem panu Cypkinowi aby mu wyniósł kieliszek wódki i jakąś przekąskę.

Stangret / co mi się podobało / zwolna przejechał konie a po odpoczynku napoił, siadł na kozieł zawinął batem i czwórka poniosła, niczem na skrzydłach lekki powozik.

Nie byłem przyzwyczajony do takiego tempa jazdy, starałem się namówić stangreta aby zwolnił tempa.

" Proszę pana, nasze konie zwyczajne, dla nich w dwie godziny przylecieć do Bieszenkowicz i bez popasu z powrotem to nic nie znaczy.

Anim nie zauważył gdyśmy stanęli przed zajazdem dworu Iwańskiego Nie był to ani dwór ani pałac. Wielki murowany szary gmach oparty na potężnyvh sklepieniach przypominał raczej zameczek obronny czy jakieś więzienie średniowieczne.

W drzwiach spotkał mnie stary widocznie zaufany służący z tą życzliwością i grzeczną poufałością jaka charakteryzuje zawsze starą od pokoleń zasiedziałą służbę. Ubrany był " po cywilnemu " w długi czarny surdut i czarny krawat.

" Czekamy na J. P. ale pan Generał przeprasza że "telegrama" nadeszła bardzo póżno, tak nie mógł wysłac konie na czas. Musić,j.p. zgłodniawszy, prosze zajść do swego pokoju, a potem wraz na przekąskę i kieliszek, bo nasi państwo wstają teraz o siódmej a obiad podają o 10 wieczorem. Taka u nas już moda.

Z opowiadań mego kolegi i przyjaciela Józia Wołłodkowicza znałem tryb życia w Iwańsku. Państwo Wołłodkowiczowie wstawali zwykle o 7 wieczorem. Podawano wówczas herbatę. Zanim podano o 10 do stołu pan Wincenty odbierał raport od administratora / raczej rządcy/gdyż sam administrował swą olbrzymią fortuną, odwiedzał stajnie poczem dopiero zasiadano do obiadu.

Wrzystkie sprawy administracyjne załatwiano zwykle w nocy. Wczesnym rankiem pan Józef Wołłodkowicz w towarzystwie żony , ks kapelana i kasjera siadał do karety lub powozu trzymając w ręku szkatułkę napełnioną pieniędzmi i wyjeżdżał do fabryki papieru"Skina", lub objeżdżał kolejno folwarki i wypłacał robotników.

W tych dawnaych czasach panowało o nas na Litwie i Białejrusi niespotykane w innciyh krajach bezpieczeństwo. Cała okolica dobrze wiedziała o godzinach przejazdu pana Wołłodkowicza, a mimo to w ciągu owych kilkudziesięciu lat nie było wypadku napadu lub próby ograbienia.

Wracano z objazdów około 10 rano, poczem po śniadaniu gospodarze udawali się na spoczynek. Od czasu do czasu Pan Wincenty umiał jednak zjawić się nieoczekiwanie tam gdzie go się najczęsciej najmniej spodziewano.

Była to zaiste magnacka fortuna . W skład dóbr pana Wincentego Wołłodkowicza wchodziły dobra Iwańskie. Smolańce , z lasami gorzelniami tartaki i wielką papiernią położone w pow. Lepelskim, oraz dobra Stare Sioło i Sołomerecze również z gorzelniami położone w gub Mińskiej niedaleko od Mińska ogołem 75.000 dziesięcin / ha /. W Iwańsku była sławna na Rosję całą stadnina kłusaków , które zajmowały czołowe miejsce na torach petersburskim i moskiewskim i konkurowały ze stadninami ks Dawidowa San Donato.

Oporządziwszy się po drodze i zmieniwszy ubranie zeszłem do sali jadalnej na czekające mnie różne wędliny, konserwy, półgęski i liczne karafeczki naliwek oraz omszałą butelką starki Iwańskiej.

W oczekiwaniu pojawienia się gospodarzy wyszedłem do parku położonego tuż za domem i usiadłem na ławce wpatrzony w promienie zachodu przezierające przez gałęzie jak przez koronkę.

Usłyszawszy czyjeś kroki ujrzałem zbliżającę się ku mnie wysoką szczupłą postać, w której poznałem odrazu pana Wincentego Wołłodkowiczą.

Przywitał mi nie serdecznym uścisnieniem dłoni jak kogoś dobrze znajomego, byłem bowiem kolegą jego starszego syna w Arkonji.

Na jego rasowej okolonej czarną brodą twarzy o bladej cerze odbijały jego czarne jak węgiel wyraziste oczy.

Przeprosił mnie za opóźnienie WYSŁANYCH koni, tłumacząc się że telegram NADANY z jakiejś nieznanej mu miejscowości nadszedł dopiero dzisiaj po południu.

Mamy jeszcze koło dwuch godzin do obiadu, jeżeli pan nie jest zmęczony chciałbym panu pokazać moją stadninę kłusaków i konia który przed paru tygodniami wygrał najwyższą nagrodę na wyścigach w Moskwie, - rzekł pan Wincenty.

Przeszliśmy w podwórze do położonej w pobliżu stajni. Był to długi murowany budynek; mieściły się tam boksy dla koni i trenowanych na wyścigi. Naliczyłem coś 60 boksów a w znajdującej się w osobnym oddziale tegoż budynku stajni stało jak naliczyłem 40 podobnych do siebie jak dwie krople wody rosłych karych kłusaków.

Tam jest stajnia wyscigowa, trzymam teraz tam około 60 koni, a to jest nasza stajnia cugowa, składająca się z 40 koni których z powodu drobnych defektów nie puszczam na wyścigi. Potrzebuję sporo koni rozjazdowych, folwarki nasze oddalone są od siebie, muszę też często dojeżdżać do naszych fabryk i tartaków wreszcie jak Pan miał możność się przekonać do najbliższej stacji kolejowej Sirotina mamy zgórą pięćdziesiąt kilka wiorst. Namawiają mnie na kupno samochodu, ale mam osobisty wstręt do tego śmierdzącego wehikułu i nie wróżę nic dobrego z tej inowacji. Zresztą czy może być coś piękniejszego po nad rozpędzoną czwórkę karych kłusaków.

" Przewiduję że pan się spyta dlaczego trzymam wyłącznie konie o
" maści KAREJ. Lubię tę maść szczególnie gdy koń ma białe pęciny i

i gwiazdkę. - ciągnął moj gospodarz. Kilka razy w swoim życiu probowałem puszczac na tor szpaki , zawsze kończyło się jakąś katastrofą. Zresztą zyskałem już sobie markę a " Woronyje rysaki koniuszni Wołodokowicza " są znane w całej Rosji.

Byłem zdziwiony potężną budową i wzrostem przeciętnym tych koni. W osobnym więcej przestronnym boksie stał świeżo sprowadzony ze stanow zjednoczonych kary wspaniałej budowy ogier ." Kosztował on on mnie dobrych kilka tysięcy rubli. - rzekł gospodarz, ale mam wrażenie że mi się opłaci. Obejrzwaszy stajnię wyszliśmy na olbrzymi ciągnący się półkolem tor wyścigowy, gdzie właśnie trenowano kilka koni. Podziwiałem wspaniały ruch i wyrzut nóg tych koni. Zaprzężone były do leciutkich dwukółek na gumowych obręczach i powożone były przez chłopców stajennych ubranych w liberyjne białe, w niebieskie paski, kurtki..

Rekrutuję do mojej służby stajennej tylko najzwinniejszych i wypróbowanych a nie pijących chłopców z pośrod ludności miejscowej.

Picie jest u mnie surowo wzbronione i za kieliszek wódki tegoż dnia wyrzucam winowajcę. Rzadko to się zresztą zdarza, bo ludność bardzo sobie ceni służbę w stajni Iwańskiej, która dla niejednego była początkiem jego karjery. Mam doskonałego trenera niestety rosjanina, bo ten sport w Polsce mało jest znany. Przed paru laty sprowadziłem z anglji bardzo zachwalonego trenera, okazał się jednak do niczego i narobił mi wiele szkody. Ale czas już na obiad.- rzekł gospodarz . - Jeżeli pan czuję się zdrożony niech się pan nie przebiera. Zrozumiałem aluzję i pospieszyłem do mego pokoju, przebrać się w smoking który przezornie z sobą zabrałem.

Pan Wincenty przedstawił mnie swej małżonce, z domu baronownie Harting. Obszerna sala jadalna wyłożona dębem przypominała refektarz klasztorny, gdyby nie długi szereg portertów rodzinnych zdobiących ściany.

Po środku stał długi stół dębowy , obok był stoł siedlismy jednak przy drugim mniejszym stole w rogu jadalni , nakrytym na cztery osoby.

- Niech pan się nie dziwi, że będziemy w nielicznym towarzystwie . Zwykle jadamy we troje , a więc my oboje i ksiądz kapelan, którego pan pozna za chwilę Ten obok stoł jest bardzo liczny, ale reszta mojej rodziny i ci ktorzy tu mieszkają żyją życiem normalnym-dodał z uśmiechem.

Wśród portretów rodzinnych zauważyłem sporo portretow z herbem i mitrą Lubeckich , bowiem matka pana Wincentego była z domu Lubecka. Uwagę moją zwrócił portret przystojnego szlachcica ubranego w kontusz wojewódzki. Ramy portretu zawieszone były krepą. Gospodarz zauważył moję zaciekawienie.

- To jest portret jednego z moich antenatów owego smutnej
- pamięci JGNACEGO Wołłódkowicza, podstolego mińskiego a przyjaciela księcia
- Karola Panie Kochanku skazanego przez Morykoniego przewodniczącego
- trybunału na karę śmierci.
- Zwykłem synom moim , których niestety obecnie nie ma w Iwańsku,
- pokazywać ten portret jako przestrogę przed skutkami warcholstwa
- samowoli i braku dyscypliny .- Tu spojrzał na ks kapelana

Gdyśmy po skonczonym obiedzie przeszli do sąsiedniej sali bawialnej na kawę i cygara, pan Wincenty Wołłodkowicz wytłumaczył mi powody dla których prosił aby mnie delegowano do Iwańska. Jest to dosc skomplikowana sprawa.

-Jak Panu zapewne wiadomo, nasze lepelskie strony NIE raz były wido-
- wnią kwawych bitew. Dwie jednak największe bitwy stoczyły się
- na polach iwańskich . Tutaj w roku 1564 Radziwiłł i Jan Chodkie-
- wicz odnieśli zwycięstwo nad Szujskim. zas w r. 1812 Marszałek
- Oudinot pobił Witgenstejna dowódcę armji rosyjskiej.

po powstaniu 63 roku i uwałszczeniu włościan rząd rosyjski przeznaczył te pole na serwitut z którego korzystają mieszczanie Czasznik. Pełno na tym polu pozostałych pamiątek po tych bojach.

Zapewne pan się tem zainteresuje, więc jutro pokażę panu nasze zbiory. Otóż i ja i moi synowie jesteśmy zbieraczami i staramy się zgromadzić w Iwańsku wrzystkie pamiątki dotyczące przeszłości ziemi lepe[illegible]j. Chcielibyśmy mieć te dawne pobojowiska w naszych rękach i nie patrzeć jak chłopstwo będzie wyorywać pancerze i dawne zbroice us[illegible]skie i używać to jako garnki lub kosze dla obroku. Chcemy przeto dać mieszkańcom Czasznik dwa razy tyle ziemi ale w innym miejscu wzamian za pobojowisko. Być może, że dobrze się nawt stało, że ziemie te były pod serwitutem, bo nikt w nich nie grzebał. Chodzi więc o otaksowanie gruntów będących pod serwitutem i zaciągnięcie pożyczki na część gruntów przeznaczonych na zamianę.

Jutro wczesnym rankiem pojedziemy z Panem obejrzeć te grunta. Ale czas już późny a Pan zdrożony , ja zaś zwykłym trybem zaczynam moją noc pracy.

Nie potrzebuje wspominać, że chętnie skorzystałem z tej propozycji Nazajutrz wczesnym rankiem rozbudził mnie służący z tacą ze śniadaniem Ubrałem się prędko i wyszedłem przed dom, gdzie już oczekiwał na mnie Pan Wincenty . Siedliśmy do amerykanu . Szybko poniosły nas kłusaki . Obejrzeliśmy zarosnięte krzakami i rzadką brzeziną serwitury gdzie pełno było okrągłych kurhanow świadczęcych że tu się odbywały bitwy.

Wróciliśmy na drugie śniadanie. Gospodarz mój udał się na spoczynek mnie zas oddał pod opiekę młodego człowieka / nazwiska nie pamiętam/ historyka, ktory w owym czasie porządkował archiwum Iwańskie.

Był to młody, pełen entuzjazmu uczony i z prawdziwą przyjemnością spędziłem z nim ow niezapomniany dzień.

- Ja tu odnalazłem prawdziwe skarby - rzekł mój towarzysz prowadząc mnie po kamiennych schodach wdół do podziemi. Otworzył z trudem ciężkie okute drzwi. Stanęliśmy w obszernej sklepionej sali Wzdłuż ścian aż do sufitu piętrzyły się oszklone szafy zapełnione po brzegi książkami .
Wątpić należy czy gdzie na Litwie znajdzie się podobna skarbnica
W tych oto oprawnych w pergamin tomach znajduje się korespondencja Radziejewskiego z Królem Janem Kazimierzem . Tu znowu rzekł wskazując mi ręką są listy Maryny Mniszchówny do Ojca i pisma z podpisem jej męża Łżedymitra . W tej oprawnej w czerwony safjan teczce jest parę listów Barbary Radziwiłłówny i kilka autografów Zygmunta Augusta . W osobnej gablotce pod szkłem mieściło kilkanasce nadań i przywilejów z podpisem Stefana Batorego.

Mamy pełny prawie komplet Volumina Legum aż do ostatniego sejmu. mamy autografy Księdza Piotra Skargi i list w sprawie soboru Trydenckiego pisany przez Kardynała Hozjusza do Zygmunta Augusta .
Mamy część archiwum ks Jezuitów z Połocka , oraz listy ks Mikołaja Radziwiłła Sierotki.
Długi stół dębowy zajmujący środek izby była zawalony dokumentami
" Porządkuję teraz ciekawe dokumenta , dotyczące sprawy Inflanckiej
" są tu listy mistrza inflanckiego Wilhelma Fürstenberga i jego
" następcy Gotharda Kettlera za czasów którego nastąpiła sekularyzacja
" zakonu rycerzy mieczowych."
" Pan Wołłodkowicz prosił mnie uprzedzić pana , że Jego Córka, panna
" Wołłodkowicz przyjdzie tu aby pokazać panu inne ciekawe rzeczy
" a potem zabrać pana na śniadanie i na spacer.
Anim nie zuważył że nadeszła pora obiadowa. Ktoś zapukał do drzwi W drzwiach ukazała się drobna postac panienki ubranej skromnie w

letnią sukienkę. Nie była ładna, ale miała dziwnie coś miłego w twarzyczce okolonej ~~cam~~ kruczemi włosami. Szpeciły Ją nieco ciemne okulary.

" Mój towarzysz przedstawił mnie pannie Wołłodkowicz.

" Mam od Ojca polecenie towarzyszenia panu spełnię z przyjem-
" nością ten obowiązek, jesteśmy poniekąd kolegami, bo Józio ~~[illegible]~~
" jest pańskim kolegą a i ja mam pewne prawa studenckie, jako
" studjująca na uniwersytecie w Zurychu.

" Jak to Pani [Pan] studjuje na uniwersytecie ?- zawołałem zdumiony.

" Cóż w tem upatruje dziwnego. przyznaję się otwarcie że stujuję
" medycynę .

W wybaczy pani- ~~[illegible]~~ moją niedyskrecję, ale byłem tak zaskoczony tą wiadomoscią - że popełniłem gafę towa-
"rzyską, chyba pani jest unikatem wśród ~~[illegible]~~ rodziny
" Wołłodkowiczów ale wśród wrzystkich młodych panien należących
" do tej samej co i pani sfery ziemiańskiej.

" Być może- odrzekła - przyznam się mało się nad tem zastanawiam,
" wolę się uczyć i być z czasem osobą pożyteczną niż wyczekiwać
" na jakiegoś młodego aspiranta do mojej ręki , który napewno nie
" będzie się starał o mnie, tylko o moj posag a może o koligację
" z nazwiskiem Wołłodkowiczów. Sam pan widzi, że nie mam wyglądu
" ani twarzy nadającej się na " jarmarki karnawałowe" w waszym
" Wilnie lub Warszawie czy Krakowie.

" Dzięki Bogu nie potrzebuję robić z panem ceremonji , traktuję
" go jako starszego kolegę i przyjaciela Józia i będę do pana
" mowiła po imieniu , bo wiem że pana nazywają w Arkonji Miechem,
" ale chyba nie kowalskim dodała z uśmiechem.

" A więc mój stary przyjacielu - rzekła panna - mam tu pęk kluczy
" i mam ci pokazać różne inne nie mniej ciekawe choć nie tak
" mądre rzeczy - pozostawmy więc mola książkowego w spokoju i
" i chodźmy.

Przeszliśmy do przeciwległej części suteren. Panna otworzyła drzwi . Jeżeli to ciebie interesuje i znasz się na tem obejrz to sobie.

- Ta izba to sama porcelana , widzisz tu zastawę korecką na 100
- osób a tu w tej części znajdziesz stary Meissen również na tyleż
- gości. Przypatrz się tym wazom i statuetkom bo to warte widzenia,
- a te wazy to z porcelany serwskiej nabytej i przywiezionej
- końmi z Francji przez mego dziada.

- A teraz przejdźmy do drugiego oddziału zamkniętego na dwa zamki
- pomóż mi otworzyć.

Z trudem otworzyłem jeden pierwszy zamek , drugi jakiś misterny z kluczem zaopatrzonym liczbami otworzyła moja towarzyszka. Stanąłem osłupiały . Nie widziałem w życiu takiej ilości nagromadzonego srebra. Stały tam olbrzymie tace herbowe, kosze misternej koronkowej roboty w kilkunastu wielkich zamczystych okutych staroświeckich drewnianych kufrach leżały setki przyborów noży, łyżek, widelców , łyżeczek, talerzy i półmisków srebrnych. Na półkach stały piękne kandelabry na postumentach wyobrażających różne postacie bogów i bogin greckich.
Na hakach na ścianie wisiały karabele oprawne w jaszczur, kute srebrem i złotem a połyskujące rubinami , Były tam pasy słuckie sławnej fabryki Madziarskiego w Słucku

pasy fabryki Paschalisa i sławne Lwowskie drogocenne orjentalne pasy i makaty.

Milczałem oszełomiony tym niezwykłym widokiem nagromadzonych bezcennych pamiątek.

- TERAZ przejdźmy do innego działu - rzekła panna - prowadząc mnie przez sklpione drzwi do przyległej izby.

Tu są wykopaliska znalezione w pobliży Czasznik i w okolicy.

Ten dział to pamiątki bitwy pod Czasznikami w której Radziwiłł i Chokiewicz pobili na głowę wojska Szujskiego.

Były tam połamane szyszaki , pogięte pancerze, klingi i ostrza kopii, krzywe szable wschodnie i tatarskie , kule kamienne ,

W drugim oddziale mieściły się pamiątki znalezione również na pobojowiskach ale dotyczące epoki napoleońskiej a więc kule, armatnie , guziki z orłami francuskiemi i rosyjskiemi, naramienniki proste, pałasze dragonow francuskich i krzywe jazdy polskiej . szaszki rosyjskie . blachy ozdabiające nakrycia głowy pułków francuskich i

- No na teraz dość , bo widzą żeś stracił przytomność i - zaniemowił - rzekła panna - czas na śniadanie.

Znasz tryb życia rodziców , więc mam nadzieję, że nie weźmiesz za złe że będę ich teraz zastępować.

Przeszliśmy do sali jadalnej . Do stołu siadło kilkanaście osób z któremi po kolei się zapoznałem, były tam starsze panie, zapewne ciotki czy kuzynki państwo domu, oficjaliści administracji iwańskiej, był też i ks kapelan-starszy wesoły i dowcipny kapłan, w którym z pierwszych słow można wnioskować że należał do "Societatis Jezu."

Panna Wołłodkowicz zajęła czołowe miejsce, jako zastępczyni rodziców. Nalał mnie kieliszek starki - wiem że nie należysz do tych którzy wylewają za kołnierz , Nie rób ceremonji wypij za moje zdrowie i wybacz że wypiję z tobą ale znacznie mniejszym kieliszkiem.

Po śniadaniu i czarnej kawie, panna zaproponowała mi przejażdżkę. po okolicy. Siedliśmy do lekkiego breku założonego w parę karych kłusaków , moja towarzyszka ujęła w ręce lejce i konie ruszyły wyciągniętym kłusem.

- Dobrze powozisz - rzekłem

A coż myslisz ,, od pieluch mam do czynienia z końmi, a Ojciec nie szczędził mi uwag.

Wiążę Cię na pola bitew pod Czaszniki - rzekła. Byłeś tam dzis rano ale Ojciec nie miał czasu pokazać, prawdziwe miejsce bitew.

Wjechaliśmy na niewielki pagórek położony z zachodniej strony pola bitwy.-Widzisz ten pagórek to miejsce na którym w 1812 roku stał Oudinot w otoczeniu swego sztabu. Dziwnym zbiegiem okoliczności stał on na tym samym miejscu, z którego w roku 1564 Radziwiłł rzucił swoją jazdę na wojska Szujskiego

- Zkąd ty tak dobrze znasz topografję i plan bitew.
- Oboje z bratem moim Joziem dobrze przestudjowaliśmy przebieg
- obydwuch bitew.
- Widzisz tam w dali wielki rozłożysty samotnie rosnący dąb,
- pod tym dębem stał Witgenstein dowódca wojsk rosyjskich.

Nie dojeżdżając Czasznik zawrócilismy w stronę lasu . Wjechalismy na szeroki trakt prowadzący zapewne na Łukoml i Czereję . Droga prowadziła wzdłuż jeziora otoczonego ze wszech stron gęstwią leśna . Wjechaliśmy na wzgórze. Panna oddała lejce siedzącemu ztyłu chłopcu stajennemu i zeskoczyła na ziemię.

Choć za mną - zawołała przeszliśmy kilkanaście kroków i stanąłem oczarowany cudowną panoramą uwagę moję zwrocił widok jakiegos wykutego z jednej bryły KAMIENNEGO krzyża . Na krzyżu leżała czaszka obok pełno było kości zapewne ludzkich, jeszcze kilka czasze

leżało rzuconych wśród pokrzyw i łopianów.

- Jest to jakieś zagadkowe uroczysko. Mój brat Jozio, jest nieposlednim badaczem historji lepeszczyzny.
- Obawiamy się tu robić poszukiwania i kopać te stare cmentarzysko, bo taka spokojna ludność miejscowa jakmnimpnnmnnnmn będąca jedyną pozostałą enklawą dawnego plemienia Krywiczów, nigdy by nam tego nie darowała.
- Według krążącego wśród ludu podania było to miejsce na, którym stał miał zameczek dawnych kniaziów Sołomereckich. Była tam kniahinia którą lud dotąd czci jak świętą. Imię jej jest niewiadome bo mhm ludność mówi o niej-"nasza kniahini". Otóż podobno w czasie napadu tatarów zamordowano kniahinię i wycięto w pień mieszkańców. Ale potem na tym miejscu działy się różne cuda. Zwykle pod koniec Czerwca ludność miejscowa obchodzi święto Kniahini i tłumy zjeżdżają się na ten leśny pagorek. Widzisz te źródło z prawej strony, ma być to cudowne źródło które uzdrowiło już nie jednego.
- A ta czaszka na krzyżu? spytałem.
- Czaszkę tę widzę od czasów mego dzieciństwa zawsze na tym samym miejscu. Nikt jej nie rusza, bo według podania za poruszenie czaszki z miejsca spotkać może wielkie nieszczęście.
- Pozwolisz-rzekłem żebym zrobił zdjęcie tego krzyża -
- Naturalnie - odrzekła, ale zobaczę czy chłopak stajenny nas nie zobaczy, bo jak by się rozeszła po okolicy wiadomość że "Iwanskaja panienka z jakimś obcym "chfiguru mnmnmnm snimała" z kresta"...... dopiero była by awantura.
" Mówił mi Jozio rzmnmnm że wasza rodzina jest kilka razy skojarzona z kniaziami Sołomereckiemi.
" Tak to prawda moja prapra-babka jest z domu kniażna Sołomerecka ale ród ten wygasł w męskiej linji. Majątek Sołomerecze który Ojciec przeznaczył dla brata mego Hieronima był rezydencją tej

tego kniaziowskiego rodu.

Wróciliśmy na podwieczorek do Iwańska . Poprosiłem o pozwolenie zajrzenia jeszcze raz do sali bibljotecznej. Przyznam się nie mogłem się oderwać, będąc sam zbieraczem od tych bezcennych pamiątek.

W czasie obiadu podzieliłem się memi wrażeniami z panem Wincentym

" Czy pan się nigdy nie obawia jakiegoś kataklizmu , pożaru ,
" wojny ?

" Pożaru się nie obawiam, a co do wojny, to jestem najzupełniej spo-
" kojny, mieszkamy w takiej głuszy, że żadna wojna nie
" zawadzi Iwanska , żyjemy tu jak u Pana Boga za piecem.
" Cieszę się żeście się zaprzyjaźnili z moją córką. Dzielna to
" dziewczyna tylko taki z niej dziwak.
" Przeciwnie - odrzekłem-daj Boże aby jak najwięcej takich dziwa-
" ków było wśrod naszych panien, rzekłem patrząc na moją nową przy-
jaciołkę. Nie mam słów wdzięczności za to, że mnie pokazała tyle ciekawych a zgoła niepowszednich rzeczy.

Nazajutrz rano pożegnałem się ostatnim Panem na Iwańsku i jego Rodziną, tym razem na zawsze.

Gdy to piszę tu na emigracji z niepojętą jaśnością staje mi w oczach dwór Iwański i postać Pana Wincentego i jego rodziny i panny Maryni Wołłodkowiczówny na tle leśnego jeziora i krzyża, ktorejś z jej prababek kniahini Sołomereckiej.

## SZUMIĄ PUSZCZE PO NAD RZEKĄ

Po powrocie z Iwańska miałem zamiar odpocząć w domu i załatwić trochę spraw osobistych. Jula zamierzała pod koniec czerwca wyjechać na resztę lata do Kukuciszek. Chcieliśmy oboje zobaczyć jak daleko posunął się remont dworu i uporządkowanie ogrodu, miałem też różne interesa dla których musiałem się zobaczyć z Ojcem bawiącym kilka dni w Syłgudyszkach. Wyjechaliśmy więc oboje z Julą w moje strony z zamiarem pozostania jakieś 10 dni w domu rodziców. Niestety nie było sędzonem mnie długo popasać w Syłgudyszkach. Wezwano mnie telegraficznie do Wilna. Wróciliśmy więc oboje. Rodzice wzięli na siebie dopilnowanie i urządzenie dworu w Kukuciszkach. Udało mi się nabyć w Petersburgu za bezcen całe PIĘKNE ANTYKI, któremi miałem zamiar umeblować dwór. Wszelkie nowoczesne meble nie pasowały bowiem do starego typowo litewskiego dworu.

W Wilnie musiałem w zastępstwie pana Edmunda Bortkiewicza prezesa Syndykatu KTÓRY WYJECHAŁ na kurację do Karlsbadu, załatwić bieżące sprawy. Nie mogłem się wymigać z tego dodatkowego obowiązku. Był to sezon sprowadzania przez Syndykat znacznych ilości nawozów sztucznych na okres siewów jesiennych. Dyrektor syndykatu dał mnie do podpisu, oczywiście pod pieczątką, weksli na kilkadziesiąt tysięcy rubli. Chciałem pierwotnie odmówić mego podpisu, ale okazało się że Rada Towarzystwa Rolniczego w czasie mojej nieobecności na prośbę pana Edmunda obdarzyła mnie nieprzyjemnym zgoła pełnomocnictwem do podpisywania z ramienia Syndykatu weksli.

Jakimś niedobrym przeczuciem wiedziony udałem się do pana Hipolita Korwin Milewskiego tłumacząc moje objekcje i pewne obawy co do porządków w rachunkowości syndykatu. Pan Hipolit podzielił ku memu zdumieniu TE OBAWY. Zdecydowliśmy namówić pana Edmunda, aby po POWROCIE sprowadził przysięgłego

buchchaltera celem przeprowadzenia rewizji ksiąg. Tymczasem pan Hipolit prosił mnie abym podpisał weksle z ramienia syndykatu zaręczając, [redacted] że podpis ten mnie osobiście nie obowiązuje. Nauczony od Ojca miałem zawsze wstręt do podpisywania weksli [redacted]. To też nie bez przykrego uczucia podpisałem kilkadziesiąt weksli, oczywiście byłem na tyle ostrożny żem zanotował [redacted] numer każdego weksla i sumę. Tem nie mniej nie mogłem się pozbyć uczucia pewnego niepokoju który mnie przez czas dłuższy prześladował.

W parę dni po przyjeździe do Wilna byłem delegowany przez dyrekcję Banku do dóbr Berezyńskich hr Maurycego Potockiego położonych w pow. Ihumeńskim nad Berezyną; [redacted] miałem też do załatwienia jakąś nieprzyjemną zgoła sprawę w leżącym na skraju puszcz berezyńskich [redacted] już na pograniczu gubernii Mohylewskiej majątku " Kozłowy Brzeg " / Kozłowyj bierieg /.

Moja żona miała na Czerwiec wyjechać z naszym synkiem Andrzejem do Horodyszcza do swojej matki, korzystałem więc z okoliczności, aby odporowadzić ję do Mińska. Rozstaliśmy się w Mińsku Litewskim Jula podążyła dalej tym samym pociągiem do stacji Rudzieńsk kolei Libawo Romeńskiej, ja przesiadłem się na Kolej Moskwa-Brześć na pociąg idący do Borysowa, skąd miałem około 60 wiorst do przebycia końmi.

Już po raz drugi w ciągu niepełna półtora roku losy [redacted] zaprowadziły mnie w te odległe strony. W oczekiwaniu koni pocztowych chciałem zwiedzić Borysów, jedno z najstarszych miast białoruskich. Nie było tam nic do oglądania. Moskwa nie szanowała pamiątek. Nie pozostało tam bodaj nic wartego widzenia. [redacted] Było to typowe szablonowe urzędowe miasto powiatowe [redacted] w którym wszelkie ślady przeszłości były zatarte, [redacted] koszarowo-drewnianą architekturą a raczej obrzydliwym niechlujnym pozbawionym wszekliego wdzięku budownictwem moskiewskim. Nudą i opuszczeniem wiało ze

z każdego KATA. Już na wjezdzie do miasta, człowiek mimowolnie odczuwał tę specyficzną policyjno- CHAMSKO - żydowską atmosferę. Jedynie dumnie sterczące ku niebu wieżyce dawnej fary borysowskiej wzniesionej w XVl wieku przez Adama Kazanowskiego, starosty borysowkiego, a przerobionej na cerkiew świadczyły o dawnej świetności miasta.

A przecie, jak wynika z dawnych kronik, już w 1102 roku Borysów był własnością Borysa Wszesławowicza, księcia Połockiego. W roku 1199 Borys, syn Gitwiłła księcia litewskiego, zbudował tu zamek. Król Aleksander Jagiellończyk w r. 1500 a następnie król Zygmunt 1 w r. 1514 obdarzyli miasto przywilejami. Król Zygmunt August nadał prawo magderburskie co później zostało potwierdzone przez Króla Stefana Batorego. Borysów pamiętny jest odwrotem armji Napoleona z pod Moskwy jesienią 1912 r. Admirał Czyczagow zgromadził swoje siły pod Borysowem aby zaskoczyć Napoleona, tymczasem armja Napoleona zmyliła plany Czyczagowa i przeprawiła się przez Rzekę Berezynę o kilkanaście wiorst wgórę od Borysowa przy wsi StudziONce. Ten nieudany manewr Czyczagowa posłużył tematem do bajki „Łabędz rak i szczupak" napisanej przez znakomitego rosyjskiego bajkopisarza Kryłowa.

Borysow leżał w południowej części ziemi dawnych Krywiczan, tego plemiennie najczystszego szczepu białoruskiego zasiedlającego olbrzymią połeć kraju a więc część powiatu dziesnieńskiego powiat borysowski gub Mińskiej i powiat Lepelski gub witebskiej do lewego brzegu Dzwiny zachodniej aż pod mury Połocka. Jak mową tak i budową głowy i obliczem ci potomkowie dawnych Krywiczan rożnili się od reszty Białejrusi. Mówili oni pięknym śpiewnym językiem w którym w całej krasie zachowały się swoiste typowo białoruskie słowa i wyrażenia. Tym właśnie narzeczem Krywiczan mówiono na dworze Giedyminowiczow i

i w tymże narzeczu pisane są wrzystkie dawne akta W.X.L.
Jak nigdzie przechowały się wśród Krywiczan dawne obrządki sięgające pogańskich czasów, kult zmarłych, podania i legendy wreszcie zabobony nie spotykane w innych częsciach Białejrusi.

Plemię Krywiczan sięgało zapewne aż do północnej części powiatu Ihumenskiego i a mam wrażenie że granica plemienna przechodziła gdzieś pomiędzy wsią Żabaszewicze i rzeką Uszą prawym dopływem Berezyny.

Szczęśliwych losów koleją jadąc wówczas końmi pocztowemi traktem wiodącym na Żabaszewicze i Dubonicze do Berezyny, byłem świadkiem takiego pogańskiego obrządku. Wjechawszy za Borysowem w lasy Hliwinskie Świdów i puszcze Słobodki i Lelum - Polelum mego szwagra Wańkowicza trafiłem na jakieś święto, choc to był dzień powszedni. Przejeżdżając pierwszą wieś spostrzegłem że cała ludnośc wyległa z chat na drogę i na pole za wsią . Usłyszałem dźwięki skrzypiec i harmonji i zajątem korowód kobiet i mężczyzn ubranych odświętnie i tańczących zapewne Lewonichę .
Krzyże przydrożne których jest tu mnostwo, i chaty przybrane były świeżą zielenią.
" Jakiego świętego narod tu-
" tejszy tak uroczyście obchodzi?" spytałem mego woznicę.
" Panok nie tutejszy, tak nie wiedajeć , tak heta " kamajedica"/
" Co takiego spytałem ?
" Kamajedica - powtórzył - miedwieżij prazdnik .
Dowiedziałem się wreszcie po dłuższych indagacjach że było to święto nie żadnego męczennika czy pustelnika, ale święto niedźwiedzia; będące pozostałością jakichś dawnych pogańskich obrządków.
Obrządki te były wyrazem pewnego kultu mieszkańcow puszczy dla ich sąsiada niedźwiedzia, miały też one służyć do uproszenia niedźwiedzia by nie nie szkodził w barciach i zasiewach owsa.

Na te uroczyste obrządki gospodynie wypiekają placki z mąki gryczanej z miodem. Placki takie w gwarze miejscowej nazywają " kamy " skąd "kamajedica" / dosłownie jedzenie kam /. Pewną część tych placków ludność "korowodem" niesie do boru i składa w uroczysku leśnym na jakimś pniu, zwykle w ostępach niedźwiedzich.

Poczęstowano i mnie takim plackiem, choć nie jestem niedźwiedziem. Placek był upieczony z kruchego a bardzo smacznego ciasta.

Pomimo tych obrządków, białorusin zabezpieczał jednak swoje barcie przymocowane zwykle dość wysoko na pojedynczej gonnej sośnie przytwierdzając na pniu pod ulem zwykle brony drewniane, kołkami w dół, co było dla niedźwiedzia przeszkodą nie do pokonania. Zapewnie ci nieliczni, którzy odwiedzali te dalekie puszczańskie strony nie mogli nie zauważyć uli wiszących gdzieś wysoko na sośnie i nie mogli się nadziwić skąd ni z tąd ni z owąd, znalazła się na sośnie brona.

Wpadła mi w ucho dźwięczna, śpiewana przez korowód pieśń. Dałem kilka rubli "prowodnicy" aby mnie powtórzyła słowa pieśni którą spisałem w swoim notesie podróżnym.

W pamięci pozostała mi jedynie pierwsza zwrotka

" Chodić " łada" pawoj, pawoj
" Zmiet płatoczek na hrudi
" Aj łukawyj aj kudriawyj
" Zautra, Zautra prichodzi
" Aj kudriawyj , aj smyszlenyj
" Pokosi moj łuh zielenyj

Ludność tutejsza czci niedźwiedzia i traktuje go jako człowieka, a broni jak może.

Parę lat przed moją bytnością w tamtych stronach zdarzył się następujący wypadek. W lasach Hliwińskich należących do braci Świdów żona miejscowego popa / Popadja / zbierając maliny w lesie natknęła się na leżącą niedźwiedzicę z małym niedźwiadkiem / piastunem/. Niedźwiedzica w obronie niedźwiadka rzuciła się na popadję i [illegible]

i zdarła pazurami z głowy popadji włosy z kawałkiem skóry.
Na skutek skargi do gubernatora miejscowego popa, upatrującego w tym zajściu " polskuju intrigu / polską intrygę/, gubernator nierozważnie wydał polecenie aby pan Świda wystrzelał niedzwiedzie w swoich lasach.
Gdy pan Świda odmówił wykonania tego rozkazu, gubernator rozkazać miał policji zwołania zbiorowej obławy ch w . Policja miała polecenie zmobilizowania miejscowych chłopów na te urzędowe polowanie .

Było fiasko, bo żaden chłop nie ruszył z chaty, a w dodatku ludność miejscowa chciała wyruszyć z widłami i kołami na obronę niedzwiedzia. Pan Świda złożył skargę do senatu na bezprawne postępowanie gubernatora i wygrał . Na dobitek w dzienniku "Riecz"-organie kadetów, znalazł się artykuł pod tytułem " Miatieżniki miedwiedi " Niedzwiedzie - powstańcy / w którym gubernator był wyśmiany w nieprawdopodobny sposób.

Słońce miało się już ku zachodowi, miałem jeszcze przed sobą zgórą czterdziestu wiorst do Berezyny. Nie chcąc robić kłopotu Państwu Stefanom Wańkowiczom swoim przyjazdem, gdyż nie miałem czasu aby ich uprzedzić, zdecydowałem spędzić wieczór i przenocować pod gościnnym dachem Tola / Witolda / Wańkowicza dalekiego krewnego mojej żony / brata Melchiora Wańkowicza / w jego Kałużycach leżących na pół drogi od Borysowa.
Nie jest wreszcie wskazanem podróżować nocą w tych zapadłych stronach, nie z powodu ludzi lub zwierząt, ale z powodu różnych nadprzyrodzonych niebezpieczeństw które tu na każdym kroku czyhają.
Tak się bowiem stało, że gdy Bóg stworzył Białoruś to odwrócił się tyłem, aby na nią nie patrzyć.

Zapewne z tej racji " Genus Luciferi " upodobał sobie Białoruś a szczegulnie ziemie dawnych Krywiczan i Połoczan. Nagromadziło się tedy w tym kraju sporo różnego pomniejszego djabelskiego bractwa. Po domostwach szwęda się "domowik", nocyma wydaja krowy, robi rożne przeciwności gospodyniom; nad wodami krąży "wodianik ", rwie zstawione wiecieże lub siecie , wciąga w w wiry rzeczne nieopatrznego, a często przyjmuje postać " wierozuba "-ryby która się znajduje jedynie w Berezynie i w Prypeci. ; po lasach błąka się " borowik " myli drogę, wciąga czasem do topielisk i trzęsawisk. A czasem, bardzo co prawda rzadko, można się spotkać z samym " leszym " czy tak zwanym " kosmatym " najczęściej w postaci niemca w pończochach lub wilka.

Przypomniawszy sobie o tych wrzystkich czyhających na mnie na każdym kroku niebezpieczenstwach, poleciłem woznicy by przyśpieszył kroku i przed zmierzchem dowiózł mnie do Kalużyc.

Nie dojeżdżając do Kalużyc spotkałem na drodze Tola wracającego konno z objazdu gospodarstwa.

Lubiłem Kalużyce i ten stary trochę wrośnięty już w ziemię dwór i niskie komnaty umeblowane nieruszonemi od pokoleń masywnemi, domowej roboty meblami, i piękne portrety rodzinne pędzla Walentego Wankowicza ozdabiające sciany i gościnną kawalerską a beztroską atmosferą . Rodzice Tola odumarli wcześnie. Dzieci chowały się trochę samopas pod opieką starej oddanej rodzinie zasuszonej jak ulęgałka pannie Anecie. Po śmierci starszego brata Tol porzucił studja na Instytucie Inżynierów Cywilnych w Petersburgu i osiadł na wsi. Młodszy jego brat Mel / Melchjor Wankowicz znany pisarz / odziedziczył majątek leżący gdzies na Żmudzi w okolicach Kowna , sam studjował na uniwersytecie Petersburskim pozostawiwszy prowadzenie domu i gospodarstwa ich siostrze Reginie.

" Anetko " mamy gościa "- wołał już od progu Tol , poczem chwycił pannę Anetkę wpół uniósł ją mimo protestów parę razy w górę jak dzieciaka ~~posadził~~ i postawił na stole.
" Anetko ; tylko dużo , pieprznie , tłusto , słono i tej starki,
" co mnie nie dajesz na codzień a chowasz dla gości.
" Ach panie, zawsze ten sam niepoprawny Tol;jakim był za młodu ta-
" kim pozostał.-rzekła panna Aneta witając się ze mną.
Siedliśmy do stołu zastawionego jak na Wielkanoc. Poznałem przy stole młodego malarza z Warszawy ~~który~~ zaproszonego przez Tola dla odnowienia minjatur rodzinnych, których bogatą kolekcję posiadały Kałużyce.
~~Mimochodem~~ Przy rozmowie zwróciłem uwagę Tolowi, że będąc w tych stronach mimowolnie przypominam ustęp Wincentego Pola.

" Tam na północ hen daleko
Szumią puszcze po nad rzeką

" Nic dziwnego- odrzekł Tol , bo Wincenty Pol będąc na Białej-
" rusi parę tygodni spędził w Kałużycach i tu właśnie napisał ten
" ustęp " Pieśni o ziemi naszej "- jeżeliś ciekaw mogę ci poka-
" zać jego autograf o tę część pieśni której kopje zostawił w
" Kałużycach (na pamiątkę jego tu bytności.)
" Gościł tu w swoim czasie również Andriolli , mam całą kolekcję
" jego szkiców i rysunków ;- którą obejrzymy po kolacji, jeżeliś
" nie zmęczony.
" Tolu-rzekła panna Aneta-położymy Mieczysia obok Twego pokoju
" dalej od salonu, bo wiem że Mieczyś nie bardzo lubi mieć do
" czynienia z duchami,po swojej bytności u Miłoszów,o której nam
" w roku zeszłym opowiadał , a choć nasze duchy nie szkodliwe i
" nikomu nic złego nie robią ale co noc hałasują w salonie .
Dom w Kałużycach znany był na całej Ihumeńszczyznie z tych różnych hałasów nocnych w salonie. Zaraz po północy słychać było jakieś przesuwanie krzeseł , ktoś tam jak by odwracał stronnice księgi,

Mieszkańcy tak się przyzwyczaili do tych hałasów, że nie zwracali nawet na to najmniejszej uwagi. Zdarzały się jednak wypadki, że Panna Aneta, która wstawać zwykła o świcie zastawała rano taki chaos w salonie, jak by tam burza przeszła; poprzesuwane szafy, poprzewracane meble i stoły, książki i albumy porozrzucane po podłodze, obrazy na ziemi, a któregoś razu olbrzymi ciężki srebrny świecznik znalazł się na piecu.

" No widzisz Tolu-mówiła w takich wypadkach panna Aneta-znowu
" narobili mnie kłopotu, służba cały dzień będzie miała roboty
" zanim uporządkuje, trzeba sprowadzić z Borysowa ks Dziekana
" aby nanowo pokropił wodą Święconą.

" Dobrze, dobrze - mawiał beztroski Tol, poczem oboje z panną Anetą zapominali o całym zajściu aż do następnego razu.

Pożegnawszy nazajutrz Tola i pannę Anetę wyruszyłem w dalszą drogę na Dubowicze do Berezyny.

Przyjechałem na obiad. Zauważyłem w czasie obiadu, że pogodna atmosfera zacnego domu Stefana Wańkowicza zmieniła się do niepoznania. Nawet wesołe i pełne śmiechu jego przemiłe a przystojne córki starsza Maniuta i młodsza Ziuta / późniejsza żona Tadeusza Romera ambasadora Polskiego w Tokjo / były zasępione. Gdyśmy z panem Stefanem po obiedzie przeszli na kawę i cygara do jego kancelarji, przeprosiłem go za niedyskrecję, ale jako jego powinowaty / Pan Stefan był dalekim kuzynem mojej Żony / chciałem się dowiedzieć, czy nie spotkały go jakieś przykrości.

" Nie potrzebuję przed tobą taić panie Mieczysławie, że od tygodnia
" chodzę jak nie swój a to z następujących powodów.
" Jak wiesz już od 28 lat administruję Berezyną. Gdy
" Rada Mińskiego Towarzystwa Rolniczego zaproponowała abym na
" prośbę hr Augusta Potockiego, ojca Morysia - obecnego właściciela
" objął interesy Berezyny, bardzo się wahałem i tylko pod naciskiem

Prezesa Edwarda Woyniłłowicza, Romana Skirmunta i pańskiego krewnego zacnego mecenasa Witkiewicza zgodziłem się na objęcie administracji. Znalazłem interesy Berezyny w tak opłakanym stanie, że z dnia na dzien groziła licytacja. W ciągu tych dwudziestu paru lat, poswięciłem całą swoją pracę i energję dla ocalenia Berezyny i wyrwania jej z rąk lichwiarskich; uporządkowałem gospodarstwo, urządziłem lasy , założyłem tartak i gorzelnię , podniosłem zwierzostan do obecnego stanu . Znalazłem lasy wytrzebione , puste, teraz mam piękne zagajniki i rewiry leśne o wspaniałym drzewostanie którego nie znajdziesz nigdzie chyba w lasach Piotra , pańskiego szwagra. Liczę obecnie około 300 łosi i nie mniej od 30 niedźwiedzi nie licząc drobnej zwierzyny i ptactwa.a szczegulnie głuszców. Musiałem prowadzić walkę z kłusownikami i tępić wilki ktore robiły niesłychane szkody w zwierzostanie. Gdym obejmował Berezynę znalazłem w kasie pustki a w książkach deficyt ,dzis Berezyna daje kilkadziesiąt tysięcy dochodu a mamy kilka set tysięcy rubli gotówką w Banku Państwa.

Nieboszczyk hr August Potocki obdarzał mnie nieograniczonym zaufaniem i wdzięcznością za ocalenie Berezyny. Obecny właściciel Moryś Potocki rowieśnik mego syna, któremu również na imię Maurycy—to w gruncie rzeczy dobry , lekkomyślny jak jego Ojciec chłopak, ale brak mu doswiadczenia i znajomości ludzi którą miał Ojciec Potoccy oprocz Berezyny mają jeszcze znaczne dobra w Królestwie i na Podolu a między innemi piękną Jabłonnę pod Warszawą.

Po śmierci dawnego głównego pełnomocnika interesów hr Potockiego uprzedzałem Morysia, aby był ostrożny z doborem ludzi. Proponował mnie objącie całości jego interesów. Odmówiłem . Warszawa i atmosfera warszawska nie dla mnie . Ja nie mogę żyć w mieście bez kniei , bez mojej straży leśnej. W Warszawie nie dał bym sobie rady.

Niestety Morysiowi w Warszawie nastręczono na głównego plenipotenta jakiego żyda , znanego adwokata warszawskiego nazwiskiem Konic , który sobie dobrał do pomocy niejakiegoś pana Skarżyńskiego, utracjusza i blagiera-słowem typowego nieudanego " koronjarza " .

Mając to na względzie zastrzegłem się w kontrakcie, że będę miał do czynienia jedynie z Maurycym Potockim i że będę całkowicie niezależnym od pana Konica i Co.

Niespodzianie w ubiegłym tygodniu dostałem telegram od Pana Konica że oboje ci panowie mają przyjechać do Berezyny i polecenie wysłania po nich koni.

Otóż ja koni cugowych nie zwykłem wysyłać o 60 wiorst po pierwszego lepszego przyjezdnego. Odtelegrafowałem aby wynajęli konie pocztowe w Borysowie. Przyjąłem ich uprzejmie , choć od pierwszej chwili poczułem jakąś trudną do ukrycia antypatję. Zaprosiełm ich do stołu , gdzie ani swemi manjerami ani rozmową nie zachwycili mojej rodziny.

Po obiedzie oświadczyli mi że przyjechali celem załatwienia administracyjnych interesów . Udaliśmy się do kancelarji.

Pan Konic oświadczył mnie że jest głównym plenipotentem interesow hr Potockiego i że wiedząc o wielkich dochodach Berezyny i o leżących w Banku pieniądzach, poleca mnie, abym niezwłocznie przekazał do Warszawy sumę stu tysięcy rubli.

Spytałem czy ma na to upoważnienie hr Potockiego?, jako odpowiedź pokazał mnie rejentalną pełną plenipotencję wystawioną przez tegoż. Wówczas okazałem mu swoją plenipotencję zastrzegającą wyłączenie Berezyny z ogólnej administracji i gwarantującej mnie niezależność od pana Konica.

Ponieważ pan nie ma wyraźnego osobistego polecenia od hr Potockiego zmuszony jestem odmówić panu spełnienia jego prośby.

Widziałem że gdym pokazał tym panom moje plenipotencje i konrakt miny ich nieco się wydłużyły.

Nas to nie obowiązuje rzekł p. Konic, my mamy inne prawodawstwo w Królestwie oparte na kodeksie Napoleona i żądania nasze są prawne.

" Tak - odrzekłem-ale ponieważ panowie są obecnie na Litwie, więc oświadczam że mnie nie obowiązuje prawodawstwo kongresówki.
i powtarzam że nie spełnię pańskiej prosby.

" To nie prośba , to rozkaz - rzekł pan Skarzyński.

Zawołałem na służącego. - Proszą polecić stangretowi, aby niezwłocznie zaprzągł czwórkę do bryczki i odwiózł panów na pociąg do Borysowa czasu jest dosyć do nocnego pociągu , można nawet nie gnać koni.

- Sądzę że rozmowa nasza jest skończona - rzekłem wskazując na drzwi.

- My się stąd nie ruszymy oświadczył p. Skarzyński.

-Klasnąłem w dłonie- Sprowadzić tu Andreja i Efima-rzekłem

-Weszło dwuch moich gajowych były to chłopy jak dęby.

" Biarycie henych panou, za kołnierz, wyprowadźcie z chaty i [illegible] posaditie na telehu.

Widząc że tu nie przelewki obydwaj wynieśli się co rychło z kancelarji i pod okiem gajowych wsiedli do bryczki .. konie ruszyły.

Niezwłocznie wysłałem pismo do hr Potockiego, że zrzekam się administracji i że proszę aby przyjechał natychmiast przejąc interesy Berezyny ktore oddam nie inaczej jak osobiście .

Nie mam do dziś dnia odpowiedzi - rzekł pan Stefan. kończąc swoje opowiadanie.

Nie przypuszczałem że w rok później, będę zmuszony w podobny sposób w wypraszac p. Skarzyńskiego z dyrekcji Wileńskiego Banku Ziemskiego

Mieliśmy już wyjść z kancelarji, gdy wbiegł chłopak kredensowy z telegramem w ręku. Pan Stefan szybko przeczytał telegram i podał mnie. Hr Maurycy Potocki przepraszał za spóźnioną odpowiedź spowodowaną jego nieobecnością prosił w serdecznych wyrazach, aby pan Stefan zmienił swoją decyzję i zaręczał że podobne wizyty pana Konic

i pana S. więcej się nie powtorzą.

Twarz pana Stefana się rozjaśniła.

" Zaraz pójdę oznajmię to żonie i córkom , choć między nami, panie
" Mieczysławie nie sądzę abym j długo zabawił w Berezynie.
" W każdym razie uprzedzę o tem Prezesa Woyniłłowicza i Romana
" Skirmunta, a teraz, jeżeli pan nie zdrożony , każę założyć do
" bryczki i pojedziemy w las , a po drodze rozgadamy się o interesach i o powodach dla których pana fatygowałem .

Było ciche letnie popołudnie . Z wysokiego brzegu błyszczały w promieniach słońca zielonawe nurty Berezyny ciemna ściana boru na przeciwległym brzegu odbijała się w wodzie. Jak okiem sięgnąć rozciełała się wielka jak morze puszcza . Wysoko nad borem ważyły się w powietrzu wielkie jastrzębie , do uszu naszych dochodziło ich przenikliwe kwilenie.

Przeprawiliśmy się na drugą stronę rzeki i wjechaliśmy w las.

" Prosiłem dyrekcję , aby delegowała pana do Berezyny w celu
" oszacowania obecnego jej stanu, jest nam to potrzebne na wszelki
" wypadek-dodał ze smutnym uśmiechem. pan Stefan

" Jedź do rewiru " Jagódka " rzekł pan Stefan zwracając się do stangreta a stan koło leśniczowki , zabierzemy z sobą Iwana .
Chcę Panu pokazać jeden z moich ulubionych rewirów leśnych , niech pan zwróci uwagę na drzewostan .

Dojechaliśmy do leśniczowki. Na progu stał wyciągnięty jak struna gajowy . Pozdrowił pana Stefana ukłonem wojskowym.

" Nu Iwan , co tam u was słychać. ? spytał gajowego.

" Zawczora znalazłem w 6 kwartale rozszarpaną kozę , wczoraj
" otropiłem wołczychę i na bołocie znalazłem gniazdo .
" Dzis rano zastrzeliłem wołczychę i zabrałem 5 szczeniąt . Są u
" mnie w chacie . Co pan administrator przykaże z nimi zrobić.

" Nie ma co ich hodować - rzekł krótko pan Stefan.

- Słucham-odrzekł gajowy.
- Niech Iwan siada na kozieł przy stangrecie i jedzie z nami.
- A jak niedzwiedzie -? spytał
- Tak czto, dwa stare przeszły do Kliczewa a trzy miedzwidzichy
- z piastunami trzymają się u mnie .

Droga stawała się coraz węższa . Z obydwuch stron piętrzyły się jak kolumny złotawe pnie sosen których wierzchołka dojrzec nie mogłem. W dole boru panował półmrok.
W pewnej chwili gajowy targnął stangreta za rękaw .
" Zastanowiś - szepnął wskazując ręką w głąb boru.
" Tylko co poszła z piastunem , wot wychodzić na haliznu.
Nie mogłem nic dojrzeć . - Tak jest rzekł pan Stefan , widziałem jak przeszła tu po prawej stronie.
" A won i jej legowisko - szepnął gajowy zeskakując z kozła na
" ziemię , jeszcze ciepłe-rzekł wskazując na wyleżane wśród
" mchu i traw miejsce .
Oboje z panem Stefanem zeskoczyliśmy z bryczki.
Niech pan poprobuje panie Mieczysławie
rzeczywiście jeszcze ciepłe. Przyłożyłem i ja rękę miejsce gdzie leżała Niedziwedzica było widoczne i ciepłe , zapewne przed chwilą usłyszawszy turkot bryczki wstała z legowiska.
- Jedźmy dalej - rzekł pan Stefan. - Miedzwiedzichy z piastunem
- lepiej nie zaczepiać.

Droga wiodła dalej wgłąb puszczy . Z obu stron podszycie boru stawało się coraz gęstsze .
Jesteśmy w sercu puszczy - rzekł pan Stefan ,
- Zgodzi się pan ze mną, że nikt nie opisał lepiej matecznika jak
- Mickiewicz w Panu Tadeuszu.
- I teraz może trochę postrzelamy - rzekł mój gospodarz.- Wziąłem
- sobą dwie dubeltowki. Może pan strzelać śmiało bo tu tyle tego
- dobrego że szkody nie będzie , choć to jeszcze czas zakazany.
Nie rozumiałem o co chodziło.

w czerwcu

- Widzę że pan jako prawdziwy myśliwy i hodowca niechętnie
- bierze za strzelbę [illegible]. Ale mamy tu tyle jarząbków a
- szczegulnie kogutów, że trzeba ich trochę odstrzelać , więc
- i tak i tak bym w tych dniach wybrał się na te polowanie.
- Przyznam się-rzekłem-żem nigdy jeszcze w życiu nie strzelał do
- jarząbków i nie wiem nawet jak odróżnić koguta od kury.
- Kogut jest trochę większy i ma pierze nieco ciemniejsze z czer-
- wonawym odcieniem. Zresztą kury, które są szare, zwykle nie lecą
- na wab .
- Stańmy sobie pod jmm sosnami w pozycji możliwie prostej i
- [illegible] nieruchomej.
- Nu Iwan - rzekł pan Stefan do gajowego , powabi riabczykow -

~~Iwan wyjął z kieszeni białą wydrążoną kostkę i przyłożył do ust lewą ręką prawą zaś [illegible] zakrył usta podnosząc od cza- su do czasu dłoń [illegible]~~

Iwan wyjął z kieszeni wabik zrobiony z [illegible] kostki ptaszej [illegible] , lewą dłoń umieścił w pozycji poziomej nad ustami , prawę włożył wabik w usta i zaczął wabić.

Usłyszałem jakis głos porzypominający furkanie skrzydeł ptasich
Pfrrrrrrr....... pfrrrrr.........

Za chwilę usłyszałem nad sobą ze wrzystkich stron furkanie.
[illegible] Pan Stefan strzelił , jarząbek zwalił się na ziemię
Pan Stefan podszedł do mnie. - Ja nic nie widzę-rzekłem.
P Panie Mieczysławie szepnął do mnie - dwa jarząbki siedzą nad panem a tam na jodle siedzi trzeci. -

Wytężyłem wzrok ale nic nie ujrzałem . Dopiero po dłuższej chwili ujrzałem coś mam jak by ukrytego w gałęziach jodłowych.
Wystrzeliłem na chybił trafił i ku memu zdziwieniu to coś zaczęło spadać z gałęzi na gałąz wreszcie upadło na ziemię ... ku mojej radości był to pierwszy w moim życiu jarząbek.

Rozeszlismy się znowu . Po godzinie pan Stefan miał już kilkanascie

jarząbków ja zdołałem wypatrzyć i zabić jednego .

- Strzelanie jarząbków to nie jest rzecz łatwa , trzeba mieć dobre
- oczy a przedewszystkiem wprawę- rzekł pan Stefan. Znam bardzo
- wybitnych myśliwych którzy pierwszego dnia nie potrafili wy-
- patrzeć ani jednego , miał więc pan szczęście.

Wróciliśmy do bryczki. Rozłożyłem na siedzeniu plan majątku aby się zorjentować .

- Widzi pan, to jest ów sławny rewir Kliczew , który zdołałem oca-
- lić od siekiery kupieckiej. Obecnie jest to nasz największy ka-
- pitał około 5.000 dziesięcin nietkniętego boru, niech Pan oblicz;
- co teraz to warte.

W lesie zaczęło ciemnieć wyjechaliśmy na niskie halizny ciągną-ce się wśród puszczy . Na smugach leśnych podnosiła się mgła wie-czorna.

Pan Stefan zatrzymał konie.

- Patrz pan , tam na prawo .- szepnął

W odległości jakichś 40 kroków ujrzałem łosia, stał do połowy zanurzony we mgle . Ogromny swój łeb opatrzony potężnemi łopatami trzymał wysoko jak by wietrząc. Podszedł parę kroków i najspokojniej zaczął oskubywać z liści zwieszające się gałęzie brzóz.

" Ale zwierzyna w Berezynie nie jest płochliwa - rzekłem do pana Stefana.

- Dwadzieścia kilka lat pracy .... ale też wynagrodzonej przyjem-
- nością takiego widoku NAPRZYKŁAD jak dzisiaj.

Wróciliśmy do domu na kolację . Dwór w Berezynie był murowany dwupiętrowa czterokątna budowa położona bezpośrednio nad rzeką, której nurt podchodził pod same ściany.

Wyszedłem na werandę zawieszoną nad wodą stałem wpatrzony w czerwień zachodu która kładła fjoletowy pasy na rzece.

- Kąpiel mamy jak pan widzi blisko , nurt tu jest głęboki a moja
- młodsza córka Ziuta, [illegible] co rano z tego balkonu skacze do rzeki
- i używa pływania , a nie chwaląc się pływa jak wydra.

Przy kolacji dowiedziałem się od Pani Stefanowej Wańkowiczowej, znakomitej znawczyni przyrody białoruskiej, wiele ciekawych szczegułów o których nie miałem pojęcia.

Chciałem się dowiedzieć czegoś o rybie zwanej „wierozubem", o której wspomniał Józef Weyssenhof i o której kilkakrotnie słyszałem bawiąc na [illegible] Polesiu.

- Nie jest to żadna bajka - rzekła Pani Stefanowa - już kilka razy
- jedliśmy [illegible]. w Berezynie wierozuba. Jest to wielka ryba, mam
- wrażenie z rodziny sandaczy ma bardzo delikatne mięso i chara-
- kterystyczną rogową narośl na dolnej szczęce przypominającej wy-
- glądem swym ząb - stąd zapewne nazwa - wierozuba.
- Ludność miejscowa opowiada jakieś nadzwyczajności o tej rybie i
- powtarza różne bajki o tem że wierozub napada na ludzi i
- chwyta małe dzieci gdy ich zdybie w czasie kąpieli.
- Z tej racji żaden z miejscowych nie tknie wierozuba.
- Jest to jednak ryba bardzo rzadka i trzymająca się na najgłębszej
- wodzie. Przed rokiem na moje zaproszenie bawiła tu wycieczka
- złożona z kilku asystentów i profesora uniwersytetu w Oxford
- przesiedziała kilka tygodni zachwycona temi odkryciami o
- których nie mieli pojęcia.
- Przyznam się że ja pierwsza zwróciłem uwagę, [illegible]
- [illegible] NA TĘ RYBĘ.
- Z tej racji moją żonę ochrzczono w Mińszczyznie [illegible] wierozubem
- i pod tym imieniem jest znana. Jak panu powiedzą o Wierozubie
- niech pan ma na myśli Stefanową Wankowiczową - rzekł śmiejąc się pan Stefan.

- Przestańce mnie dokuczać tym wierozubem- rzekła pani Stefanowa
- Nie wiem czy panu wiadomo, że tu w lasach berezyńskich są bodaj
- jedyne w Europie i Azji świnie jednokopytowe. Jakim sposobem
- tu zawędrowały nie wiadomo. Być może że przyszły
- przed wiekami z jakimś plemieniem które dawno wyginęło.
- Trzymają się one jedynie w jednej wsi zwanej Kliczew leżącej w
- głębi puszczy. Są one nieco mniejsze od rasy miejscowej
- którą się nie łączą , Jutro, jeżeli pan ciekaw, mąż mój w czasie objazdu
- rewiru Kliczew pokaże panu ten dziwny wybryk natury.
- Wiele tu jest rzadkich roślin - ciągnęła dalej pani Stefanowa.
- Rosną tu nieco dalej wdół rzeki niegdzie nie spotykane orzeszki wodne,
- Uczeni angielscy łamali sobie głowy do jakiej rodziny mają
- zaliczyć tę roślinę - jeżeli starczy czasu popłyniemy jutro
- tam czółnem , bo chciałabym je panu pokazać.

Dnia następnego po wczesnym śniadaniu wyruszyliśmy z Panem Stefanem do lasu. Droga prowadziła przez czysty, nieco rzadki sosnowy bór. Dzień był słoneczny pachło żywicą i sośniną. Przez konary sosen przezierały promienie słoneczne rzucając i świetlne plamy na zielony kobierzec mchu i złocąc pnie sosen.

Przejeżdżaliśmy poręby . Stały tam pozostawione nasienniki, pojedyncze sosny . Na wielu z nich zauważyłem zawieszone wysoko barcie z podłożonemi zwyczajem białoruskim bronami, chroniącemi pszczoły od niespodziewanych wizyt niedźwiedzich.

Wjechaliśmy na wielką haliznę otoczoną ze wszech stron borem. Wśród pól uprawnych zasianych hreczką i żytem stało kilkanaście chat .

- Jesteśmy w Kliczewie - rzekł pan Stefan.
- Wysiedliśmy z bryczki.

Pan Stefan podszedł do jednej z chat i wywołał gospodynię.-

- „Ieny pan chocziet obaczyć wasze świnie" - rzekł
- Musić pan znowu jakiegoś angliczanina przywiozł, co był tu
- proszłaho leta i biegał za swinjami i patagrafju snimał i
- arszinom mierił, ciapier wieś narod śmiejetsia z naś kliczew-
- skich, że my tu świńska Lewonicha
- tancuim.

Pan Stefan wsunął gospodyni parę rubli, ja też dodałem od siebie kilka rubli. Gospodyni się ODOBRUCHAŁA.

- Niechaj panowie pójdo za gumno, tak tam musić ony ciapier leżać.

Poszliśmy we wskazaną stronę i natrafiliśmy na stadko świń które pozornie niczem nie odróżniały się od miejscowej rasy tak zw. „asenizatorów". Były trochę mniejsze i więcej rudawe

/ Miejscowa rasa białoruska spotykana też i na Litwie budową swą i wyglądym zewnętrznym przypomina dzika. Są one samo wystarczalne a czem się żywią - to ich sekret osobisty. W każdym razie gdy chłop białoruski odwiecznym swych ojców zwyczajem przysiada w zadumie za stodołą lub chlewem, wtedy świnie z całej wsi pędzą w te miejsce i z głośnym chrząkaniem otaczają kołem autochtona, aby co prędzej sprzątnąć wszelkie pozostałe po jego bytności ślady./

Przyjrzałem się dobrze jednokopytowym świniom kliczewskim.

Idąc za poradą pana Stefana przysiadłem sposobem miejscowym, z aparatem w ręku, co mi dało możność zrobienia kilku bardzo udanych zdjęć.

Pozostawiwszy rozczarowane stadko wróciliśmy do bryczki.

- Mowił mi pan- rzekł pan Stefan - że ma pan jakiś interes do
- załatwienia w majątku Kozłowy brzeg. - Czy zabrał pan z sobą
- plany tego majątku?
- Owszem-rzekłem - Wydobyłem z teki plan .
Pan Stefan pokiwał głową - Co za bezczelność- rzekł.
- Plany są sfałszowane . Nie ma pan potrzeby tam jechać. Siedzi
- tam jakaś banda , może pan być narażony
- na zgoła nieprzyjemne rzeczy . Ponieważ wyjedziemy
- na skraj lasu, od pierwszego rzutu oka przekona się pan że mam
- rację. Mamy do granicy wrzystkiego 10 wiorst.
Ruszyliśmy drogą prowadzącą na Pohost w stronę gubernji Mohylewskiej. Las coraz rzednął wjechaliśmy wreszcie na skraj puszczy.
- To jest właśnie ów " Kozłowy brzeg " - niech pan spójrzy.
Przedmną jak okiem sięgnąc widniały piaszczyste wyręby leśne . Tu i owdzie sterczały poczerniałe pnie, lub gnijące zwały gałęzi. Na widnokręgu zobaczyłem kilka nędznych, drewnianych, krytych dranicami budowli. Ani śladu pola ornego ani łąk oznaczonych na planie.
- Dawniej "Kozłowy brzeg" wchodził w skład dóbr Berezynskich - rzekł pan Stefan . Nieboszczyk hr August Potocki sprzedał tę część Berezyny niejakiemuś Helmersenowi - łotyszowi, który po wycięciu lasu, odprzedał "część" podleśnych gruntów jakiejś ciemnej kompanji spekulantów , którzy zapewne mają zamiar przekupienia taksatora i uzyskanie znacznej pożyczki na te pustnie , które pan widzi. Jak się pan mogł naocznie przekonać plany są sfałszowane.
Przyznałem rację panu Stefanowi, dziękując mu że mnie wybawił z bardzo niezręcznej sytuacji.
- Nikt nie jeździ tam o ile ma interes, bez straży policyjnej.

Zawróciliśmy z powrotem . Słońce schylało się już ku zachodowi. Mieliśmy około 25 wiorst drogi powrotnej Zatrzymaliśmy się w lesie . Pan Stefan wydostał z bryczki koszyk , zawołał na stangreta i towarzyszącego nam gajowego rozesłaliśmy derkę na mchu i z wilczym apetytem zabraliśmy się do darów Bożych. Popełnił bym nieścisłość, gdybym nie wspomniał , że wypiliśmy parę dobrych kieliszków Berezyńskiej starki.

Był już mrok gdyśmy wreszcie wrócili z naszego objazdu do Berezyny.

Musiałem pozostać jeszcze cały dzień następny, aby dokończyć taksacji i spisać protokół z oględzin. Skorzystałem też z uprzejmości pana Stefana aby spisać protokół tego com znalazł w Kozłowym Brzegu i prosić go by ZAŚWIADCZYŁ SWOIM PODPISEM.

Nie zapomnę nigdy tych cudownych obrazów których byłem świadkiem, gdyśmy dnia następnego siedli do czółna w towarzystwie Pani Stefanowej i Córek i popłynęliśmy wdół Berezyny na poszukiwanie orzeszków wodnych.

Czółno nasze popychane drągami przez dwuch stojących w tyle gajowych , płynęło wartko wdół rzeki

Po lewej stronie rzeki czerniała puszcza, na prawym brzegu jak okiem sięgnąc ciągnęły się nadrzeczne łęgi . Krzyki wodnego ptactwa napełniały powietrze; raz wraz zrywało się stadko kaczek podlotów, krążyły nad wodami czaple, a gdzieś z moczarów leśnych dochodził nas tęskny monotonny głos żurawi.

W pewnym miejscu w pobliżu łachy piaszczystej pani Stefanowa zatrzymała łódź. - Widzi pan orzeszki wodne - rzekła wskazując mnie na pływające nakształt lilji wodnych kępy pokrytych białym kwieciem roślin. - Trafiliśmy jeszcze na okres kwitnięcia - rzekła - orzeszki dojrzewają dopiero w połowie Sierpnia., ale niech pan zerwie sobie kilka kwiatów , o widzi pan, widać

już zalążki orzeszków.

- Gdy dojrzeją są one bardzo smaczne i przypominają swym smakiem - migdały.-~~[illegible]~~ niestety zdołałem zaledwie - w kilku miejscach wykryc tę dziwną roślinę- rzekła pani Stefanowa.

Nazajutrz wczesnym rankiem pożegnałem zacnych Państwo Stefanów i ruszyłem z powrotem do Borysowa, powtarzając bezwiednie ustęp Wincentego Pola

Tam na Północ hen daleko
Szumią puszcze po nad rzeką
Tam kraj inny Lud odmienny
Kraj zapadły równy senny.

.........................

# PO DROGACH I BEZDROŻACH MOHYLEWSKICH

Korzystając z Zielonych Świątek , spędziłem parę miłych dni w Horodyszczu , w cichej pogodnej atmosferze ktorą promieniowało te stare gniazdo ziemiańskie. Przywiązałem się bardzo do rodziny mojej Żony. Im bliżej poznałem moją Teściową, tem bardziej ceniłem jej szlachetny zdecydowany charakter. Doznałem od niej wiele serca zarówno od mojej szwagierki Maryni, którą pokochałem jak Siostrę.

Nie wstydzę się przyznać że Żona moja miała na mnie wielki wpływ a swoją dobrocią taktem i zrównoważeniem potrafiła wpłynąć na zmianę mego nieco porywczego a nieco nieobliczalnego charakteru.
Pomawiano mnie żem wsiąkł w " Wankowiczów ". Było w tem nieco prawdy Zwykle w dobranych a kochających się małżeństwach przeważa wpływ kobiety i jej rodziny.
Po dawnemu odbywaliśmy co rano nasze spacery konne a po południu siadywalismy na werandzie w cieniu dzikiego wina, czytając na głos różne nowości literacki w języku polskim lub francuskim.

Niezapomniane są dla mnie te ciche upalne letnie dnie przerywane brzęczeniem pszczoł z kwitnących w pobliżu lip i rżeniem koni dochodzącym z cugowej stajni.
Niestety po paru dniach musiałem wracać z powrotem do Wilna. Zastałem tam list mego kolegi, przyjaciela i powietnika ks Konstantego Radziwiłła zapraszający mnię do Warszawy na jego ślub z panną Marją Hołyneską. Byłem obżałowany żę nie mogłem skorzystac z tego zaproszenia. Nadeszła pora urlopów letnich musiałem zastąpić moich kolegow a w międzyczasie załatwic szereg spraw bankowych w dalekiej Mohylewszczyznie.

Po paru dniach pobytu w Wilnie znalazłem się znowu w wagonie kolei Libawo Romenskiej.

Rano stanąłem w Żłobinie aby przesiąść na kolej prowadzącą na Rohaczew w stronę Witebska.

Nie pamiętam wiele już razy w ż życiu zmuszony byłem przesiadywać godzinami w Żłobinie czekając na pociąg. Żłobin było to dość liche miasteczko położone w powiecie Rohaczewskim, ongiś własność Chodkiewiczów. Po dawnej świetności pozostała jeno kapliczka katolicka gdyż kościół zabrano na cerkiew.

Z Rohaczewa miałem przed sobą daleką podróż końmi około stu dwudzie stu wiorst do majątku pana Hołyńskiego położonego na pograniczu powiatów Klimowickiego i Czerykowskiego.

Z kolei pośpieszyłem prosto na pocztę konną, aby zamówić rozstajne konie i wsunąłem w rękę właściciela poczty kilka rubli ~~[illegible]~~ co mi zapewniło podróż bez przeszkód i czekania na konie. Korzystając z półgodziny czasu przeszedłem się przez miasto położone malowniczo na wysokim brzegu Dniepru.

Rohaczew był niegdyś stolicą książąt Pińskich. Ostatni z książąt Pińskich z żoną Heleną zrzekli się w r 1509 Rohaczewa w razie ich bezpotomności na korzyść królów Polskich . Po ich bezpotomnej śmierci Rohaczew przeszedł do korony Polskiej.

Wróciwszy zastałem już bryczkę pocztową oczekującą przed stacją kolejową. Tragarz / czytaj " Nosilszczyk / umieścił moje bagaże. Siadłem na dość twardym i mało wygodnym siedzeniu i przeprowadzani życzeniami nosilszczyka i żandarma kolejowego " sczastliwago puti," ruszyliśmy w drogę trzesąc się niemiłosiernie po kocich łbach ulic rohaczewskich, ~~[illegible]~~ wyjechaliśmy wreszcie na trakt prowadzący na Smoleńsk ku Moskwie. Był to szeroki na pół wiorsty trakt obsadzony z dwuch stron stuletniemi brzozami, Jeden z tych traktów przeprowadzonych

po pierwszych rozbiorach Polski przez ulubieńca carowej Katarzyny wszechwładnego Poitiemkina, który został w swoim czasie obdarzony przez carową olbrzymiemi włościami w ziemi mohylewskiej.
Te "Jekaterininskije Bolszaki" / trakty Katarzyny / przecinały ziemię mohylewską w kilku kierunkach . Jakoś w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia przeprowadzono wzdłuż traktu wiodącego na Smoleńsk i Moskwę szosę . Zazwyczaj szosą tą ciągnęły ciężarne wozy gdyż wrzyscy woleli używać d[illegible] dawnego traktu niż trząść się po twardej nawierzchni zdzierać koniom podkowy i obręcze od kół.
Moj woznica zaraz za miastem skręcił z szosy na trakt . Odetchnąłem z ulgą.
Dzien był upalny bezwietrzny. Niebo błękitne bez żadnego obłoku zapowiadało pogodę . Przedemną rozścielała się falista równina mohylewska pocięta ciągnącemi się gdzieś w dal pasami g[illegible] pól, wioskowych barwnemi pozłotą dojrzewających zbóż, białemi plamami hreczki i ciemną zielenią ziemniaków, podobna do olbrzymiego pasiaka litewskiego ginącego aż hen na widnokręgu.
Letnia leniwa cisza przerywana jedynie monotonnym usypiającym głosem dzwonka pocztowego i parskaniem koni wisiała w powietrzu.
Jechaliśmy w obłoku kurzu, tego upalnego kurzu , który włazi w oczy, , nos, uszy pokrywając wrzystko grubą szarą warstwą , kurzu od którego niema ratunku a który wciska się wszędzie. Naciągnąłem jak mogłem na głowę kaptur od pudermantla i anim się spostrzegł jak zdrzemnąłem. Rozbudził mnie głos jamszczyka / woźnicy /
- Barin - zawołał zwracając się do mnie i pokazując przed siebie ręką - tak wot i Gadyłowicze .
Z pagórka ujrzałem leżącą przed nami wieś i zielone cebule cerkiewne.
Była to pierwsza stacja pocztowa na której zmianiano konie.
Pożegnałem mego jamszczyka wcinąwszy mu w garść parę rubli i przesiadłem do innej bryczki.

zmieniając konie w Dowsku, Rekszi i jeszcze jakiejś stacji której nazwy nie pamiętam dojechałem przed zachodem słońca do Propojska miasteczka położonego na rzece Soża, lewym dopływem Dniepru w dawnym województwie mścisławskim.

Do roku 1772 Propojsk był starostwem. Po pierwszym rozbiorze odszedł do Moskwy. Olbrzymie dobra propojskie dostały się Potiemkinowi. Następnie przeszły na własność znanej w Mohylewszczyźnie magnackiej rodziny Hołyńskich. Po 1863 roku zostały skonfiskowane i darowane jakiemuś generałowi rosyjskiemu, którego nazwiska nie pamiętem, a jedynie imię a to w związku z pamięcią, którą pozostawił po sobie wśród mieszkańców Propojska a ubraną w formie wiersza.

I nie Dymirji ty Donskoj
I nie Dymitrji samozwaniec
A Dymitrji, ty propojskoj
Pijanica ty iz pijanic.

To był jedyny dorobek kulturalny, którym ów generał Dymitr wsławił się w mohylewszczyźnie.

Byłem już porządnie zmęczony i zgłodniały. Oto od 9 godzin trzęsłem się na bryczkach pocztowych bez resorów i od rana nie miałem nic w ustach.

Stanęłem przed jedynym w Propojsku żydowskim zajazdem. W oczekiwaniu posiłku przeszedłem się trochę po miasteczku, aby rozgiąć kości i sprawdzić czy nie ma czegoś wartego zanotowania lub sfotografowania. Oprócz drewnianych domów żydowskich, murowanej cerkwi i murowanego traktjeru w którym się zatrzymałem nie było tam nic godnego uwagi. Natomiast z wysokiego brzegu na którem leżało miasteczko ujrzałem piękną panoramę doliny w której wśród niezmierzonych zielonych łęgów w blaskach zachodzącego słońca płynęła Soż.

Wróciwszy do traktjerni zasiadłem za misę jajecznicy i kurę pieczoną wychyliwszy kilka dobrych kieliszko jarzębinówki.

W tych czasch w Rosji w każdym porządniejszym zajeździe można było

dostać doskonałe krymskie wino tak zwane " Udielnoje wino " wyrabiane w krymskich winnicach należących do apanażów cesarskich.
Butelka takiego wina białego lub czerwonego kosztowała 75 kopiejek-można było sobie na to pozwolić. Oczywiście, że wysuszyłem jedną butelkę co mnie rozjaśniło nieco horyzont myślowy.
Rozpytałem się gadatliwego właściciela zajazdu o okolicznych właścicielach ziemskich i o nowinach propojskich.
" My tu propojskie sfery kulturalne, oczekujem nowego obywatela bo
" panna Hołyńska wychodzi zamąż za samego kniazia Radziwiłła , pewnie
" kniaź Radziwiłł obejmie po niej majątek .
" Kilka dni temu nazad my z aptekarzem wysłali telegram do Warszawy
" z pozdrawlenjem .
" A piękny to majątek panny Hołyńskiej spytałem .
" Prosze pana to jedinstwienna docz " jedynaczka " a majątek , to nie
" majątek to sam cymes , a żeby pan widział jakie tam lasy i ługa - tu t cmoknął w usta.
Spojrzałem na zegarek. Była już 7 wieczór. Miałem wielką ~~ochotę~~ pokusę pozostania na noc w Propojsku, tem bardziej, że gospodarz zajazdu zręczył mnie, że ma bardzo piękny pokój bez kłopów / pluskiew / i że w tym pokoju dwa lata temu nocował sam gubernator.
Zdobyłem się jednak na wysiłek i postanowiłem przełamać zmęczenie i kontynuować moją podróż. Zresztą podróż o chłodku wieczornym była z pewnością mniej męcząca niż tłuczenie się po upale.
Kazałem zajechać koniom pocztowym i ruszyłem w dalszą drogę do ~~[illegible]~~ Czerykowa, skąd miałem jeszcze kilkanaście wiorst drogi do Wielkiej Dubrawy , majątku ~~[illegible]~~ położonego gdzieś w górę rzeki Soż, a należącego do pana Hołyńskiego.
Wieczór był ~~[illegible]~~ cichy , obfita rosa i mgły ciągnące się nisko nad łąkami i rzeką zwiastowały na jutro dzień pogodny. Anim się obejrzał jak przejechałem 40 wiorst dzielących Czeryków od Propojska.

Słońce już dawno zaszło, gdym zajechał przed pocztę w Czerykowie. Czeryków była to mieścina powiatowa położona na prawym wyniosłym brzegu rzeki Soż . Została ona założone i obdarowane przywilejami za panowania króla Zygmunta 3-go. Miejsce to jest pamiętne bitwą stoczoną przez Karola XII z wojskiem moskiewskim broniącym przeprawy przez rzekę. Moskale nie dopuścili do przeprawy wojsk szwedzkich i zmusiły do odwrotu.

Był tu kościół katolicki założony w połowie 17 wieku.

Zmieniwszy konie zjechałem z głównego traktu w dolinę rzeki i zanurzyłem się w mgły. Była pełnia , jasno było jak w dzień. W promieniach księżyca rysowały się gdzieś w górze białe mury fary czerykowskiej. Powietrze aż drgało od krzyku tysięcy derkaczy

Przeprawiliśmy się promem na przeciwległy brzeg rzeki i po kilku wiorstach wydostaliśmy się z mgły na wyżynę i wjechaliśmy na szeroki trakt prowadzący w stronę Dubrawy.

Było już po północy, gdyśmy wjechali w szeroką aleję obsadzaną brzozami i stanęli przed zajazdem długiego jednopiątrowego drewnianego dworu. Księżyc był wysoko oświecając wierzchołki i konary otaczających dwór drzew, kładąc długie cienie na dachy i podworze.

Dom spał. Opadła nas z głośnym ujadaniem gromada psów. Usłyszeliśmy gwizdek stróża nocnego , w oknach zabłysło światło. Służący ubrany w kurtkę liberyjną zabrał moje rzeczy . Niestety nie zastałem pana Hołyńskiego w domu, bawił wówczas w Karlsbadzie . Służący oświadczył mnie że administracja otrzymała mój telegram dnia poprzedniego i z godziny na godzinę wyczekiwała mego przyjazdu.

Byłem tak zmęczony że podziękowałem na przygotowaną dla mnie kolację, prosiłem tylko o szklankę herbaty, marząc aby co najprędzej móc wyciągnąć się w łóżku. Nie pamiętam jakem się dostał do mego pokoju , jakem się rozebrał o dostał się do łóżka. Odrazu straciłem świadomość ,

zdawało mi się że lecę w jakąc przepaść i zasnęłem.

Słońce już było wysoko na niebie, gdy dnia następnego obudziło mnie wreszcie głośne kołatanie do drzwi . Wszedł służący ze śniadaniem i kawą poranną.

Spojrzałem na zegarek było już dobrze po dziewiątej.

- My już myśleli że pan zaniemogł - rzekł- jak pan wczoraj przykazał - rozbudzić pana o 8 rano tak ja już godzinę stukam, ale żadnego otwie- - ta nie ma. Pan administrator czeka na JP. w kancelarji.

Otworzyłem na rozcież okna do pokoju, buchnęła fala ciepłego pachnącego lewkonją i heljotropem powietrza. Ubrałem się prędko i udałem się za służącym do kancelarji.

Przeprosiwszy administratora za moje spóźnienie , przedstawiłem mu dokumenta bankowe i plany i omówiłem z nim program dnia. Była tu sprawa serwitutowa którą mogłbym załatwić jednego dnia, gdyby nie oświadczenie administratora, że pan Hołyński prosił mnie bym oszacował całość dóbr. Nie chodziło tu o zaciągnięcie pożyczki, gdyż p. Hołyński należał do liczby najzamożniejszych ziemian mohylewszczyzny ale o określenie wartości jego majątku.

Sprawa ta zajęła mnie prawie trzy dni.

Dobra zajmowały około 10.000 dziesięcin / hektarów / w tem około 1000 dziesięcin nadrzecznych łąk . Gospodarstwo było prowadzono, choć po staro świecku ale wzorowo , inwentarz był dobrze utrzymany , była tam gorzelnia tartak. Piękne sosnowe lasy zajmowały około 4.000 dziesięcin.

Zwróciłem uwagę na długie niskie oszklone budynki zapewne cieplarnie. Widziałem podobne budynki pod Erfurtem w Niemczech , ale nie mieściło mi się w głowie zobaczyć coś podobnego w jednym z najgłuchszych zakątkow mohylewszczyzny oddalonej o setkę wiorst od najbliższej stacji kolejowej.

- Co to za szklarnie -? spytałem administratora.

- To są ananasarnie - odpowiedział

- Co takiego ?. spytałem ponownie ,- nie wierząc własnym uszom.
- Niech się pan nie dziwi - rzekł administrator - wygląda to na bajkę
- ale hodowla ananasów to nasze poważne źródło dochodu.
- Opał w tych odległych stronach nie ma wartości, za sążen metryczny
- opału możemy w najlepszym wypadku uzyskać 20 kopiejek. Zamiast
- żeby zaśmiecać las gnijącemi zwałami drzewa i gałęzi, które jak pan
- wie są schroniskiem dla „korojedów" i wszelkich pasożytów leśnych,
- zużytkowujemy ten gnijący materjał do opalania naszych szklarni.
- To się nam dobrze kalkuluje. Mamy stały zbyt w Petersburgu
- Moskwie, Kijowie, Rydze a nawet w Warszawie. Ceny są raczej wysokie
- a transport nie uciążliwy .
- Prawie wrzystkie ananasy które pan widzi w pierwszorzędnych sklepach
- gastronomicznych Petersburga , Moskwy i innych większych miast pocho-
- dzą z mohylewszczyzny, głównie z powiatów Czerykowskiego,
- klimowickiego i Mścisławskiego wreszcie Czausowskiego jako naj-
- bardziej oddalonych od kolei. Mamy tu pierwszorzędne hodowle i pier-
- wszorzędnych specjalistów, przeważnie sprowadzonych z niemiec.
- A czy ananasy afrykańskie i amerykańskie nie robią panom konkurencji ?
- Nigdy w świecie - rzekła administrator, ananasy improtowane niegdy nie
- posiadają takiego aromatu jak wyprodukowane u nas i są mnie soczy-
- ste. Zapewnie wpływa na to transport morzem.
- Mamy tak uregulowaną hodowlę, że możemy dostarczać świeże a
- ananasy w ciągu całego prawie roku.

Obejrzałem z zaciekawieniem długi szereg szklarń. W jednych rosły świeżo zaflancowane z odrostków ananasy, w innych były już w kwiecie , wreszcie były takie w których złociły się już dojrzewające a ananasy, które za kilka dni miały być odesłane do Petersburga.

- Mamy pierwszorzędną klijentelę - rzekł administrator a więc w Peter-
- burgu firmy Kuzniecowa, Brci Jelisiejew , Gourmet i innych.

Opuściłem szklarnie zupełnie oszłomiony tym jedynym w swoim rodzaju widokiem ,zaiste człowiek uczy się przez całe życie.

Przez tę parę dni pobytu w Dubrawie cały czas wolny od taksacji spędzałem w pięknej bilbjotece, podziwiając pokaźny księgozbior w którym zauważyłem kilka białych kruków.

Jadałem sam w wielkiej sali jadalnej w obecności starego sympatycznego służącego, który bardzo się kłopotał czy mam wrzystkiego podostatkiem i zabawiał mnie opowiadaniem o okolicy i nielicznych sąsiadach. Raz wraz zaglądała panna Elżbieta ochmistrzyni, starsza siwa już osoba o miłej twarzy pytając czy czego nie potrzebuje , jakie mam gusta , co chciałbym miec na obiad i kolację.

Panna Elżbieta prowadziła ten dom kawalerski, żelazną ręką a porzędek był wzorowy a kuchnia nadzwyczajna. Nie potrzebuję nadmieniać że parę razy poczęstowano mnie kompotem z [illegible] ananasów .

Korzystałem z każdej wolnej chwili aby porobić notatki w moim podróżnym djarjuszu o historji dworu o stosunkach miejscowych i naszkicować kilka pięknych mebli i porobic zdjęcia fotograficzne.

[illegible] Czwartego dnia , wczesnym rankiem odwiozła mnie czwórka ładnie dobranych gniadych cugantów do Czerykowa.

Wynająłem konie pocztowe i po sześciu godzinach drogi dojechałem do Mścisławia, miasta powiatowego gub Mohylewskiej.

Zbliżała się pora żniw, tu i owdzie po polach widać już było żniwiarzy ścinających pierwsze snopy żyta. Lud tu piękny, dorodny , mówiący nieco odmienną białoruszczyzną z widoczną domieszką narzecza smoleńskiego.

Byłem zdziwiony że w Mscisławiu mogłem się wszędzie swobodnie rozmówic po polsku. Była tu Polska kawiarnia, polska apteka, [illegible] powiatowy był polakiem. wszędzie w sklepach miejscowe żydki mówiły lub przynajmniej rozumiały gdy się do nich przemówiło po polsku.

Zajechałem do jedynego utrzymywanego przez polaka hotelu. [illegible]

Ulokowano mnie w czystym, dobrze urządzonym pokoju. Gdym po opłukaniu z kurzu zeszedł na dół do sali jadalnej, a gdym po całodziennym poście zasiadł za dobrą, porcję kurcząt pieczonych z sałatą i kopiasty talerz truskawek odzyskałem animusz i chęć do rozmowy. Przy filiżance dobrej czarnej kawy i cygarze rozgadałem się z uprzejmym właścicielem hotelu, rodem z Wilna o stosunkach miejscowych dowiedziałem się, że w powiecie mścisławskim jest kilkanaście majątków należących do polaków i sporo drobnej szlachty t. zw " panernych bojarow " uważających się za polaków choć w większości wypadków nie mówiących już po polsku.

Mścisław leży nad rzeką Wiedrą . Gród to starożytny. założony w r 1180 przez Romana księcia Smoleńskiego. Światosław w zmowie z krzyżakami w r. 1306 obległ Mscisław należący wówczas do Litwy. Miasta bronił Świdrygiełło zanim z odsieczą nie przybyli Skirgajłło Korybut i Symon Lingwenis synowie Olgierda i Witowta. Światosław został zabity a synowie jego Hleb i Jerzy wzięci do niewoli. Mścisławem rządzili wówczas książęta mscisławscy z domu Gedymina. W r. 1440 rządził tu Jerzy Lingwieniewicz. W r. 1463 Iwan Jurjewicz a ostatnim z książąt Mścisławskich był Michał Iwanowicz panujący tu do r. 1540.

Michał poddał miasto wojskom moskiewskim ale po bitwie pod Orszą Mścisław wrócił z powrotem do Rzeczypospolitej. Wdowa po Michale - Wasilisa po śmierci męża rządziła jeszcze przez czas jakiś Mścisławiem i pisała się - Wasilisa księżna Mscisławska z Bożej Łaski i zezwolenia hospodara naszego wielkiego króla Zygmunta -.

Od roku 1538 nie było już księcia a miastem rządził starosta, wreszcie w roku 1569 sejm uchwalił utworzenie województwa mścisławskiego.

Za Jana Kazimierza zamek mścisławski popadł w ruinę. W r. 1676 sejm potwierdził zamiar Jana Ogińskiego wojewody i starosty mścisławskiego naprawienia twierdzy Za Rzeczypospolitej były tu sądy grodzkie.

Najstarszą ze świątyń była cerkiew Św. Trójcy . Cerkiew Spasa istniała tu w roku 1519, ale za czasów Króla Michała zwała się kosciołem

bazylijańskim. Parafjalny kościół katolicki wzniósł " Bogu Zwycięzcy " Piotr Pac starosta mścisławski w roku 1626.

Karmelici osiedli tu w r. 1638. Zakon Dominikanów fundował tu Włodzimierz Dadzibog- Kamieński pokomorzy mścisławski.

Jan Hurko chorąży litewski sprowadził tu bernardynow.

Ojcowie Jezuici mieli tu szkoły, które przetrwały do r. 1772.

Po pierwszym rozbiorze Mścisław odszedł do Rosji.

Tyle o Mścisławiu.

Mając do załatwienia [illegible] sprawę w majątku należącym do pana Samucewicza spytałem mego gospodarza czy nie słyszał coś o tym majątku. Wyjaśnił mnie, że majątek ten leży w odległości około 12 wiorst od Mścisławia, że właściciel jest doktorem medycyny i stale zamieszkuje w Petersburgu i spędza w majątku jedynie letnie wakacje. majątek zaś jest w dzierżawie i dzierżawcą jest polak. Tegoż wieczora gospodarz pchnął umyślnego do pana Samucewicza z wiadomością że nazajutrz przed południem przybędę do majątku.

Wynająwszy konie pocztowe, dnia następnego stanąłem przed drewnianą daczą o typowej architekturze podmiejskich wil / dacz / petersburskich

Dom ten z równym powodzeniem mógł się znajdować w jakimś Pargołowie, Siwierskoj, Terjokach lub innych letniskach podpetersburskich.

Trafiłem jak Piłat w Credo w typowe środowisko daczników / letników/

Dom roił się od młodzieży, studentów, gimnazistów i podlotków. Panowała tu w pełnym tego słowa znaczenie " daczna atmosfera " a więc bose nogi, sandały , otwarte koszule, przezroczyste perkaliki . jednym słowem " nieprinużdiennaja dacznaja atmosfera " mówiąc po polsku .

Dom był nieumeblowany, a raczej obstawiony różnym sprzętem letniskowym , leżakami, drewnianemi stołkami , zasłanemi lub niezasłanemi [illegible] z rozrzuconą po nocy pościelą łóżkami. których po kilka stało w każdym pokoju. Ściany domu były zheblowane, ale nie tynkowane co im dodawało swoiestego uroku. Zapoznałem się z Dr Samucewiczem , wesołym sympatycznym panem . [illegible] Zajmował on stanowisko naczelnego lekarza przy seminarjum rzymsko katolickim i akademji duchownej w Petersburgu oraz był lekarzem domowym ks Metropolity [illegible] Cieplaka.

Znał dobrze mego Ojca który między innemi był Syndykiem Kościoła Św Katarzyny w Petersburgu

Będąc od dzieciństwa przyzwyczajony do ziemiańskiego trybu życia i pewnego rygoru towarzyskiego cechującego dwory ziemiańskie na Litwie, byłem początkowo oszełomiony znalazłszy się w beztroskim ale skądinąd miłym i naturalnym letniskowym otoczeniu.

Wśród letników bawił tam czasowo jakiś oficer kirasjerów gwardji, krewny doktora Samucewicza. Niestety nazwisko wyszło mi z pamięci. Majątek był spory obejmujący około półtora tysiąca dziesięcin, ale dość zapuszczony jeżeli chodzi o gospodarkę. Las nieco przetrzebiony Prosiłem właściciela aby mnie zapoznał z dzierżawcą, bo chciałbym objechać majątek skonstatować stan gospodarstwa. Mój szanowny gospodarz miał bowiem takie wyobrażenie o gospodrstwie rolnym, co ślepy o kolorach.

Chciałem do wieczora zakończyć roboty i w tym celu zatrzymałem konie pocztowe. Dom był szczelnie zapełniony a ja nie miałem ochoty robić swoją osobą ambarasu. Dzierżawca był rodem z mińszczyzny i od paru dziesiątków lat dzierżawił majątek doktora Samucewicza.
Był to gospodarz starej daty, trzymał się archaicznej trzypólówki używając ściernisk za pastwisko, wywożąc nawóz pod oziminy i td

Około południa byłem zaproszony przez dzierżawcę na obiad do oficyny w której mieszkał z żoną rodem z powiatu Oszmiańskiego.
- Niech pan nie pogardzi naszym obiadem / który okazał się bardzo dobry/ - Bo to widzi pan te daczniki, to nigdy niewiadomo, raz jedzą - obiad w południe, drugi raz pod wieczór jak im kiedy ochota przyjdzie- tak ja uprzedziłem pana doktora, że pan będzie u nas na obiedzie

Wróciwszy po objeździe majątku prosiłem p. Samucewicza aby mi udzielił kilku informacji, zresztą zrobiłem to przez grzeczność, gdyż w gruncie rzeczy wszystko wyjaśnił mi p. Dzierżawca - typowy, poczciwy starej daty szlachcic miński.

Przy podwieczorku na który mnie zaproszono panowała wesołość, było

gwarno od młodych głosow.

Całe to beztroskie towarzystwo używało spacerów, zajeżdżało konie dzierżawcy, strzelało na chybił trafił do wrzystkiego co miało pióra, bawiło się grą w krokiet lub w cerceau , zbierało jagody grzyby .

Apetyty były wilcze Na stole stały wielkie dzbany z mlekiem , bochny chleba ogórki, miód, Wrzystko nikło jak kamfora. Ogólna wesołość udzieliła się i mnie, chociaż obecność obcego mroziła trochę nieprzymuszony nastrój panujący przy stole.

Pożegnawszy gospodarzy i całe młode towarzystwo znalazłem się wreszcie sam na bryczce wsród ciszy letniego wieczora.

Wzdychałem już coprawda aby zakonczyć moje mohylewskie peregrynacje i wrócic do Wilna. Oto już od wielu dni tłukłem sip po drogach i bezdrożach naprożno wyczekując napotkania po drodze interesujących krajobrazow, zabytków lub ludzi. Drogi moje prowadziły wciąż po przez dość monotonne a często bezleśne [redacted] płaskowzgorza lub doliny dopływow dnieprowych. Jak że malownicza była nasza Żmudz i górna Litwa w porownaniu do Mohylewszczyzny.

Tym rązem droga wiodła mnie znowu znajomym traktem z powrotem na Czeryków , Propojsk , Dowsk do majątku państwa Kuczewskich położonego nad rzeką Soż, gdzieś niedaleko od Czeczerska.

Przenocowawszy w znajomym zajezdzie w Propojsku wczesnym rankiem siadłem do bryczki pocztowej i ruszyłem na Dowsk. Zmieniwszy tam konie skręciłem ku południowi na trakt prowadzący do Czeczerska.

Żniwa już się rozpoczęły na dobre, wsie się wyludniły , zaludniło po polach od żeńców, od czerwonych nawiązek kobiet i białych koszul chłopskich, migały sierpy lub kosy a zewsząd dochodziła smętna nuta piesni białoruskich. Pod wieczor ujrzałem zdaleka bielejące mury i wieże fary katolickiej w Czeczersku, która jakoś wyjątkowo uniknęła zagłady

Starożytna ta osada o której wspominają dawne kroniki pamiętna jest spotkaniem w r 1168 W. księcia kijowskiego Roscisława w drodze na podboj Nowgorodu z księciem Olegiem Światosławowiczem.

W Czeczersku zmieniłem konie. Na zachód słonca zajechałem przed rozłożyste drewniane dworzysko oparte o ciemną ścianę zieleni . Spotkali mnie gospodarze. Było to młode miłe małżenstwo. W ich gościnnym domu spędziełm parę dni na rozmowach z chłopami okolicznych wsi a poniekąd pośrednicząc między nimi a panem Kurczewskim w sprawie likwidacji uciążliwych serwitutów.. Była to trudna i zgoła nieprzyjemna misja, którą z pomocą Boską zakończyłem pomyślnie ku radości pana Kuczewskiego. Byłem przyjemnie zdziwiony znalazłszy piękne a racjonalnie urządzone i administrowane gospodarstwo, gorzelnię, piękne lasy w których sporo było wartościowych dębow i kilkaset dziesięcin pierwszorzędnych zalewnych łąk nad rzeką Soż.

Z radością myslałem o powrocie do Wilna i należnym mi wypoczynku gdy jak piorun z jasnego nieba spadła na mnie telegram, wysłany przez dyrekcję banku abym będąc w Mohylewszczyznie skontrolował stan nieruchomości w miescie Bychowie objętych pożyczką bankową.

Zamiast więc upragnionego powrotu do Wilna, musiałem znowu cofnąc się z powrotem na Dowsk do Bychowa. a więc znowu miałem przed sobą do zrobienia około 90 wiorst końmi.

Pan Kuczewski odwiózł mnie do Czeczerska, gdzie wynająłem konie pocztowe i dopiero po zachodzie bryczka moja wtoczyła się na kocie łby ulic miasta. Zatrzymałem się w tak zwanym przez miejscowych ziemian " bychowskim ugle " / bychowskim węgle / ~~czyli oficjalnie~~ noszącym oficjalną nazwę " Dworianskoj Gostinnicy " / hotelu dworzanskiego.

Po kolacji udałem się do swego numeru z zamiarem położenia się do łożka i przespania kilku godzin , poprostu marzyłem o śnie.

Niestety o śnie nie było mowy , bowiem gdzieś z korytarza dochodziły mnie niesamowite hałasy, śpiewy, brzęk szkła i głośne rozmowy.

Zadzwoniłem na służącego.

Co to za hałasy ? - spytałem

- To pomieszczyki tam buszujo - odrzekł służący
- Obywatele tutejsi ? - spytałem
- Nie to nie nasze panowie to ruskie pomieszczyki , panowie to oni nigdy tak nie hałasujo , u nich zabawa polityczna a nie mmmmmmmmm mużycka.-

Nie podejrzewając żadnego niebezpieczeństwa, wyszedłem na korytarz Raptownie zatrzymałem się jak by rażony piorunem. Oto przedemną stanął nie kto inny tylko dobrze znajomy / patrz 3-ci tom moich wspomnien/ Joasaf Iljicz Chruszczow.

Zobaczywszy mnie wybałuszył oczy, następnie objął rękami i wycałował z dubeltowki.

- Michaił Borysowicz - dorogoj - wy zdieś kakimi sudbami / Jakimh - losow koleją pan tu się znalazł.

Anim się spostrzegł gdy byłem wciągnięty do " Kabinetu " gdzmmmmmm Siedziała tam spora " czestnaja" kompanja już dobrze pdchmielona.

- Gospoda "- zawołał Chruszczow - w naszem gradie znalazł się mój - przyjaciel - Michaił Borysowicz Jałowieckij , deputat szlachty i czynownik do specjalnych zleceń przy samym ministrze. ... Ura '.
- Ura".zawołali obecni .
- Człowiek szampanskago - zawołał Chruszczow . Wypjem zdorowje - dorogo gostia "
- Po wypiciu mego zdrowia piłem zdrowie Chruszczowa, następnie wznie- - siono toast w cześć szlachty swięcianskiej , potem piliśmy zdrowie - szlachty mohylewskiej a wreszcie wrzystkich pomieszczyków w pań- - stwie. rosyjskim.

Nolens volens musiałem przesiedziec w tym towarzystwie parę godzin aby nie narazic się na jakiś " skandał " wychylić nie wiem wiele " bokałow szmapanskago " wysłuchac pieśni cyganskich śpiewanych przez miejscowych żydkow bychowskich . Obecny sprawnik powiatu Bycho

wskiego okazywał mnie szczegulną uprzejmość i co chwila proponował moje zdrowie wreszcie podziękował mnie, że nie [illegible] wniosłem na niego skargi za nieporozumienie spowodowane pożarem wsi Białoruczje / patrz tom 3- ci pamiętników / zesz łego roku.

Napoł przytomny ze zmęczenia i po wypiciu tylu kieliszków [illegible] po paru godzinach wydarłem się z gościnnych szpon Chruszczowa.

Nazajutrz wylałem na swoją głowę kubel zimnej wody i po śniadaniu zabrawszy jako cicerona p. Szmula, faktora hotelowego, wyszedłem na miasto, aby obejrzeć nieruchomości składające się z kilku murowanych domów, zaszedłem do jedynego Kościoła, gdzie znalazłem parę nagrobków z początkow 18 wieku po za tem Bychow nie posiadał żadnych pamiątek które by się zachowały.

Bychów był nadany przez króla Zygmunta Augusta Janowi Hieronimowi Chodkiewiczowi, skąd Chodkiewicze pisali się hrabiami na Starym Bychowie Jan Karol Chodkiewicz zbudował tu twierdzę. Od Chodkiewiczów Bychów przeszedł do Sapiehów. W r. 1648 kozacy oblegli miasto , ale zmuszeni byli odstępić od murow Bychowa z powodu bohaterskiej obrony prowadzonej pod dowodztwem Sosnowskiego - podstolego wileńskiego.

Po obiedzie trafiłem na pociąg idący do Żłobina gdzie przesiadłem na kolej Libawo Romaską i dawszy w łapę konduktora parę rubli, zasnąłem twardo ledwo mnie dobudzono w Wilnie [illegible] następnego poranka.

W zaswiatach litewskich

Lipiec 1912 roku musiałem po raz pierwszy w życiu spędzić w mieście Nieobecność wakacyjna moich kolegów z Komisji szacunkowej przykuła mnie do biurka. Na soboty i niedziele wyjeżdżałem jednak do Horodyszcza lub Syłgudyszek.

Wilno było jednak tym wyjątkowym miastem, w którym nie było widocznego rozgraniczenia między wsią a miastem żyło ono trybem półwiejskim. Wilno było syntezą wrzystkich dawnych dzielnic W.X.L. coś nakształ zbiornika do którego nieustającym korytem wlewała się struga czegoś ożywczego, płynącego z pól lasów i łęgow wsi litewskiej i białoruskiej.

Starałem się jak najmniej przesiadywać w mieszkaniu, które z powodu nieobecności mojej rodziny było dla mnie nieprzyjemnie puste. Wczesnym rankiem wyjeżdżałem konno gdzieś po za miasto i po śniadaniu byłem już na godzinę 9 rano w banku, gdzie zajęcia trzymały mnie aż do 4 popołudniu.

Wieczory spędzałem zazwyczaj w naszym klubie szlacheckim, grając w tenisa, lub słuchając koncertów w ogrodzie berdnardyńskim.

Nadchodził wreszcie i mój urlop, który postanowiliśmy z Julą spędzić w Kukuciszkach. Spotkałem ją na stacji w Wilnie, skąd z całą służbą, nianką Andrzeja i rodziną pojechaliśmy prosto do Kukuciszek. Częsc służby ze służącym oczekiwała już nas w Kukuciszkach.

Na stacji Nowoświęciany przesiedliśmy się do naszego osobistego wagonu dyrektorskiego i po południu byliśmy już na miejscu. Znaleźliśmy już wrzystko przygotowane na nasz przyjazd, a moja droga Matka przyjechała z Syłgudyszek aby dopilnować czy wrzystko jest w porządku i spotkać nas w naszym nowym domu.

Tak się od dzieciństwa zrosłem z dworem syłgudyskim, że poczułem nie swojo gdym zamieszkał w odległym o 9 wiorst naszym drugim majątku, do tego uczucia dołączyło się pewne zakłopotanie, żem oto nie trzymał bezpośrednio ręki na gospodarstwie, przyzwyczaiłem się przez lat kilka do " rządcowania " i będąc na wsi siłą rzeczy zrywałem się o 6 rano, aby siąść na konia lub na linijkę i wyjechać w pole.

Musiałem za każdym razem przypominać sobie, że nie ja ale rządca prowadzi gospodarstwo, a nieraz łowiłem siebie na uczucia pewnej zawodowej zazdrości że komenda nie jest w moich rękach, a ja jestem na wakacjach.

Co prawda wakacje te były dość problematyczne, bo musiałem przez ten miesiąc opracować nowe normy taksacyjne dla naszego banku i pisać o materjały do Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i Ziemstwa Poznańskiego o różne dane. Muszę przyznać że obie te Instytucje znacznie mnie ułatwiły moją pracę.

Wykorzystałem też mój pobyt wolny od zajęć gospodarskich, aby trochę przyjżeć się okolicy w której wyrosłem i zbyt dobrze znałem, aby ją poznać z innej strony. Znałem coprawda świetnie przyrodę naszego kraju język litewski i zwyczaje naszego ludu, ale nigdy nie zastanawiałem się nad głębiej nad przeszłością historyczną tego dziwnego kraju.

Najczęściej o własnym kraju wiedzą najmniej ci, którzy się tam urodzili i spędzili lata dzieciństwa. Człowiek który się urodził w Rzymie i spoufalił z zabytkami a od dziecka spacerował po Forum Romanum lub przechodził z książkami pod pachą do szkoły obok Coliseum inaczej zapewne reaguje na widok tych pamiątek, niż przyjezdny. Przyznam się że dopiero wędrówki po świecie, książki przeczytane i odwiedziny ludzi takich jak prof. Aleksander Brueckner lub niektórych członków towarzystw krajoznawczego lub archeologicznego otworzyły mi oczy na te ukryte skarby puszczańskiego zamkniętego w sobie kraju, w

którym wyrosłem.

Zaczęłem patrzec innemi oczyma niż wówczas gdym z wyżłem a strzelbą na ramieniu wałęsał się jako młodzieniec po mszarach i ostępach puszczy łabonarskiej lub przemierzał znajome drogi z myślą zajętą gospodarstwem , oborą, sianokosem , orką i różnemi innemi problematami dnia powszedniego rolnika.

Przez ten miesiąc wakacji w dworze kukuciskim, który z szacunkiem dla starych ścian umeblowalismy antykami , a sciany zawiesili staremi sztychami zaczęłem się głębiej zastanawiać nad tem, że w gruncie rzeczy mieszkam może w najmniej zbadanej a najbogatszej w pamiątki przeszłości zakątku Litwy.

Nikt się jakoś do tej pory nie zajął pamiątkami po dawnych kniaziach litewskich z rodu Mendoga.
Nieznane i nietknięte szpadle badacza wznosiły się sypane wzgórza na ktorych stał zamek Utenesa, księcia Uciańskiego w okolicy Ucian, lub ks Kukuwejtisa pod wsią Kukuciszki.

Nikomu nie przyszło do głowy, odkopać lub zbadać kurhany zalegające kilometrami kwadratowemi puszczę łabonarską.
Nikt nie odkrył rąbka tajemnicy otaczającej miasteczko Tauroginy ani zbadał legendy o zatopionym w jeziorze jakimś wielkim mieście, jak nie zbadał jakiemi drogami odkopywano na sypanym kopczysku wieńczącym góre Piłkalnis pod Tauroginami ozdoby i monety starogeckie

Znakomity badacz przeszłosci Litwy prof Aleksander Brueckner który spędził kiedys kilka tygodni w Syłgudyszkach , nie raz powtarzał że siedzimy na skarbach historycznych.
Będąc wolnym od zajęć gospodarskich korzystałem z czasu, aby [redacted] pokazac Juli nasze okolice. Robiliśmy wycieczki do puszczy łabonarskiej , nad jezioro Jesiaty, lub do naszego folwarku Pogołonia leżącego wsród lasów na wyniosłym brzegu jeziora Gołony i patrzeć na

niebieską toń jeziora i pokrytych zielenią wysepek , oglądać kurhany lub zwiedzać starożytne [illegible] usypisko na którym stał kiedyś drewniany zamaczek księcia Kukuwejtisa. Zbieraliśmy tam różne [illegible] zjedzone już przez rdzę [illegible] ostrza od dzid lub [illegible] [illegible] pokruszone miecze. Pełno tu było tych pamiątek, których nikt nie zbierał bo i po co - nie przydały by się to zerdzewiałe żelastwo ani na narogi do soch ani na gożdzie ani na podkowy.

Przywiozłem tego sporo do Wilna i oddałem do rąk pany Brensztejnowi. Mam wrażenie że z czasem znalazły się one w muzeum uniwersyteckim w Wilnie.

Jakoś w pierwszej połowie Sierpnia wybrałem się z wyżłem na pardwy do Mintowciszek , olbrzymich mszarów ciągnących się od puszczy łabonarskiej i brzegów jeziora Jesiaty aż pod same prawie Kukuciszki.

Zajechałem do naszego leśnika , starego Mintowta i wziąwszy z sobą jego syna Wincuka zanurzyłem się w mszary mintowciskie.

[illegible] Torba którą dżwigał mój towarzysz była już pełna młodych cietrzewi i pardwiuków , gdysmy z Wincukiem zabrnęli w jakiś odległą częsc rostu, żesmy stracili [illegible] kierunek.

Dopiero gdy Wincuk ujrzał wysoki pagórek porośnięty zielenią, sterczący nakształ wyspy z zielonawo brunatnej płaszczyzny mszarów zorjentował się że jesteśmy w dalekim końcu rosjtu zwanego Łapowarciem i że ten pagórek nosi nazwę Švintu Użełu Kałnas / Góra św. dębow.

- Od tylu lat chodzim po mintowciskich rojstach i nigdy z Wincukiem - my nie zaszli w ta strona - rzekłem

- Tak przepraszam panicza , nie bardzo ja ochotny chodzić w te miejsca - bo tu gadajo ludzie straszy , a tatuk tak swarzy sie kiedy chodzić. - na ten burwałek. Musić tu dawniej był ci cmentarz, ci jakaści inna - miejsca , a nasz proboszcz to bardzo nie lubi kiedy narod tam

- na Wsz. Św. w jesieni zbiera sie , kurzysko pali i pieśni spiewa
- koło kamienia, choc tatuk gadał, co dawnemi już laty proboszcz kukuci-
-siki był poświęciwszy ta miejsca, a naród postawił krzyż niedaleko
- od tego kamienia -.
- Pójdzim - rzekłem do Wincuka-chciałbym obejrzeć te miejsce)

Zauważyłem że moj Wincuk bardzo niechętnie przystał na moją propozycję
- Tu musić dawniej rośli wielkie dęby, bo pagórek gliniasty a dąb tak on na piasku nie bardzo rośnie.

Wdrapaliśmy się na pagorek porośnięty karłowatą dębiną i brzeziną.
Na szczycie pagórka obok napoły zmurszałego olbrzymiego pnia dębowego leżał wielki czworokątny ociosany zapewne ręką ludzką kamień,
Na płaszczyźnie kamienia ujrzałem wyciosane pośrodku okrągłe zagłębienie pełne popiołu i węgla. Obok stał stary zmurszały krzyż obwieszony wotywami.

Pełno węgla i żużli walało się na ziemi. Obeszłem dokoła kamień.
Wsród krzaków ujrzałem bielejące czaszki i kości ludzkie. Walało się tu sporo starego żelastwa , ostrza od dzid , toporki kamienne, zapewne było to miejsce bardzo starożytne, które przetrwało wśród mszarów parę okresów archeologicznych.

Schyliłem się aby podnieść jeden z leżących toporków.
Wincuk targnął mnie za rękę.
- Niechaj panicz nie rusza, bo nie daj Boże naprowadzi i na siebie i
- i na mnie jakaści nieszczęscia , albo naszczuje psów leśnych

/ tom 1 moich wspomnien " Psy lesne / z puszczy Łabonarskiej.

- A zkąd tu naród przychodzi ? - spytałem Wincuka
- A kto ich wie , music z Naprun , ci z Łabonar, a nawet z Kukuciszek
- my z tatukiem nie chodzim , bo my przysięgli "kazionni leśnicy"
- tak jak wrzyscy co w Syłgudyskiem leśnictwie u pana Generała służym
- tak nam nie podchodzi z narodem mieszać sie.

Znicze jeszcze nie wygałsy na Św. Litwie. .. pomyślałem sobie. Anim się nie obejrzał jak upłynęły moje wakacje. W międzyczasie musieliśmy odwiedzic nasze najbliższe sąsiedztwo a więc pMichała Kopańskiego ktory był ożeniony z moją ciotką Burowną z domu i po niej objął majątek Liliszki . Był to człowiek światły , ale wielki oryginał . Był ukonczonym prawnikiem i absolwentem wojenno jurydycznej akademji w Petersburgu i zajmował stanowisko w Sądzie wojskowym , Edwardow Meysztowiczow w Wiżunach , mego dawnego kolegi z Liceum i z ambasady rosyjskiej w Berlinie / patrz tom 1 moich wspomnień / Kazimierzow Gieczewiczów w Gieczanach nie mówiąc o częstych odwiedzinach Syłgudyszek.

Pod koniec Sierpnia wróciłem do moich zająć w Wilnie pozostawiwszy Julę w Kukuciszkach ., gdzie miała bawić aż do końca Września a potem wrócić na parę tygodni do swego ukochanego Horodyszcza. Oddałem zarządowi Banku moją pracę , która się spotkała z bardzo przychylną oceną i posłużyła do wprowadzenia poważnych zmian w naszym archaicznym nieco systemie szacowania dóbr.
Koledzy moi wrócili z urlopów , miałem więc znowu przed sobą szereg wyjazdów na prowincję . Tym razem losy zaprowadziły mnie na daleką żmudz gdzieś aż pod Pruską granicę.

## NAD BRZEGAMI JURY

Był cichy sierpniowy poranek , gdym wyjechał z Rosień na szeroki trakt prowadzący na zachód ku miasteczku Widuklom.
Stara to osada te Widukle kościoł należy do najdawniejszych na św Żmudzi świątyń zbudowany bowiem był w r. 1416 przez Witolda.
Kościoł popadł z biegiem lat w ruinę , odbudował świątynię Melchjor Gierdoyć , biskup żmudzki a król Stefan Batory hojnie ją obdarzył. Przy miasteczku leżał dwór należący do dawnej znanej szeroko na Żmudzi rodziny Przeciszewskich.
Tuż za Widuklami wjechałem w pagórkowatą malowniczą okolicę porosłą dębiną i liściastemi gajami.
Przejeżdżałem przez liczne wijące się wśród zielonych wzgórz rzeczki i strumyki z nieodzowną figurą Św. Jana Chrzciciela schylonego w zadumie nad wodą / Figury te zwane są na Litwie " smutnialis "/. Lud tu był jakiś inny nieco dorodniejszy, mówił nieco innym narzeczem żmudzkim, w którym zapewne było wiele słów [illegible] pozostałych po dawnych sąsiadach prusakach wytrzebionych doszczętnie przez krzyżaków malborskich.
Wsi tu nie było. Chłopi siedzieli na oddzielnych folwarkach w pięknych krytych misternie słomą chatach, ukrytych w kwiatach i w zieleni drzew. Przy drogach i przy domowstwach więcej tu niż gdzie indziej spotykałem krzyży ubranych w pięknie wycięte z drzewa a pomalowane na zielono lub niebiesko koronki.
Za Upiną miasteczkiem i dworem należącym do starego Żmudzkiego rodu Grużewskich przejechałem miasteczko Szilele z kościołem parafjalnym i wjechałem w cudną malowniczą okolicę zwaną Żmudzką Szwajcarją. Wśród wyniosłych pagorków [illegible] porosłych dębiną, wśród zielonych łąk i gai płynie wartko rzeka Jura która pod Taurogami

łączy się z Szeszuwą i wlewa swoje wody do Niemna.

Miasteczko Taurogi leży nad rzeką Jurą. Ongiś należało do birżańskich Radziwiłłów, następnie przez małżeństwo Ludwiki Karoliny, córki Bogusława Radziwiłła z Ludwikiem margrabią brandeburskim przeszło w r. 1681 do domu brandeburskiego. Królowie pruscy znacznie poprawili gospodarstwo , trzymali tu stadninę koni i zaprowadzili bydło rasowe. Potem Taurogi odeszły do Rosji. Ostatnio przed pierwszą wojną światową były donacją rosjanina księcia Wasilcziko – wa , marszałka szlachty gubernji kowienskiej a następnie ministra rolnictwa.

Po południu stanąłem w miasteczku Pojurze, należącym do hr Broël Platerów. Czekały tam na mnie konie wysłane przez pana Powstańskiego, właściciela majątku Pojurze dolne leżącego o kilka wiorst wdoł rzeki Jury. Pan Powstański był rodzonym bratem Ludka Powstańskiego mego przyjaciela i kolegi z Arkonji , właściciela Czuł położonych w sąsiedztwie Syłgudyszek.

Zajechałem przed ładny niewielki murowany dwór, którego białe ściany odbijały od ciemnej zieleni kasztanów i klonów. Z wyniosłości na której stał dwór rozściełał się widok na uroczę dolinę i mieniącą się w blaskach zachodzącego słońca rzekę.

Państwo Powstańscy spotkali mnie na ganku było to bezdzietne małżeństwo , ludzie bardzo mili, oczytani, interesujący się malarstwem i muzyką a przytem zamiłowani badacze historji Litwy i Żmudzi.

Po kolacji siedliśmy z panem Powstańskim na tarasie dworu i zapalili cygara . Po chwili milczenia pan Powstański wytłumaczył mi powody dla których fatygował mnie w tę odległą część Żmudzi. Chodziło o załatwienie pewnej rodzinnej sprawy , dość poufnej. Prosił więc Dyrekcję banku aby delegowała mnie jako przyjaciela jego starszego brata , niechciał bowiem wtajemniczać osoby obce w sprawy rodzinne.

Najmłodszy z trzech braci Powstańskich Karol był właścicielem pięknego majątku / nazwa wypadła mnie z pmięci/położonego również w powiecie rosieńskim w odległości kilkunastu wiorst od Pojurza.

Po ukończeniu szkoł Karol Powstański odsługiwał wojsko w pułku kirasjerow gwardji, ukończył następnie szkołę kawalerji i pozostał w tym że pułku.

Przed rokiem bawiąc w Wilnie w czasie karnawału poznał pannę z dobrze znanej ziemiańskiej rodziny żmudzkiej / notabene mojej kuzynki/ w której od pierwszego wejrzenia zakochał się nieprzytomnie.

Postanowił starać się o rękę tej panny, która mu odpowiedziała stanowczą odmową.

Zawód ten był dla niego ciosem straszliwym, zapadł na czarną melancholję, rzucił wojsko, zamknął się u siebie na wsi unikając widoku ludzi a nawet unikał spotkania z rodzonemi braćmi.

Całe dnie spędzał przy fortepjanie, lub przy nagrywaniu płyt gramofonowych których zebrał olbrzymią kolekcję. Był on nieposlednim muzykiem.

Ktoregoś dnia, było to na kilka miesięcy przed moim przyjazdem, służba znalazła go zrana leżącego na podłodze w kałuży krwi z rewolwerem zaciśniętym w dłoni, był już martwy.

Prosił mnie pan Powstanski abym oszacował majątek ich nieboszczyka brata. Była to spuscizna którą mieli się podzielic.

Wybaczy pan że nie będę mu towarzyszyc, ale widok tych pokoi w ktorych nasz brat zginął w tak tragicznych okolicznościach jest ponad moje siły. Jest tam rządca stary zaufany człowiek i niemniej zaufana nasza stara gospodyni panna Karolina.

Mamy nadzieję że na wieczor będzie pan znowu z powrotem w Pojurzu W żadnym wypadku nie chciałbym narażac pana na nocleg w tym nieszczęsnym domu

Następnego dnia po wczesnym śiadaniu siadłem do lekkiego powozu i anim się obejrzał gdy stangret osadził czwórkę pięknych bułanych żmudzkich mierzynów przed dworem s.p. p. Powstańskiego.

Oczekiwał mnie na ganku dworu rządca p. Rusteyko mmmmmmm starszy siwy szlachcic o zacnej ogorzałej twarzy i niebieskich jak chabry oczach i siwa gładko przyczesana miła starza osoba , ochmistrzyni panna Karolina .

Zaprosili mnie do wnętrza , czego nie mogłem odmówić . Rzuciłem okiem na czyste jak szklanka pokoje umeblowane gustownie . W salonie wisiały na ścianach ładne krajobrazy i szkice , stał w rogu olbrzymi Bechstejn a obok gramofon i całe stosy płyt. Na biórku kilka fotografji a wsrod nich fotografję nieboszczyka w uniformie pułku kirasjerow gwardji. Fotografja obramowana była krepą.

W wazonach stały bukiety kwiatów i wielkie pęki róż.

- Staram się utrzymać tak jak było za nieboszczyka , rzekła ze smutkiem panna Karolina - ale ja tu gadam a pan musić zgłodniawszy po drodze tak prosze na śniadanie.-

Uspokoiłem pannę Karolinę , żem dopiero przed godziną wstał od stołu prosiłem pana Rusteykę o konie abym mógł bez zwłoki przystąpić do oględzin majątku. Siedliśmy do bryczki zaprzężonej w parę ładnych Trakenow kasztanów i wyjechalismy w pole.

Z przyjemnością skonstatowałem wysoki poziom gospodarstwa , które jak to mowią było w pełnym trybie. Ścierniska były już podorane i obsiane poplonem, a liczne sterty pszenicy którą zapewne nie było można umieścić w stodołach świadczyły , że urodzaj był dobry. Na pastwisku ładnie porośniętym trawami i białą koniczyną naliczyłem około 60 pięknych wschodniopruskich Fryzów . Las był mieszany , nie tknięty toporem było tam sporo wartościowych dębów.

Znać było ~~że Prusy były niedaleko~~ wpływ sąsiednich Prus .

Powinszowałem panu Rusteyce gospodarstwa.

- Od trzydziestu lat gospodarzę tu - tu cała moja życia - rzekł ze smutkiem w głosie wskazując na rolę , a teraz tak Pan Bóg wie co będzie , szkoda mnie gospodarstwa.

Przejrzałem regestra gospodarskie i mogłem skonstatować że majątek daje ~~porządnym~~ pokaźny dochod.

~~Na południe byliśmy z powrotem.~~

Po południu byliśmy z powrotem.

Panna Karolina czekała nas z obiadem.

Gdyśmy siadali do stołu panna Karolina przeprosiła mnie że jako gościa nie sadza mnie na pierwszym miejscu.

- Kalkulowałem że panu nie przyjemnie będzie siedzieć „ bo to było - miejsce ~~nieboszczyka~~ zmarłego - tak prosze nie mieć w subjekcji.

Siedliśmy we troje ale ani dobra nalewka ani doskonała botwinka ani kurczęta z sosem rakowym nie wpłynęłu na odpędzenie od nas smutku ktory wisiał w powietrzu.

Zauważyłem że stary służący który nam usługiwał przy stole otarł ukradkiem łzy.

Miało się ku zachodowi, gdym pożegnawszy p. Rysteykę i pannę Karolinę wrócił z powrotem do Pojurza.

Co by pan nam z bratem doradzał zrobić. Żaden z nas nie chciałby t tam zamieszkać, a z drugiej strony nie chcielibyśmy przez pamięć dla ~~nieboszczyka~~ zmarłego sprzedawać tej ziemi, którą tak gorąco kochał.

Moim zdaniem - rzekłem - najlepiej było by pozostawić majątek we wspólnym władaniu. Mają panowie w osobie p. Rusteyki doświadczonego administratora i wyjątkowego rolnika . Potrafi on wygospodarzyć pokaźny dochód , zgadzam się z panem, że szkoda wypuszczać z rąk tak pięknej ziemi i siedziby. Szkoda mi też tych zacnych ludzi

ktorzy tam tyle lat wiernie służyli.

Pan Powstański przyznał mi słuszność.

- Czy pan sądzi, że mój brat Ludomir, przystanie na tę kombinację.
- Znając Ludka jestem przekonany, że nie tylko się zgodzi, ale będzie zadowolony z takiego rozwiązania sprawy.
-Zresztą , biorę to na siebie - rzekłem

Miałem wrażenie, że po naszej ostatecznej rozmowie ~~gospodarze moi~~ ~~em~~ twarze moich gospodarzy rozjaśniły się, jak by im jakiś kamień spadł z serca.

Nazajutrz wczesnym rankiem wyruszyłem w powrotną drogę na ~~Rosienie~~ Kielmy, Bubie do Szawel.

Szawle, było miastem powiatowym gubernji Kowieńskiej, położone nad jeziorem.

Za czasow Rzeczypospolitej było starostwem. Miasto Szawle było dane w zastaw Janowi Sapieże na opłatę wojska. Dopiero Król Jan 3ci zastaw spłacił . Pod koniec wieku 18 należało do Tyzenhauzów. W r. 1770 poskarbi Tyzenhaus rozbudował i urządził miasto a w dobrach szawelskich zaprowadził wzorowe gospodarstwo.

W pamiętnym 1963 roku na rynku w Szawlach odbyła się egzekucja skazańców, którzy wykazali niesłychany spokój i moc ducha.

Po powstanu klucz szawelski dostał się do rąk hr Zubowych wyjątkowo zacnych i szlachetnych ludzi. Zubowie skoligacili się przez ożenek z jedną z Billewiczowien ze szlachtą żmudzką. Brali czynny udział w życiu społecznym Żmudzi. Cała administracja ekonomji szawelskiej należącej do Zubowych składała się wyłącznie z ludzi miejscowych . Gospodarstwo stało tu na wysokim szczeblu.

Hr Zubow był jednym z założycieli Wileńskiego Banku Ziemskiego i jego pierwszym prezesem.

# P U S Z C Z A   N A L I B O C K A

Rowieśniki litewskich wielkich kniaziów,
Drzewa Białowieży, Świtezi , Ponar , Koszelewa
Których cień spadał niegdyś na koronne głowy
Groźnego Witenesa , wielkiego Mindowy.

Wyjechwszy z Wilna pociągiem pośpiesznym stanąłem popołudniu na st Nowojelnia gdzie wynająłem konie pocztowe do Nowogródka w on czas miasta powiatowego gub. Mińskiej, skąd miałem jeszcze kilkadziesiąt wiorst do Puszczy Nalibockiej leżącej na prawym wschodnim brzegu Niemna.

Już kilkakrotnie bywałem w swoim życiu w stronach nowogródzkich, w tym kraju " pagorków leśnych i łąk zielonych, a za każdą tam bytnością nie mogłem się oprzeć dziwnemu uczuciu, które mnie ogarniało z chwilą gdym stąpił na ziemię nowogródzką.

Pierwszą książkę po której jako dziecko prowadziełm palcem sylabizując litery był Pan Tadeusz. Poprostu od dzieciństwa zrosłem się z tą książką. Matka moja wpoiła we mnie taką miłość do pana Tadeusza że przez większość mego życia, tomik ten leżał obok książki do nabożeństwa na moim stoliku nocnym lub w walizce podróżnej.

Krajobraz ziemi nowogrodzkiej mało się różnił reszty kraju Niemna i jego dopływów, te same zielone porosłe gajami pagórki pola przecięte smugami łąk a jednak było w Nowogrodczyznie coś co tworzyło tą jedyną na ziemiach polskich swoistą atmosferę którą tchnął ten piękny zakątek ziemi litewskiej.

Za czasów studenckich odiwedzałem mego przyjaciela i kolegą Michała Wereszczakę w Gutowszczynie bawiąc u rodziców jego Pana Stefana i matki Marji z hr Grabowskich. Panna Janina Wereszczakowna za czasów moich karnawałow wileńskich była uważana za jedną z najprzystojniejszych naszych panien.

Nie raz przejeżdżałem ~~[illegible]~~ miejscowości, których nazwy znałem od dzieciństwa jak bory Koszelewa , jak ciemne nurty Kołdyczewa , bywałem i pięknej Woronczy Lubańskich, należących do Izy Lubańskiej z domu Mierzejewskiej ~~[illegible]~~ prwanuczk/ wojewody Niesiołowskiego ~~[illegible]~~

"~~[illegible]~~"

- Co by rzekł na to wojewoda Niesiołowski stary
..........

Byłem i nad Świtezią, która chociaż urocza, jak że ustępowała pod względem pejzażowym naszej Jesiacie .

Znałem i Tuhanowicze i ich właścicielkę panną Marję Tukanowską widziałem i pawiljon w którym mieszkał Mickiewicz i Lipy pod ktoremi siadywał. Były to wrzystko miejscowości leżące raczej na południo wschód od Nowogródka.

Tym razem droga prowadziła mnie na Lubcz leżącą na lewym brzegu Niemna. Na przeciwległym brzegu czerniały w on czas jak okiem sięgnąc bory puszczy nalibockiej.

Piszac te moje wspomnienia staram się w miarę możności ~~[illegible]~~ dołączać pewne dane historyczne o miejscowosciach które przejeżdżałem lub w ktorych poppsałem. Jakiś głos zewnętrzny każe mi stale przypominać, że te ziemie były od wieków złączone z Litwą i Rzeczy pospolitą polską, że historycznie nigdy nie miały nic wspólnego z tatarsko- moskiewską Moskwą chociaż mówiły ~~[illegible]~~ dawnym

pięknym słowiańskim białoruskim narzeczem, zbliżonym jednocześnie i do mowy polskiej i rosyjskiej.
Kronikarze ruscy przypisują założenie Nowogródka Włodzimierzowi W. lub Jarosławowi podając daty jedni r. 1044 inni 1116.

W r. 1241 mongołowie pod wodzą Kajdana spustoszyli miasto a ks litewski Erdziwiłł korzystając z pogromu kniaziów ruskich zajął miasto, a brat jego Mendog założył stolicę i koronował się tu na króla Litwy i przyjął w r. 1252 wiarę chrześcjanską. Zajęty jednak wojnami zrobił namiestnikiem syna swego Wojsełka w r. 1258. Ten zaś zostawszy mnichem zrzekł się na korzyść brata swego Romana Daniłowicza . Po zabiciu ojca i śmierci przywłaszczyciela Trojnata czasowo wypędzony objął rządy na nowo księstwo nowogrodzkie w r. 1263.
W r. 1273 oblężony w Nowogrodku przez książąt ruskich z zaDniepra i tatarów po dzielnej obronie ocalił miasto.

Za Witenesa w r. 1314 wielki mistrz krzyżacki Henryk von Pletzke spalił miasto, krzyżacy jednak zamku nie zdobyli i w małej liczbie powrócili do Prus.

W r, 1340 po śmierci Gedymina, syn jego Korjat otrzymał księstwo nowogródzkie którym rządził do roku 1323, po jego zgonie syn Teodor panował do roku 1352 a po nim Dymitr Korybut dziesiąty zrzędu syn Olgierda.

W roku 1394 krzyżacy podeszli pod mury Nowogródka, lecz znalazłszy miasto spalone przez mieszkańców zaniechali napadu na zamek i odstąpili. Po objęciu rządów przez Witowta na czas dłuższy nastał pokój.
W r. 1415 biskupi cerkwi wschodniej zwołali tu sobór, w celu wybrania metropolity ruskiego niezależnego od Moskwy. W dniu 15 Listopada wybór padł na metropolitę Grzegorza Cemicolaka, odtąd dostojnicy ci obrali Nowogródek na swoją stolicę.

W r. 1422 Władysław Jagiełło pojął tu za żonę po zgonie trzeciej

małżonki Sonkę córkę Andrzeja księcia Holszańskiego która przyjęła wiarę katolicką pod imieniem Zofji i przez Macieja biskupa Wileńskiego była zaślubiona.

Tu 80- letni Witowt wracając w pskowskiej wyprawy dary swym wodzom rozdawał.

Kazimierz Jagiellonczyk odbył tu sejm z samą Litwą w dniu 8 Wrzesnia 1448 roku dla uspokojenia szlachty litewskiej na sejmie lubelskim.

Za Aleksandra Jagiellończyka, tatarzy kilka razy w r. 1503,4,5 i 6 złupili Nowogrodek. W roku 1448 Kazimierz Jagiellończyk przywilejem brzeskim darował miastu nowe swobody , ale pełne prawo magdeburskie Nowogrodek uzyskał dopiero za Zygmunta I w r. 1511.

W r. 1581 sejm ustanowił w Nowogrodku trybunał, który sądził tu przez 22 niedziel, z tego powodu sejm 1676 r. oswobodził miasto od wszelkich konstytucji wojsk. Tutejsza kadencja zwana ruską została w r. 1775 przeniesiona do Grodna. Były tu dawniej cerkwie zbudowane przez Wysiełka, Konstantego księcia Ostrogskiego i Chreptowicza. Najstarsza zamkowa pod wezwaniem Boga Rodzicy.

W r 1321 był już tu kosciół katolicki przy klasztorze Dominikanów ktorego założycielem był Witowt , jak powiadają w miejscu dawniejszej świątyni Perkunasa. Kazimierz Chreptowicz fundował Dominikanom nowy kosciol a r . 1620 Adam Chreptowicz, podkomorzy nowogrodzki sprowadził tu Bazyljanów . Ewangielicy mieli tu w drugiej połowie XVI wieku swoj zbór a pastorem był Jan Zygrowjusz.

Pamiętna jest pozniejsza dysputa pomiędzy ewangielikami a jezuitą z Nieswieża Benedyktem Briwitia. W r. 1618 Zygmunt 3-ci rozkazał zamknąć tu zbor ewangielicki.

W roku 1751 pożar nawiedził miasto powodując wielkie szkody. Krol Stanisław August wracając z Nieswieża odwiedził Nowogrodek i zwiedził

pamiątki. Dawniejszy kościół farny będący w ruinie odnowiono w r. 1860. a farę w r. 1621 zamieniono na filję kościoła katolickiego. W farze znajduje się grobowiec wzniesiony na cześć poległych pod Chocimem, przez Jana Rudominę kasztelana nowogrodzkiego. Dawniej była tu szkoła wydziałowa prowadzona przez Dominikanów. Od r. 1859 zamieniono ją na szkołę powiatową.

Dom w którym mieszkali rodzice Adama Mickiewicza przetrwał do późniejszych czasów.

Tyle o Nowogrodku.

Kładły się już długie cienie od trzech wzgórz nowógrodzkich od góry zamkowej ze szczętkami murów , od góry farnej ze zwaliskami dawnej fary i od góry zwanej grobem Mendoga, gdym wyjechał z miasta na trakt wiodący ku Lubczy.

Będąc w Nowogrodzkich stronach , zawsze miałem chęć obejrzenia Zaosia za mojej bytności stał tam jeszcze dworek w którym w wigilję r. 1789 Adam Mickiewicz ujrzał światło dzienne a w którym gospodarzyła Pani Barbara , matka Adama na głowie której oprócz gospodarstwa spoczywała również lwia część trosk o dzieci.

Ojciec Adama pan Mikołaj Mickiewicz , był komornikiem mińskim. Za młodu sługiwał pod Kościuszką , a gdy się ożenił i ustatkował prowadził kancelarję adwokacką w Nowogrodku i rzadko przebywał w domu. Były tam jeszcze zabudowania folwarczne i t. zw. świronek / lamusik /. Do dworku prowadziła aleja lipowa.

W czasie pierwszej wojny światowej linja okopów rosyjskich przeszła przez Zaosie. wycięto aleje lipowe , spalono budynki i zrównano z ziemią. Za czasów Polskich nie było ponoć śladu po Zaosiu nawet śladów fundamentów na których stał dworek. Wrzystko zaorano i mało już kto z sąsienich wsi mógł wskazać miejsce, gdzie stał dawniej dworek.

Słońce już zachodziło gdym stanął w Lubczy, na wyniosłym brzegu

Brzask Niemna.

Blask zorzy wieczornej igrał jeszcze na powierzchni wody i złocił czerwienią szczyty sosen na przeciwległym brzegu.

Lubcz jest historyczną osadą z kościołem parafjalnym. Niegdyś należały do Kiszków. Według kronik litewskich uczeń św. Jacka błogosławiony Wit, Dominikanin i kanonik krakowski apostołując na Litwie za czasów Mendoga był w Lubczu gościnnie przyjęty przez właściciela Andrzeja Kijana. Będąc tam założył klasztor dominikanów i kościół. Podobno w Lubczu była pierwsza katedra za Mendoga.

Do końca XIV wieku miasteczko należało do dóbr W. X. Litewskiego a dopiero Aleksander Jagiellończyk darował Lubcz Fedkowi Chreptowiczowi pisarzowi sejmu. Od Chreptowiczów Lubcz w r. 1528 przeszedł do Albrychta Gasztolda wojew. wil. a w r. 1547 do Jana Kiszki, krajczego w. litewskiego. Kiszka będąc zawziętym arjaninem założył tu drukarnię akatolicką. Jednak tutejsza oficyna arjańska po wojnach 1655 i zarazie morowej ustała. Zygmunt 3-ci na prośbę Kiszki nadał w r. 1590 prawo magdeburskie. Kiszka wzniósł tu na brzegu Niemna zamek

W r. 1606 Lubcz przeszedł drogą darowizny do Radziwiłłów Za Jana Kazimierza uległ zniszczeniu , zamek spustoszony popadł w ruinę. Od Radziwiłłów Lubcz wraz z innemi dobrami dostał się w ręce Witgenstejnów a następnie ks Hohenlohe. W czasie przymusowej likwidacji został nabyty wraz z puszczą Nalibocką przez miljonera właściciela olbrzymich obszarów na Besarabji , sławnego gospodarza hodowcy i miłośnika przyrody niemca Falzfejna.

Puszcza Nalibocka i Lubcz tak oczarowały Falzfeina, że postanowił za wszelką cenę nabyć tę jedyną pozostałość dawnych puszcz litewskich. Nauczył się jak mógł po polsku i mógł na pamięć zacytować całe ustępy z Pana Tadeusza

Nabywszy Naliboki p. Falzfein zamknął las na cztery spusty , zakazał wyrębu lasu, sprowadził z niemiec fachowych leśników i

hodowców zwierzyny i założył tam jedyny w swoim rodzaju rezerwat litewskiej fauny i flory. Gdym w Sierpniu 1912 roku bawił w Nalibokach liczono tam około 200 łosi, kilkanaście niedźwiedzi i wyjątkowych pod względem liczby bobrów, żeremi bobrowych, nie mówiąc o drobnej zwierzynie i ptactwie.

Kosztowało go to nie mało , szczegulnie walka z kłusownictwem . Potrafił jednak z ludzi miejscowych a szczegulnie z pośród szlachty zagonowej wyszkolić doskonałą a sumienną służbę leśną.

Po śmierci starego Falzfeina Naliboki przeszły na jego syna również miłośnika przyrody, który nie mniejszym staraniem otoczył Naliboki

Majątek Lubcz odziedziczyła jego córka Lidja, która następnie wyszła zamąż za v. Peikera barona bałtyckiego. Panstwo Peikerowie zamieszkali na stałe w Lubczu prowadząc wzorowe gospodarstwo i również wsiąkli w atmosferę mickiewiczowskiej nowogródczyzny.

Mrok już zapadł, gdym się przeprawił na drugi brzeg Niemna i siadłem do oczekującego mnie powozu.

Gajowy ubrany w zieloną kurtkę kroju kurlandzkiego otworzył rogatkę. Wjechaliśmy w ciemną głąb boru.

Wstał księżyc rzucając srebrne smugi na halizny lub polanki leśne. Około 10 wieczór zajechaliśmy przed dwupiątrowy domek w stylu niemieckiego Oberförsterei / nadleśnictwa / tak mi dobrze znanym z czasów moich wędrówek po majątkach niemieckich.

Spotkał mnie nadlesniczy, który ujrzawszy mnie zawołał zdziwiony Herr von Jalowiecki .... um Gottes willen ... der Welt ist aber klein. / Panie Jałowiecki .... na miłość Boga.... ale świat jest małym. Ku memu zdziwieniu również poznałem w nim dawnego Försteraspirant / praktykanta na lesniczego / Hegendorfa z którym się spotkałem w czasie mego paromiesięcznego pobytu w dobrach Sławencickich ks Hohenlohe - Oehringen. Był to wówczas młody sympatyczny a oddany swemu zawodowi leśnik.

Hegendorf już od czterech lat zajmował stanowiska nadleśniczego w leśnictwie Nalibockim , nauczył się po polsku a świetnie się znał już na przyrodzie litewskiej. Prowadził sprężyście i po wojskowemu nadleśnictwo. Jak wrzyscy niemcy, był oficerem rezerwy. Zasieliśmy do stołu, znalazła się butelka wina reńskiego a przy czarnej kawie i cygarach siedliśmy w jego gabinecie udekorowanym trofeami myśliwskiemi i bronią. Poznałem tam bawiącego od kilku miesięcy młodego malarza niemca - ucznia prof Karola Wagnera znakomitego pejzażysty i twórcy obrazów myśliwskich. Moim zdaniem jeżeli chodzi o oddanie nastroju kniei , zwierząt, prof Wagner nie ma równych sobie. Nawet nasi najlepsi artyści jak Fałat, Weyssenhoff, Chełmoński nie wytrzymują porównania z tym zaiste genjlanym artystą- myśliwym.

Mieliśmy tyle wspolnych wspomnień i ciekawych tematów żeśmy ani spostrzegli jak północ dawno minęła.

Nazajutrz, wczesnym rankiem, po obfitym śniadaniu siedliśmy we troje do szarabanu zaprzegniętego w czwórkę rosłych hanowerów i ruszyliśmy do wschodniej części puszczy graniczącej już z polami sąsiednich wsi. Był tam serwitut obejmujący około 800 ha lasu. Była to bolączka i źródło wielu przykrości i kłusownictwa. Pan Falzfein za wszelką cenę chciał się tego pozbyć.

- Zakończmy przed obiadem tę sprawę - rzekł nadleśny - a po obiedzie przejedziemy się po naszych najpiękniejszych rewi- - rach łowieckich.

Nadleśniczy miał rację, miałem rzadką w życiu okazję podziwiania tylu pięknych widoków i zobaczenia tylu niepospolitych scen myśliwskich.

Na skraju lasu graniczącego ze smugiem leśnym stało kilka łosi Nie zwracały one najmniejszej uwagi na turkot bryczki a obrywały spokojnie liście zwisających gałęzi brzeziny i olchy.

Spotkaliśmy po drodze jeszcze kilka łosi jedne z nich przechodziły

inne stały na mszarach strzygąc uszami i oganiając się od bąków.

- Podjeżdżamy do Kramonicy - rzekł nadleśny- pozostawimy tu konie a
- sami przejdziemy się ostrożnie i cicho kilkaset kroków , może
- się na uda podejść do żeremi,-zobaczy pan naszych inżynierów.

Poprzedzani przez leśniczego szliśmy bezszelsestnie ścieżyną leśną.
Grunt się zniżał weszliśmy w krzaki i oczerety zwiatujące bliskość wody. Nadleśny skinął na nas Mieliśmy przed sobą lukę nieobrosłą sitowiem, przed nami rozciełała się tafla płytkiej wody. Sterczało tam kilkadziesiąt wysokich na parę łokci kopców wystających z wody zlepionych misternie z gałęzi i traw wodnych. Na powierzchni panował ruch. Raz wraz coś ciemnego wynurzało się z głębiny , to znów ginęło pod powierzchnią pozostawiając po sobie kręgi, tu znów coś pruło powierzchnię , tu jakaś niewidoczna siła popychała przed sobą kłody drzewa .

Przeszlismy kilkadziesiąt krokow w dół rzeki Kramonicy wypływającej z jeziora i płynącej leniwie ku Niemnu.. Całe koryto rzeki było dosłownie zabudowane i zawalone kłodami drzewa ściętemi siekaczami bobrów niczem piłą. I tu panował ruch jedne bobry sciągały gałęzie , drugie siedząc na dwuch łapach gryzły pnie. Robota wrzała. Gdyśmy jednak nieostrożnie poruszyli krzaki wrzystko ucichło i jak za skinieniem różdżki czarodziejskiej znikło pod wodą.

- Widzi pan co za inżenierja- rzekł nadleśny pokazując swieżo zrobioną tamę.

- Wiele bobrów liczy pan w swoich żeremiach - spytałem

- Nie mogę panu dokładnie odpowiedzieć , policzyć bobry to trudne
-zadanie , sądząc jednak z liczby domków sądzę że obecnie nad Kramonicą
- mamy około 80 bobrow, w każdym razie są to największe żeremie w Euro
- pie- odpowiedział .

- pojedziemy teraz do rewiru w którym zazwyczaj lubią przebywać niedzwiedzie może uda się nam podejść niedzwiedzicę która ma bliznięta.

Stanęlismy przed leśną polanką porosłą dzikiemi malinami.

zeskoczyliśmy z bryczki i pozostawiwszy konie obeszliśmy pmmmmmm pmmmmmmm zdaleka polankę i mając wiatr przed sobą zbliżyliśmy się się do niej ostrożnie.

Miałem wyjątkowe szczęście. Na polance w pełnym słońcu leżała niedźwiedzica a obok niej baraszkowały dwa małe pocieszne niedźwiadki, to się kulały, to stojąc na tylnych łapach mocowały się z sobą i wodziły.

W oczach stanął mi obraz Hennyka Weyssenhofa - " Litewskie zacisze. Gdym w drodze powrotnej wspomniał o tem nadleśnemu, ten się zaśmiał.

- Nic dziwnego-rzekł-bo pan Baron Weyssenhof spędził w ubiegłym roku
- parę tygodni w puszczy nalibockiej robiąc studja malarskie. i był
- świadkiem podobnej sceny ktorą pan dziś oglądał.

Słońce chyliło się ku zachodowi oświecając purpurą wierzchołki sosen gdyśmy wrocili do nadleśnictwa.

Byłem zbudowany porządkiem i wojskowym rygorem. Jadąc spotykaliśmy straż leśną ubraną w porządne jednolite uniformy, która salutując po wojskowemu zdawała raport ze swego rewiru.

Po kolacju podziwiałem szkice młodego artysty który moim zdaniem był godnym uczniem prof. Wagnera. Gmmmmmmmmmmm był on nietylko artystą ale zawodowym leśnikiem i specjalistą od łowiectwa.

Przy kieliszku Reinwejnu i cygarach przesiedzieliśmy długo w noc rozmawiając o łowiectwie , o przyrodzie , o radościach i kłopotach łowieckich.

- Mam kłopot z rysiami-rzekł-nadleśny z jednej strony chciałbym utrzy-
- mac kilka conajmniej ommmmmm okazów fauny litewskiej z drugiej
- strony nie mogę dopuścić do ich rozmnożenia , bo ryś to jeden z
- najgorszych szkodników a szczegulne spustoszenia robi wsród saren
- a często napada i na młode łosięta.
- Ubiegłej zimy odstrzelaliśmy 11 rysi ale i to zamało - ale panowie
- już po północy czas na spoczynek , dobranoc panom-rzekł nadleśniczy.

Na stole w moim pokojummmm znalazłem kilka butelek ciemnego piwa i kopiasty talerz ze sznitkami . Stanęła mi w pamięci dawna gościnność

której tyle zaznałem bawiąc w Niemczech.

Nazajutrz rano pożegnałem nadleśniczego i puszczę nalibocką. Musiałem się spieszyć gdyż Państwo v. Peikerowie oczekiwali mnie w Lubczy z obiadem. Spędziwszy kilka godzin w tym miłym a gościnnym domu ruszyłem w powrotną drogę.

Uprzejmi gospodarze odstawili mnie powozem i rozstawionemi końmi aż do stacji kolejowej w Nowojelni.

Po przybyciu do Wilna tegoż dnia napisałem list do pana Falcfejna winszując mu tej jego twórczej a pięknej działalności.

Nie bez uczucia goryczy w kilkanaście lat po mojej tam bytności dowiedziałem o całkowitym zniszczeniu tego jedynego w swoim rodzaju rezerwatu przyrody Litewskiej.

Rząd Polski nie potrafił zachować tego cennego zabytku. Naliboki dostały się do rąk różnych spekulantów , przechodziły od jednego właściciela do drugiego , wycięto lasy, wyniszczono zwierzynę w sposób barbarzyński została pustynia .... a o bobrach nad Kramonicą o łosiach i niedzwiedziach nie pozostało nawet wspomnienia.

# W POŁAWENIU

W powiecie Poniewieskim nad rzeczką Ławeną w odległości paru wiorst od Stacji Subocz leżał piękny Poławeń należący do znanej na Litwie i Żmudzi rodziny Komarów.
Dobra Poławeńskie po śmierci starego pana Komara senjora linji poławenskiej zostały podzielone pomiędzy trzech braci.
Najstarszy syn Bogdan dostał fundum czyli Poławeń.
Majątek Swiętorzecz położony nad rzeką Świętą w powiecie Wiłkomierskim odziedziczył Antoni średni syn, ożeniony z góralką którą poznał będąc w Zakopanem, krewną sławnego Wojtka Roja. Ponieważ cała komarszczyzna bardzo nie aprobowała tego związku, zmuszony był pan Antoni zamknąć się w Świętorzeczu i w myśl życzeń całej rodziny jak najmniej ukazywać się na forum publicznem.
Najmłodszy z synów Michał, dostał majątek Petkuny z gorzelnią położony przy stacji Surdegoi naszej wąskotorowki.
Starsza Siostra była zamężna za Bogdanem Komarem bratem Władysława z Bejsagoły a właściciela Giełgudyszek Górnych leżących na brzegu Niemna. Młodsza siostra wówczas jescze nie zamężna, piękna panna Janina poślubiła potem Hilchena gubernatora gubernji Besarabskiej.
Nasz pan Bogdan był jeszcze w stanie kawalerskim, ale gwałtownie poszukiwał towarzyszki życia. Rodzina Komarów była znana ze swej solidarności. Tworzyli oni mocno spojoną grupę rodzinną. Komarowie nie dopuszczali „outsiderów" do związków rodzinnych, wychodząc z zasady że nie należy wypuszczać ziemi ani posagów z rąk rodziny i żenili się przeważnie pomiędzy sobą. z bliższemi lub dalszemi kuzynkami.

Trzymali się mocno ziemi, byli zamożni, praktyczni, gospodarni patrzyli trzezwo na świat i ludzi. Z opinją komarszczyzny liczono się bardzo, a biada temu, ktoby rozmyślnie czy nie rozmyślnie nadepnął któremukolwiek z Komarów na nogę. Miał przeciwko sobie zaraz koalicję złożoną ze wrzystkich żyjących Komarów, którzy nie łatwo zapominali urazy a żądła mieli długie.

Łatwo sobie wyobrazić poruszenie wśrod komarszczyzny, gdy wyszło na jaw że nasz pan Bogdan jakoś nie bardzo daje sobie radę z gospodarstwem a nawet o zgrozo ! podobno zadłużył się u żydków poniewieskich.

Zebrała się więc cała starszyzna rodzinna z Władysławem z Bejsagoły i Konstantym z Rogówka na czele i postanowili przystąpić niezwłocznie do otoczenia opieką marnotrawnego syna i do sanacji zawikłanych nie[illegible] przez pana Bogdana interesów poławeńskich.

Na zebranym wiecu rodzinnym wybrano na opiekunów pana Bogdana, [illegible] tychże panow Władysława z Bejsagoły i Konstantego z Rogówka [illegible] a w celu zabezpieczenia posagu sióstr postanowiono zaciągnąć pożyczkę w Wileńskim Banku Ziemskim. Byłem więc proszony przez pana Konstantego aby dokonał oszacowania majątku Poławeń

Umówiliśmy się z panem Konstantym, że w dniu oznaczonym spotkamy się tam i wspólnie oszacujemy wartość majątku i obmyślimy drogę do jak najszybszego uregulowania interesów.

Pan Konstanty był synem [illegible] Michała i ożeniony był z panną [illegible] Małgorzatą Komarówną siostrą Władysława [illegible] z Bejsagoły i Medarda z Giełgudyszek. Dziad p. Konstantego również Konstanty, a więc ojciec Michała był synem Józefa i Tekli z Kosciałkowskich. służył w gwardji gdzie dosłużył stopnia pułkownika i na własne rządanie przeszedł w stan spoczynku. Był z wyborów pośrednikiem do spraw włościańskich oraz marszałkiem wiłkomierskim z nominacji /1864-1878/ zmarł w r. 1880 [illegible]

Był cichy ranek wczesnej jesieni, gdyśmy z p. Konstantym siedli do amerykana zaprzęgnętego w parę rosłych kurtyzowanych wałachów. Pan BOGDAN pozostawił w domu stangreta abyśmy w drodze bez skrępowania mogli rozmawiać o interesach. Pan Konstanty wzorowy a rachunkowy gospodarz spoglądał dość krytycznym okiem na wszelkie niedociągnięcia gospodarcze pana Bogdana nie szczędząc dość cierpkich uwag które nasz

delikwent znosił z rezygnacją. Byłem w tak zażyłych stosunkach z rodziną Komarów że p. Konstanty bynajmniej nie krępował się moją obecnością.

Wrzyscy Komarowie odznaczali się wysokim wzrostem i silną budową; pan Bogdan był rownież wysmukły ,ale znacznie szczuplejszy a na jego przystojnej twarzy malowała się "romantyczna melancholja".

-Patrzaj pan , panie Mieczysławie-mówił p. Konstanty-wskazując
- ręką na wypielęgnowane kurtyzowane wałachy. Bodzio lubi kurtyzo-
- wać nie wiem kiedy zabierze się do krów , bo psy i konie wrzystkie
- już są kurtyzowane , a najgorzej że zaczął kurtyzować i Poławen."
- Sądz pan sam - czyż nie bałwan.

Zdaniem pana Konstantego jego krewniak zbyt bowiem wiele poświęcał stajni cugowej ze szkodą sławnej za jego ojca obory szwyców poławeńskich, niemało też kosztowały wycieczki karnawałowe do Warszawy i Wilna i może zbyt ryzykowne inwestowanie znaczniejszych sum w sprawy natury matrymonjalnej które miały mu przynieść "nietylko towarzyszkę życia ale rownież i poważny posag.

Dodajmy do tego że p Bogdan starał się godnie reprezentowac ród Komarow i trzymac"fason " wrzystko to razem wzięte nadwerężyło trochę interesa poławeńskie i odbiło się na gospodarce.

-A mowiłem Bogdanie ,siedź w domu, pilnuj gospodarstwa i nie bądź
- takim " oszczywęgłem "- powtarzał przy każdej sposobnosci pan Konstanty.

Dzień był piękny na polach zieleniały już runie oziminy, kończono kopac kartofle , na jednym polu ktoreśmy przejeżdżali podorywano ściernisko. Na ten widok pan Konstanty o mało nie wyskoczył z bryczki.
- Panie Mieczysławie - rzekł zwracając się do mnie - ten bałwan Bogdan
- dopiero teraz podoruje ściernisko , na dobry ład tmmmm należało by
- pana Bigdana rozciągnąć na ściernisku i wspypac sotką.
- mmmmmmmmm Chyba tu dawno nie był Zygmunt Węcławowicz , ten by

zadał naszemu panu Bogdanowi pieprzu / Pan Zygmunt Węcławowicz był jednym z najbardziej wzorowych rolników i hodowców na Kowieńszczyźnie i był właścicielem pięknych Narun położonych w kilkanaście wiorst od Poławenia /

W gruncie rzeczy pan Konstanty , trochę zanadto dyskwalifikował gospodarstwo poławeńskie , ale mam wrażenie robił to ze względów pedagogicznych. Uprawa ziemi była dobra , urodzaje piękne , inwentarz w dobrym stanie.

Wjechaliśmy w las.

- Patrz pan panie Mieczysławie - to gospodarstwo nisko-pienne - rzekł - wskazując na przetrzebiony rewir leśny.

Cały dzień nie licząc przerwy obiadowej spędziliśmy na dokładnej lustracji majątku. Nasz biedny delikwent od czasu do czasu ocierał już pot z czoła , ale nie próbował nawet odpowiadać na cierpkie uwagi przedstawiciela starszyzny rodowej Komarów.

W gruncie rzeczy trzeba oddać sprawiedliwość , że gospodarstwo bynajmniej nie było opuszczone a pewne niedociągnięcia łatwo dały by się wyrównać , ale Komarowie byli bardzo wymagający .

Uradziliśmy z panem Konstantym , że przy znacznej wartości Poławenia i stosunku bardzo nieznacznych zobowiązaniach zaledwie trzecia część pożyczki będzie zrealizowana i będzie użyta na spłacenie reszty posagu sióstr i opędzenia drobnych zobowiązań. Delikwent ze swej strony zobowiązał się zaprowadzić ścisłą rachunkowść, skurtyzować tym razem nie konia , ale swój zbyt reprezentacyjny budżet osobisty , zlikwidować część stajni cugowej a [illegible] zwrócić swoją uwgę na oborę. Wreszcie przyjąć odpowiedzialnego ekonoma , dobrego rolnika, którego pan Władysław z Bejsagoły zobowiązał się wyszukać. Wrzystkie poważniejsze inwestycje mogą być przeprowadzone nie inaczej jak za zgodą opiekunów. Pożyczka ma być spłacona w ciągu 10 lat.

pan Bogdan niesmiało przedstawił pewne swoje objekcje, ale praktyczny i rzeczowy pan Konstanty był niewzruszony. Spisawszy odpowiedni protokoł lustracyjny i warunki pożyczki i położywszy swoje podpisy oraz zgodę pismienną delikwenta, siedlismy z uczuciem spełnionego obowiązku do Kolacji. Po kolacji mielismy zaledwie tyle czasu aby w towarzystwie uroczej panny Janiny wyjśc na taras pałacowy i rzucić okiem na malowniczą okolicę i płynącę wsród zieleni parku Ławenę.

Tegoż wieczora pan Konstanty wrócił do swego Rogówka , ja mając do załatwienia kilka spraw w Poniewieżu zatrzymałem się w tym grodzie na dzien następny.

Jakoś nie miałem do tej pory sposobności spisać notatki historyczne o Poniewieżu. Czynię to teraz.

Poniewież była to osada dość starożytna o czem świadczy dawna nazwa litewska Poniewieża Sena Mestis / stare miasto /. Poniewież zaczął się rozwijać i zabudowywać dopiero w wieku XVl kiedy do Poniewieża przeniesiono sądy z Upity i Krakinowa. Był tu już dość stary kosciół parafjalny. W r. 1601 sejm polecił staroście upickiemu zbudować tu dom sądowy co zrobił w r. 1614 Jarosz Wołłowicz.

W r. 1780 staraniem parafjan zmurowano nowy kosciół. Starosta Bernatowski w drugiej połowie XVlll wieku sprowadził tu Pijarów.

W ostatnich latach przed pierwszą wojną swiatową Poniewież znacznie się rozwinął dzięki działalności pana Stanisława Montwiłła z Traszkun, Pan Stanisław założył tu wielką rektyfikację, drożdżarnię, i zakłady mechaniczne oraz szkołę rzemiosł. Po śmierci bezdzietnego pana Stanisława interesy objął synowiec jego również Stanisław, filister korporacji Arkonji który niemniej spreżyście prowadził interesy.

Dyrektorem tej najwiekszej na Litwie rektyfikacji był inż Stanisław Brzozowski również Arkon.

# DEZERCJA Z DUMY PAŃSTWOWEJ

Pod koniec Września Żona moja wróciła do Wilna. Musieliśmy zmienić mieszkanie w domu hr. Józefa Tyszkiewicza, które okazało się zbyt ciasne. Udało się nam wynająć ładny apartament na tejże ulicy Nadbrzeżnej w domu pana Ignacego Parczewskiego, tuż obok narożnego pałacu ordynatowej Klementyny Tyszkiewiczowej.

Okoliczności zmusiły mnie do przerwania na okres półtora miesiąca moich wędrówek po kraju.

Kończyła się kadencja trzeciej dumy państwowej i na Październik miały być wyznaczone nowe wybory. Nie mając ani zamiłowania ani odpowiednich zdolności do polityki trzymałem się zdaleka, ograniczając się jedynie do uczestnictwa w naradach stronnictwa krajowego, nie biorąc udziału w rozgrywkach politycznych, spełniając natomiast sumiennie moje obowiązki ziemiańskie względem otoczenia i kraju w którym wyrosłem i w którym od ~~mmmmm~~ stuleci osiadła na ziemi ~~litewska~~ ~~mmmm~~ bardzo nieliczna, litewska gałąź ~~mmmm~~ naszego rodu.

Niestety z powodu moich różnych obowiązków społecznych zostałem mimowolnie wciągnięty ~~mmmm~~ przez stronnictwo krajowe w wir akcji politycznej. i w matnię z której z trudem udało mi się wydostać.

Z kurji ziemiańskiej reprezentowali w dumie państwowej ~~mmm~~ ziemię Wileńską posłowie hr. Wawrzyniec Puttkamer i Stanisław Wańkowicz / HENRYK ŚWIĘCICKI ~~przyczem hr Putkamer~~ był par exellence mężem zaufania stronnictwa demokracji narodowej a stronnictwo krajowe do którego należała lwia część ziemiaństwa reprezentował Stanisław Wańkowicz.

Hr Wawrzyniec Puttkamer nie miał wielkiej ochoty do ponownego wyboru i zgodził się jedynie kandydować jako ewentualny zastępca, natomiast Stanisław Wańkowicz pod naciskiem zgodził się posłować i do czwartej dumy o ile by został wybrany.

Wśród ziemianstwa wileńskiego mało było chętnych do przyjęcia mandatu poselskiego, wymagało by to bowiem zamieszkania w Petersburgu oderwania od interesów i gospodarstwa.

Uradziła przeto starszyzna, aby wybrać którego z młodszych ziemian mniej materjalnie skrępowanych i nieszczęsnym zbiegiem okoliczności wybór padła na moją osobę.

Spadło to na mnie jak piorun z jasnego nieba. Początkowo traktowałem to jako żart, lub manewr polityczny, lecz gdy starszyzna w osobach p. Aleksandra Meysztowicza, Pawła Kończy, Hipolita Korwin Milewskiego oraz hr Wiktora Starzeńskiego wyjaśnili mnie sytuację i zaczęli wywierać na mnie presje podkreslając, że jest to obowiązek od którego nie mam prawa się uchylać, gwarantując, że zachowam moje dotychczasowe stanowisko w Banku musiałem " contre coeur " uledz i zgodzić się na przyjęcie kandydatury.

Oboje z żoną byliśmy nie mało zasmuceni perspektywą rozstania, gdyż o przeniesieniu się całej rodziny do Petersburga nie mogło być mowy, i zamąceniu naszego cichego a miłego życia rodzinnego w kochanym Wilnie.

Nie pomogły żadne argumenta z naszej strony, wytoczono mi contre-argumenta - miałem dom w Petersburgu należący do mego ojca, miałem tam stosunki i interesy, znajomość rosyjskiego towarzystwa.

Wybory do dumy z kurji ziemiańskiej były dwustoponiowe. Należało więc być wybranym na delegata do zgromadzenia gubernjalnego w którym delegaci powiatowi z pośród siebie wybierali posłów.

Stanęło na tem, że postanowiono wybrać z kurji ziemiańskiej dwuch posłów Stanisława Wańkowicza i mnie i na zastępcę hr Wawrzyńca Puttkamera, który wyraził na to swą zgodę, pod warunkiem że nie będzie kandydował na posła.

Ze ściśniętym sercem pojechałem więc na zebranie powiatowe do Święcian. Miałem stanowczą instrukcję abym podał głos za siebie , gdyż obawiano się dywersji.

Zebraniu powiatowemu przewodniczył w zastępstwie marszałka powiatowego sąsiad nasz pan Stanisław Malecki z Sidoryszek.

Stosując się do instrukcji byłem tak głupi, że oddałem kartkę z wypisanym własnym nazwiskiem a byłem nie mało zawstydzony, gdy przy obliczaniu otrzymałem wrzystkie głosy.

Naraziłem się przeto na ironiczną uwagę pana Stanisława Maleckiego i na dowcip wuja Aleksandra Chominskiego obliczającego głosy.

Zostałem więc wybrany na delegata do zgromadzeni gubernjalnego.

Nadszedł wreszcie decydujący dzień wyborów . Na posłów wybrano HENRYKA ŚWIĘCICKIEGO Stanisława Wańkowicza i mnie, na zastępcę hr Wawrzyńca Puttkamera.

Klamka zapadła. Wróciłem do domu przygnębiony. Na dobitek zastałem zwykle opanowaną i spokojną moją żonę w stanie wielkiego zdenerwowania ze śladami łez w oczach.

Gdyśmy zasiedli do późnego obiadu, który nam nie bardzo przez gardło przechodził ozwał się dzwonek i służący zaanonsował p. Aleksandra Meysztowicza, Prezesa Pawła Konczę i Stanisława Wańkowicza , za chwilę nadszedł p. Hipolit Korwin Milewski.

Wyszedłem na ich spotkanie prosząc do sali jadalnej na czarną kawę i kieliszek konjaku.

Gdyśmy następnie udalismy do mego gabinetu, powiedziałem im otwarcie że wyjazd do Petersburga i rozstanie się z rodziną jest ofiarą z mojej strony niepomiernie wielką i prosiłem aby się naradzili nad wytworzoną sytuacją a mnie zwolnili z tego obowiązku.

Po dłuższej naradzie zdecydowano, że jedynym wyjściem z sytuacji byłoby uproszenie hr Wawrzynca Puttkamera, aby zgodził się przyjąć mandat poselski a mnie ustąpił miejsce zastępcy.

Wyszliśmy na miasto w poszukiwaniu zącnego pana Wawrzyńca a nie zastawszy go u Georges'a, gdzie zwykł był się zatrzymywać udaliśmy się do klubu szlacheckiego.

Szczęśliwie zastaliśmy go przy stoliku bridgowym w towarzystwie Karola Salmonowicza, Marjana Strumiłły i [redacted] Wiktora Godlewskiego. Przeczekaliśmy ukonczenia robra i przeprosiwszy za przerwę gry, prosiliśmy pana Wawrzyńca na słowo na osobności..

Gdy pan Aleksander Meysztowicz z panem Pawłem Konczą wyłożyli całą sprawę, pan Wawrzyniec zastanowił się głęboko wreszcie, zwrócił się do mnie z oświadczeniem że nie miał by serca odmówić swojej pomocy i zgadza się na przyjęcie mandatu na posła.

Odetchnęłem z ulgą i uścisnąłem serdecznie zacnego pana Wawrzyńca. Można sobie wyobrazić radość mojej żony, gdym jej zakomunikował o tak pomyślnem załatwieniu sprawy.

Mimo spóźnionej godziny wyszliśmy na miasto. Noc była cicha, Księżyc swiecił wysoko na niebie. W srebrzystej mgle rysowała baszta góry zamkowej i kontury góry trzykrzyskiej .

Poszliśmy naszą ulubioną wieczorną drogą, ulicą Zamkową ku Ostrej Bramie.

Po raz pierwszy po kilku męczących tygodniach usnęłem wreszcie spokojnie.

Nazajutrz złożyłem w ręcę osłupiałego ze zdumienia marszłka gubernjalnego Krasowskiego oficjalne zrzeczenie się mandatu.

Moja rezygnacja wywołała oburzenie wśród żubrów a szczegulnie wśród starszego pokolenia i trzeba było długich miesięcy aby przekonać nasze czynniki miarodajne, że moja nieobecność w Wilnie przyniesie więcej szkody od pożytku posłowania do Dumy . Tem nie mniej moja dezercja polityczna odezwała się jeszcze po roku przy wyborach do Władz Bankowych i Towarzystwa Rolniczego

## SPUŚCIZNA PO KSIĘCIU BOGDANIE OGIŃSKIM

Naechodził koniec Pazdziernika. Jesień była wyjątkowo ciepła i łagodna. Korzystaliśmy z pięknych wieczorów i odbywaliśmy nasze codzienne długie przechadzki po ukochanym Wilnie.

Budziłem się co rano z radosnym uczuciem, że wydostałem się z matni politycznej i jestem u siebie w domu zamiast, tłuc się po jesiennym dżdżystym Petersburgu i spędzać czas na wysłuchiwanie krasomówstwa posłów w dumie, lub odsiadywać długie wieczorne godziny na często jałowych debatach w kole polskim.

Ktoregoś dnia wezwał mnie do siebie nasz prezes Paweł Kończa i zawiadomił mnie, że w dniach najbliższych mam się udać do Retowa położonego na głębokiej Żmudzi w celu oszacowania dóbr Retowskich w związku z dochodzeniem spadkowym po ś.p. księciu Bogdanie Ogińskim

- Jest to sprawa bardzo poważna- rzekł pan Paweł- przygotuj się, że
- zmuszony będziesz przesiedzieć w Retowie około dwuch tygodni.
- Widzisz-rzekł ze śmiechem - nie chciałeś jechac do stolicy - to
- siedź bracie w Retowie .
- Zresztą żart na stronę- ściśle między nami zrobiłeś rozumnie, żeś
- zrezygnował z tego zaszczytu. Znając ciebie jestem
- przekonany że tu będziesz pożyteczniejszy niż w dumie. Chociażby
- taka sprawa jak Retowska , którą Ci opieka poleciła jest dowodem
- wielkiego zaufania. Jak wiesz należę sam do opieki nad spuścizną
- ks Bogdana Oginskiego.
- Z ramienia opieki administruje teraz Retowem twój przyjaciel
- Szymon Meysztowicz z Ludynia , będziesz więc miał do pomocy jed-
- nego z najlepszych gospodarzy Kowieńszczyzny

Podziękowałem naszemu prezesowi za ten dowód zaufania i nazajutrz pociągiem wieczornym wyjechałem do Możejek / Oficjalnie st Murawjowo / . Stacja ta była węzłową schodziłt się tam dwie linje

kolejowe Libawo Romeńska i odnoga Rygo Orłowskiej prowadząca z Rygi na Mitawę do Libawy.

W Możejkach mieliśmy się spotkać z Szymonem Meysztowiczem i stamtąd wspólnie dojechać rozstawionemi końmi do Retowa.

Dobra i miasteczko Retów położone w północnej części powiatu Rosieńskiego na pograniczu Telszewskiego stanowią fundum olbrzymiego klucz obejmującego kilkadziesiąt tysięcy dziesięcin i składającego się z kilkunastu folwarków, lasów oraz osobnego klucza odległego o kilka mil a leżącego w powiecie Telszewskim składającego się z Sałant z miasteczkiem i kilkunastu folwarków.

Retów leży nad rzeką Jurą . To kraj porosły odwiecznym borem oprznięty długim szeregiem jezior. Już wzmiankę o Retowie widzimy w umowie spisanej przez Władysława Warneńczyka z krzyżakami. W starej kronice widzimy że w Retowie były popisy szlachty żmudzkiej retowskiego powiatu. Za Zygmunta 1 należy Retów do dóbr stołowych kniaziów litewskich zaś Zygmunt 3-ci ustanawia tu nowe prawa , wznawia przywileje daje kościołowi nowe ziemie. Na sejmie 1661 roku starostwo retowskie dostaje Paweł Sapieha. Do kompleksu dobr przybywają nowe folwarki. Michał Sapieha i Izabela z Tarłów szczegulnie otaczają opieką ziemie i okolice Retowskie.

Na początku sejmu 1773 roku Stany Rzeczypospolitej dają Retów za zasługi Ksaweremu Ogniskiemu, zaś w r. 1812 nabywa już Retów na dziedzictwo ks Michał Ogiński. Po nim w Retowie jest syn jego Ireneusz Ogiński. Ten całe życie poświęca podniesieniu retowskich włości. Stawia kościół. Zakłada w r. 1859 szkołę agronomiczną, stwarza szkołę muzyczną i śpiewu. Za wodą staje pałac o strukturze włoskiej. Park ogromny i szklarnie otaczają cały dom. W pokojach mieszkalnych stare meble, zbroje, duży księgozbiór. Niestety w

paru słowach trudno opisać działalność ks Ireneusza i jego niepospolite zasługi nad podniesieniem dobrobytu i kultury wśród ludności żmudzkiej. Ireneusz Kleofas książe Ogiński ur w r. 1808 był jak powyżej synem Michała Kleofasa, podskarbiego litewskiego, autora pamiętników i kompozytora i Marji de Neri. Żonaty był dwukrotnie z Siostrami Józefiną i Olgą Kalinowskiemi przecudnej urody córkami generała wojsk Polskich . Olga była damą dworu małżonki cesarza Aleksandra 2-go . Nie od rzeczy będzie dodać, że pierwszy bank ludowy na Żmudzi powstał w Retowie założony przez ks Ireneusza. On że uwolnił włościan retowskich od postoju wojsk. był marszałkiem Rosieńskim i członkiem komitetu włościańskiego. Był nadto szambelanem dworu Cesarza Aleksandra 2-go ,

Ks Ireneusz pozostawił dwuch synów z drugiej żony Olgi-Bogdana syna naturalnego cesarza Aleksandra 2-go, urodzonego przed zamążpojściem za ks Ireneusza i Michała urodzonego już z małżeństwa. z księciem Ireneuszem.

Z tytułu swego pochodzenia ks Bogdan zajmował całkiem odrębne stanowisko od reszty szlachty litewskiej i korzystał z przywilejów przysługujących jedynie członkom rodziny cesarskiej.

Za życia księcia Ireneusza obowiązywała w Retowie prawie dworska etykieta, a nawet po jego śmierci książe Bogdan ożeniony z Potulicką korzystał z tych samych przywilejów i biada gubernatorowi, ktory by się zjawił do Retowa inaczej niż w galowym mundurze i przekroczył bez wyraźnego zaproszenia sień pałacu.

Książe Bogdan podobnie do księcia Ireneusza był głęboko przywiązany do Żmudzi i nieszczędził trudu i pieniędzy na podniesienie dobrobytu i oświaty wsrod ludu żmudzkiego , mówił też biegle po żmudzku. Założył w Retowie sławną orkiestrę , która co lato w

czasie sezonu kąpielowego grywała w sławnym nadmorskim kurorcie Tukum i Majorenhof pod Rygą.

Żywo interesując się rolnictwem i hodowlą ks Bogdan Ogiński był pierwszym który zwrócił uwagę na niezrównane zalety żmudzkiego konia i stał się poniekąd twórcą rasy Żmudzkiej.

Utrzymywał on w Retowie stadninę bułanych z czarną pręgą żmudzkich mierzynów składającą się z 40 ogierów i kilkudziesięciu matek.

Książe Bogdan Ogiński miał wielkie stosunki w Petersburgu , był wielkim ochmistrzem dworu a z tytułu swego pochodzenia mógł się rządzić dość autokratycznie , bowiem administracja miejscowa z gubernatorem na czele bali się go gorzej ognia, gdyż z natury był człowiekiem bardzo porywczym.

Brat jego książe Michał Ogiński pan na Płungianach , ożeniony z przepiękną Marją z hr Skórzewskich był natomiast człowiekiem bardzo spokojnym , skromnym i wybitnym administratorem i gospodarzem.

Nieszczęście chciało, że ks Bogdan Ogiński zmarł bezpotomnie i bez testamentu, pozostawiając na razie wrzystko wdowie Marji z hr Potulickich.

I tu zaczyna się dramat.

W kilka tygodni po śmierci księcia zjawia się niespodzianie zgoła nieoczekiwany i przez nikogo nie znany spadkobierca, który okazuje testament podpisany przez Nieboszczyka ~~i zapisujący wrzystko~~ Tym spadkobiercą jest jak mówiłem wyżej nikomu nieznany rosjanin, kamerjunkier dworu, senator Wonlanlarski.. Sprawa zaczyna nabierac rozgłosu. Ani wdowa po nieboszczyku, ani nikt z stojących blisko księcia sfer petersburskich nie słyszała z ust księcia tego nazwiska. Opierając się na testamencie ów Wonlanlarski uzyskuje sądowe zastrzeżenie na całość dobr retowskich.

Tymczasem wśród " towarzystwa Petersburskiego i sfer dworskich " zaczynają krążyć niedwuznaczne plotki kwestjonujące autentyczność testamentu.

W międzyczasie umiera wdowa ks Bogdanowa Ogińska. Po śmierci księżnej występują na scenę bliźsi i dalsi krewni jako prawi spadkobiercy i wszczynają proces o unieważnienie testamentu, twierdząc że testament okazany przez Wonlanlarskiego był sfałszowany.

Ze strony głównych spakobierców występują najbliźsi krewni zmarłego hr Załuski i hr Łubieński.

Ze strony spadkobierców wystąpili najsławniejsi przedstawiciele palestry polskiej między innemi prof. Włodzimierz Spasowicz.

Proces ciągnął się parę lat i skończył się fatalnie dla Wonlanlarskiego. Zostało dowiedzionem, że podpis księcia był sfałszowany przez tegoż Wonlanlarskiego , że wógole nie łączyły go ze zmarłym żadne stosunki nietylko przyjacielskie ale i towarzyskie i że cała sprawa była niczem innem jak bezczelnym oszustwem. Sąd obalił testament a prokurator wniósł wniosek o postawienie Wonlanlarskieg w stan oskarżenia i wniesienie sprawy do sądu okręgowego.

Na mocy wyroku Wonlanlarski został pozbawione szlachectwa, usunięty z senatu i skreślony z listy urzędników dworu i zesłany na roboty do Syberji.

Oprócz najbliższych krewnych Załuskich i Łubieńskich pojawiła się natychmiast cała falanga różnych dalszych krewnych jak to mówią " dziesiąta woda po kisielu " w rodzaju Łynarowiczów którzy opierali swoje prtensje do spadku jako że ich matka była z domu Dederko / siostra Biskupa Dederki / , czem się bardzo szczycili. Na czem polegało pokrewieństwo Dederków z rodziną ks Ogińskich, jeden Bóg raczy wiedzieć, bo nawet Łynarowicze nie mogli jakoś wyprowadzić [illegible] filjacji.

Po obaleniu testamentu wobec kiludziesięciu zgłoszeń spadkowych

sąd wyznaczył opiekę nad całością masy spadkowej, aż do czasu ustanowienia przez sąd kolejności pretensji. Sprawa ta zajęła dobrych kilka lat . Na opiekunów zostali wyznaczeni panowie Paweł Kończa, Aleksander Meysztowicz . Wincenty hr Łubieński administratorem zaś dóbr retowskich z ramienia opieki był Szymon Meysztowicz z Ludyna jeden z najwybitniejszych naszych rolników.

Wczesnym rankiem stanąłem na st Możejki. Pierwszą osobą z którą zetknąłem się na peronie był oczekujący mnie Szymon Meysztowicz.

- Rad jestem żem się ciebie doczekał- rzekł - mamy przed sobą długą
- drogę - chodźmy do sali restauracyjnej na śniadanie - a po tem
- jazda. Będziesz miał nielada uciechę podróżując rozstawionemi końmi
- do Retowa , a uśmiejesz się z naszych zaprzęgów.

Przed budynkiem stacyjnym oczekiwała nas czwórka dobranych, jak jeden, krępych bułanych mierzynków ogierów.

Na koźle siedział wyprostowany siwy stangret ubrany w płaszcz liberyjny i takąż czapkę ozdobioną mitrą książęcą.

Przy każdym koniu stał z boku człowiek trzymając konia za cugle.

Gdyśmy siedli do powozu a tragarze umieścili nasze walizki, stangret zwrócił się do Meysztowicza i uchyliwszy kaszkietu spytał po żmudzku

- Ponej galima ważuoti / Panie czy można ruszyć /
- Ważuok / jedź/ rzekł Meysztowicz.

Stangret zebrał lejce wziął w ręke bat i zawołał

- Łajskiet / puszczajcie /

Na tę komendę ludzi w jednej chwili ustąpili na bok.

Czwórka stanęła dęba i głośnym rżeniem i wierzganiem ruszyła galopem po bruku miasteczka.

Na widok rozpędzonej czwórki wrzystko co żyło umykało ile sił w nogach

Powóz skakał jak piłka po kamieniach bruku. Wśród głośnego rżenia wizgu tententu [illegible] kopyt końskich wylecieliśmy wreszcie z ulic miasteczka i wpadlismy na szeroki mięki trakt.
Odetchnęlismy z ulgą.
Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.
Rozpędzone konie gnały jeszcze dobrych 5 wiorst, poczem dopiero zwolniły tempo i przeszły w kłus.
- Jak widzisz to nasza retowska kawalerska jazda - rzekł Meyszto-
- wicz - tradycja pozostawiona przez księcia Bogdana.
- Mamy osiem czworek takich bułanych żmudzkich ogierów. Żelazne i
- niezużyte są to konie ale złe brykliwe i gryźliwe.
- Trzeba zaprzęgać z całą ostrożnoscią i umiejętnością i przez
- cały czas zaprzęgania trzymać dobrze w ręku, bo inaczej w jednej
- chwili cała czwórka zmieni się w jedno kłębowiska wierzgających
- i gryzących się wzjamenie koni. Rzecz oczywista, że uprząż będzie
- w takim wypadku porwana na kawałki, a konie mogły by się poważnie
- pokaleczyć wzajemnie. Zwykle dopiero w ostatniej chwili przycze-
- piamy szleje do orczyków , bo gdyby się nie daj Boże wyrwały z rą
rąk i poniosły - [illegible] a z powozu zostałyb drzazgi.
- Natomiast po przejechaniu pierwszych dwudziestu wiorst stają się
- potulne jak baranki.
Podziwiałem wytrzymałość tych koni przelecieliśmy te 20 kilometrow w dobrą godzinę a gdyśmy stanęli przed zajazdem w miasteczku Siadach nie było na nich czuć śladu zmęczenia , były suche i wcale nie robiły bokami.
Wysiedlismy na chwilę z powozu, aby rozprostowac kosci. Zaledwiesmy siedli z powrotem a na komende trzymający ludziska odskoczyli na bok, powtorzyła się ta sama historja a więc, pierwsze 5 kilometrów galopu a potem 20 kilometrow kłusa aż do następnej zmiany koni

Dzien był cichy szare niebo jesienne wisiało nisko nad Żmudzią. W powietrzu czuć było zwiędłym liściem zmieszanym z dymkiem ciągnącym po polach od ogni pastuszych.

Przeleciały już dawno żurawie , nisko ciągneły ostatnie spóźnione stada dzikich gęsi napełniając powietrze swym głośnym gęganiem, czasem z pobliskich krzakow zrywało się z hałasem czarne stadko kogutów cietrzewich i obsiadało przydrożne brzozy.

Po drodze spotykaliśmy parokonne wózki chłopskie zaprzężone w tęgie bułane żmudzkie mierzynki.

Chłopi pozdrawiali nas staroświeckim

" Tegul bus pagarbintas / Niech będzie pochwalony /

Na co odpowialismy sakramentalnym ) Ant amžiu amžius / na wieki wieków/

Anim się obejrzał, gdyśmy stanęli przed dworem w Sałantach. Rządca Sałant, poczciwy żmudzin zatrzymywał nas gwałtem na gorące śniadanie. Wyszła rownież i sama pani rządczyni przemawiając nam do serca, abyśmy jej nie robili dyshonoru i konfuzji.

Stanęło wreszcie na tem, żesmy wstąpili na kieliszek jakiejś świetnej ale haniebnie mocnej nalewki i przękąsili półgęskiem i rzodkwią w śmietanie ktorej smaku długo nie zapomnę, taka była wyborna.

Siedliśmy wreszcie do powozu i z równym ceremonjałem ruszyliśmy do Retowa.

Sałanty należały ongiś do rodziny Nałęcz Gorskich, z nich bracia starosta i kasztelan Gorscy w wieku 18 wznieśli tu piękny pałac i założyli sławną bibljotekę. następnie Sałanty zostały nabyte przez księcia Ireneusza Ogińskiego. Kosciół w Sałantach fundowany w r. 1630 przez Mikołaja Passanowskiego i Stanisława Woynę , których grobowce znajdują się w kościele.

Droga nasza prowadziła na Płungiany. Nie zajeżdżaliśmy jednak do pałacu gdyż w owym czasie księżna Marja Ogińska wdowa po ks Michale

zmarłym w roku 1900 bawiła w on czas w Wilnie.

Przeprzęgnięto nam konie, które z niemniejszą energją poniosły nas szrokim żmudzkim traktem ku Retowu.

Krótki dzień jesienny miał się ku końcowi, mrok zapadał nad ziemią gdyśmy zajechali przed pałac retowski.

Była to obszerna długa budowla wzniesiona w początkach 19 stulecia w stylu włoskim.

- Umieściliśmy ciebie jako honorowego gościa w pałacu, ja mie-
- szkam obok w sąsiedniej oficynie gdzie się mieści administracja.

- Proszę zabrać rzeczy J.Pana - rzekł Meysztowicz do starego siwego służącego ubranego w kurtkę liberyjną.

- Za pół godziny przychodzę po ciebie na kolację , tymczasem zagość popodarz się w swoim pokoju.

Weszłem do olbrzymiej sieni z galerją dla orkiestry. Wnętrze pałacu tonęło już w mroku. Poprzedzany przez służącego z kandelabrem w ręku i chłopca pokojowego niosącego moje walizki, przeszdłem przez labirynt salonów pokoi i korytarzy i znalzłem się wreszcie w obszernej komnacie o wielkich oknach i kominku na którym paliły się kłody drzewa . Służący zapalił lampę i świece w dwuch wielkich srebrnych kandelabrach. W rogu stało olbrzymich rozmiarów łoże przygotowane już na noc.

Jak to bywa w starych dawno niezamieszkałych domowstwach tchnęło tą specyficzną nieprzyjemną stęchlizną, w której zawsze wyczuwa się coś jak by zapach trupi.

Na pięknie malowanych sufitach pełno było zacieków, sufit był w środku podparty grubym świeżo ostruganym sosnowym słupem - były to ślady okresu bezpańskiego, zanim opieka nie przejęła administracji Retowa.

Ściany były ozdobione jakiemiś malowidłami przypominającemi flamandzką szkołę, oprawionemi w poczerniałe od starości złocone ramy.

Służący rozpakował [illegible] moje walizki i rozwiesił ubranie
- Kto wie czy J. Panu nie będzie tu czasem markotno, deklarowałem
- panu Administratorowi, że czy nie lepiej było by zakwaterować
- J. Pana w oficynie, ale nasz rządca pan Niemczynowicz był wszy-
- stko pokręciwszy gadając że niewypada gościa zalokować w ofi-
- cynie.
- Tu w pałacu tak teraz nikt nie mieszka i nie nocui. tak w jakim
- zdarzeniu trzeba zagwizdać przez okno na ponocnego . Gwizdulka
- tu leży przy łóżku na stoliku nocnym.

Zacząłem pogawędkę ze służącym o starych dobrych czasach, gdy usły szałem zbliżające się kroki i w drzwiach ukazał się Szymon Meysztowicz.

- Przychodzę zabrać cię na kolację - rzekł - wybacz za ulokowanie
- Cię tutaj poplątano moje dyspozycje i przez zbytnią gorliwość
- umieszczono cię w pałacu. Nie jest to przyjemnie nocować samemu
- w tym niezamieszkałym budynku. Kilka lat bezpańskości zrobiły
- swoje dopiero od niedawna rozpocząłem gruntowny remont , ale
- to potrwa dłużej.
- Na jutro będziesz miał przygotowany pokoj w oficynie, a za dzisiejszą noc wybacz Mam nadzieję że będziesz spał spokojnie

Po przez labirynt pokoi wydostaliśmy się do sieni i przeszli do sąsiedniego dwupiątrowego budynku, gdzie się mieściła administracja. W sali jadalnej zastałem hr Wincentego Łubieńskiego, rządcę retowskiego pana Niemczynowicza i leśniczego czecha, którego nazwiska nie pamiętam .

Funkcje gospodyni domu pełniła pani Niemczynowiczowa a sądząc z doskonałych wędlin, nalewek, świetnego barszczyku i fantastycznej pieczonej gęsi była niepośledną gospodynią.

Rozmowa toczyła się o różnych interesujących mnie sprawach

Ułożylismy program dnia następnego a po czarnej kawie i cygarach odprowadził mnie Meysztowicz razem z hr Lubieńskim do pałacu.

Gdym pożegnał moich gospodarzy i pozostałem sam, poczułem się nie bardzo wyraźnie. Mimo zapalonej lampy i kandelabrów olbrzymi pokoj tonął w pół mroku , dogorywające na kominie kłody rzucały jak jakieś tańcujące czerwone blaski po ścianach, z za okien z czarnych otchłani nocy dochodziły raz wraz hukania puszczyków.
Położyłem się do łóżka , Mimo zmęczenia sen odbiegał powiek. Zgasiłem lampę i kandelabry pozostawiwszy jedynie palącę się świecę na nocnym stoliku. Wśród ciszy nocnej pusty dom zaczęł się raptem ożywiać. Początkowo były to tylko niewyraźne szmery, które stawały się coraz śmielsze coraz głośniejsze.

Coś chrobotało nad sufitem i pod podłogą - zapewne szczury- pomyślałem sobie- następnie usłyszałem jakieś trzaski, jakies odgłosy dochodzące z odległych pokoi, jakby skrzypienie podłóg i szelest otwieranych drzwi, usłyszałem wyraznie jakieś kroki,to przybliżające się do mego pokoju , to oddalające.
Byłaż to halucynacja ?
Wytężyłem słuch wyaraźnie ktoś przesuwał w sąsiednim pokoju meble Starałem się odwrócic moją myśl i zacząłem czytać jakis nowy romans de Croisset- na próżno .
Wstałem z łożka i dorzuciłem kolka szczap do kominka. Na chwilę wrzystko zacichło po kilku minutach ciszy dom znowu zaczął się ożywiać. Dogorywający ogień na kominku zapłonął na nowo . Hałasy stawały się coraz głośniejsze. Spojrzałem na zegarek była druga po północy. Tak zeszła mi cała długa noc, zasnąłem dopiero nad ranem błogosławiąc w duchu pana Niemczynowicza .

Rozbudziło mnie pukanie do drzwi.

Był to służący ze śniadaniem.

Przywitawszy się ze mną spytał jak spałem.

Opowiedziałem mu o mojej bezsennej nocy.

- Ja tak i miarkował co J.Pan nie zaśnie , tu teraz w pałacu hanie-
- bnie straszy , służba żeby jo kto ozłocił , tak nie będzie tu
- przebywać w nocy. Wiadomo dom pusty, tak wraz rożne strachy zagnie
- zdzili się - skonczył filozoficznie.
- Wraz lokajczuk i dziewczyna przynioso wody gorącej do mycia i go-
- lenia.
- A co na dworze -? spytałem
- Miarkuje sie niby na śnieg - odrzekł - wiadomo koło wrzystkich
- Swiętych tak podwórz zawsze obojętny, albo snieg albo lijundra.

Skonczywszy ze śniadaniem ubrałem się i pospieszyłem do oficyny.
Zastałem Szymona Meysztowicza w jego gabinecie pochylonego nad pla-
nami.
Przed domem stała już gotowa do drogi bryczka zaprzężona w parę
żmudzkich bułanych wałachów.

- Jak spałeś - spytał Meysztowicz.
- Przyznam się że nie bardzo - odrzekłem i kląłem wes z żywe kamie-
- nie.
- No to dziś będziesz już miał noc spokojną, obawiam się tylko,
- że stary gaduła Niemczynowicz gotów cię zamęczyć na śmierć swemi
- opowiadaniami
- Przeciwnie-rzekłem,-kocham się w takich opowieściach.
- No zobaczymy - rzekł Meysztowicz - konie czekają radzę włożyć
- dubelty bo pogoda niewyraźna a przecież za kilka dni Wrzystkich
- Swiętych.
- Otuliwszy się w burki sławuckie i okrywszy nogi baranicą ruszy-
liśmy w drogę.

Dzień był szary , po niebie kłębiły się ciężkie ołowiane chmury zwiastujące śnieżycę. Stada wron ciągnęły z lasów i obsiadywały z głośnym krakaniem pola na które właśnie wywożono nawóz.

- Miałem urwanie głowy - rzekł mój towarzysz , bo wszystko znalazłe - w stanie ostatecznej ruiny. ale muszę się pochwalić, żem doprowa- - dził folwarki już do jakiegoś względnie porządku.

Rzeczywiście folwarki były już odbudowane i śniły nowemi dachami i białością świeżo odremontowanych ścian. Wszędzie wyczuwało się dyscyplinę ład i porządek i rękę pierwszorzędnego administratora jakim był Meysztowicz.

- Dnie są krótkie- rzekł Szymon- szkoda czasu na powrót do domu - na śniadanie. Przekąsimy więc po drodze, a mam nadzieję że z - głodu nie umrzemy - pokazując ręką na kopiasty kosz umieszczony - obok stangreta.

Było już dobrze popołudniu gdyśmy zatrzymali na popas w jednym z folwarków. Znaleźliśmy wszystko przygotowane na nasze przyjęcie stół nakryty wzorzystym białym żmudzkim obrusem i ~~[illegible]~~ obok na stoliku kipiący samowar.

Po wypiciu paru dobrych kieliszków starki zasiedliśmy za wędliny ser, roladę z prosięcia i doskonałą pieczoną kurę.

Na rozgrzewkę wypiliśmy parę szklanek herbaty zakąsując kruchemi ciastkami z których wyrobu słynie nie jeden dom na Żmudzi.

Skończywszy śniadanie zapaliliśmy cygara i siedli znowu do bryczki. Wjechaliśmy w lasy retowskie w których obok świerków sporo było dębów, osiki jesionów z domieszką brzozy.

Lasy stały już nagie prawie ogołocone z liścia , tylko dęby czerwieniały jeszcze ostatkami swej jesiennej pozłoty. Czuć było w powietrzu tym osobliwym oddechem późnej jesieni tak drogim sercu myśliwego.

Mrok zapadał powiał, wiatr niosąc mokre płaty śniegu. Zanim wrócilismy do Retowa nastała śnieżyca , wysiedliśmy z bryczki pokryci grubą warstwą śniegu . Służący musiał nas dobrze otrzepac zanim zdjęliśmy nasze burki. Z przyjemnością znalazłem się w dobrze dogrzanym i oświetlonym pokoju gościnnym. Spędzenie drugiej nocy bezsennej w pałacu, bynajmniej mi się nie uśmiechało. Po doskonałej wieczerzy zasieliśmy przed kominkiem przy kawie i cygarach / były to jeszcze dobre czasy i człowiek nie zatruwał sibie papierosiskami / w towarzystwie hr Łubieńskiego , pana Niemczynowicza i czecha nadleśnego.

Szymon Meysztowicz miał rację w czasie mego dwutygodniowego pobytu w Retowie, Pan Niemczynowicz codzień zabawiał nas opowiadaniami o dawnych czasach , a repertuar jego był zgoła niewyczerpany. Miłym towarzyszem a nie mniejszym oryginałem był hr Wincenty Łubienski. Był to człowiek bardzo oczytany o wszechstronnych zainteresowaniach , sporo podróżował . Te jego zalety jakoś nie szły w parze z zewnętrznym wyglądem i trochę zadaleko posuniętą abnegacją w ubraniu i niechęci do wody mydła i szczotki. Mieszkał on na stałe w swoich dobrach poleskich a być może że to właśnie Polesie wycisnęło swoje piętno na wyglądzie zacnego pana Wincentego.

Dnia następnego gdym po przebudzeniu wyjrzał przez okno, wrzystko było białe. Słońce świeciło jasno, śnieg mrużył oczy.

Mieliśmy trudną drogę, bo mokry śnieg oblepiał koła i krzepł pod kopytami końskiemi. Musielismy w ciągu dnia zmieniać kilka razy konie, zanim dojechaliśmy do najbardziej oddalonych folwarków leżących aż hen pod Gorżdami.

Ze względu na śnieg pokrywający pola , nie mogłem dokładnie otaksowac gruntów , ale dzięki świetnej znajomości terenu przez Szymona Meysztowicza mogłem całkowicie polegać na jego wskazówkach.

Mrok zapadał powiał, wiatr niosąc mokre płaty śniegu. Zanim wróciliśmy do Retowa nastała śnieżyca , wysiedliśmy z bryczki pokryci grubą warstwą śniegu . Służący musiał nas dobrze otrzepać zanim zdjęliśmy nasze burki. Z przyjemnością znalazłem się w dobrze dogrzanym i oświetlonym pokoju gościnnym. Spędzenie drugiej nocy bezsennej w pałacu, bynajmniej mi się nie uśmiechało. Po doskonałej wieczerzy zasieliśmy przed kominkiem przy kawie i cygarach / były to jeszcze dobre czasy i człowiek nie zatruwał sibie papierosiskami / w towarzystwie hr Łubieńskiego , pana Niemczynowicza i czecha nadleśnego.

Szymon Meysztowicz miał rację w czasie mego dwutygodniowego pobytu w Retowie, Pan Niemczynowicz codzień zabawiał nas opowiadaniami o dawnych czasach , a repertuar jego był zgoła niewyczerpany. Miłym towarzyszem a nie mniejszym oryginałem był hr Wincenty Łubienski. Był to człowiek bardzo oczytany o wszechstronnych zainteresowaniach , sporo podróżował . Te jego zalety jakoś nie szły w parze z zewnętrznym wyglądem i trochę zadaleko posuniętą abnegacją w ubraniu i niechęci do wody mydła i szczotki. Mieszkał on na stałe w swoich dobrach poleskich a być może że to właśnie Polesie ~~pmmmmmmmmm~~ wycisnęło swoje piętno na wyglądzie zacnego pana Wincentego.

Dnia następnego, gdym po przebudzeniu wyjrzał przez okno, wrzystko było białe. Słońce świeciło jasno, śnieg mrużył oczy.

Mieliśmy trudną drogę, bo mokry śnieg oblepiał koła i krzepł pod kopytami końskiemi. Musielismy w ciągu dnia zmieniać kilka razy konie, zanim dojechaliśmy do najbardziej oddalonych folwarków leżących aż hen pod Gorżdami.

Ze względu na śnieg pokrywający pola , nie mogłem dokładnie otaksować gruntów , ale dzięki świetnej znajomości terenu przez Szymona Meysztowicza mogłem całkowicie polegać na jego wskazówkach.

Spisanie inwentarza i oszacowanie miałem znacznie ułatwione dzięki wzorowej rachunkowości zaprowadzonej przez Meysztowicza.
Anim się spostrzegł jak minęło parę tygodni od dnia mego przyjazdu, pobyt moj przedłużył się jeszcze na tydzień z powodu oszacowania Sałant , oddzielnego klucza wchodzącego w skład dóbr retowskich

Pozostał mi w pamięci ten wyjątkowo miły stosunek z ludnością tak cechujący naszą Św. Żmudz i Litwę. Charakteresytycznem było tu ogólny szacunek i powiem przywiązanie do rodziny Ogińskich a szczegulnie dla księcia Ireneusza i jego syna księcia Bogdana.

Nawet w tak delikatnych sprawach, jak sprawy serwitutowe ludność miejscowa wykazywała daleko idącę a niespotykaną w innych częściach kraju uczciwość i bezinteresownosc.. Lud tu zamożny siedzący od pokolen na oddzielnych pięknie zagospodarzonych folwarkach. Posagi wypłacane córkom w razie ich zamążpojścia sięgające kilku tysięcy rubli, należały do rzeczy zwyczajnych.
Widziałem też że Meysztowicz cieszył się wielką sympatją ludności. Po drodze zapraszano nas wszędzie i gdybyśmy zechcieli korzystać z goscinnosci pobyt moj w Retowie przedłużył by się na parę miesięcy.
Jednego razu nie oparliśmy się pokusie i skorzystaliśmy z zaproszenia majętnego gospodarza a jednocześnie sławnego na cały powiat rosienski snycerza męki Panskiej, Wzorzystych Krzyży i figury sw. Jana. Taki syncerz na Żmudzi i Litwie zwie się Diewadirbis / dosłownie Diewas - Bog - , dirbis - wykonawca - robotnik /
Zastalismy go przy warsztacie w obszernej izbie, zawalonej figurami męki panskiej i sw. Jana / figurę sw. Jana siedzącego smutnie ze zwieszoną głową zwą na Żmudzi " smutnialis "./
Zaproszono nas do sąsiedniej izby. Stół był nakryty śnieżno białym obrusem - a czego tam na stole nie było i twarog ze śmietaną i bliny ze skwarkami i różne kiełbasy i pierog z rodzynkami . . no i naturalnie butelka bardzo mocnego krupniku.

[illegible], ledwie mieliśmy siłę wstac od stołu i usadowic się w bryczce . Nasz milczący dyskretnie stangret po tym przyjęciu stał się bardzo rozmownym. Szczesliwie było to pod koniec naszej dziennej roboty inaczej mielisbysmy na sumieniu stracony dzien.

Ukonczywszy rozjazdy zasiedlismy z Meysztowiczem od zestawienia całego szacunku. Wyniosł on około 4 miljonow rubli , sumy bardzo jak na owe czasy pokaznej nie mowiąc o leżących w banku panstwa 600.000 rubli w gotowce.

W czasie mego pobytu w Retowie miałem możnosc podziwiac repertuar pana Niemczynowicza ktory co wieczor bawił nas swemi opowiadaniami Chociaż zasięg tych opowiesci nie przekraczał granic powiatow rosienkiego, telszewskiego i szawelskiego tem nie mniej te opowiesci były bardzo interesujące.

Niestety zaledwie kilka z tych opowiadan pozostało mi w pamięci i im to poswięcam następujący roddział moich wspomnien.

W pierwszej połowie Listopada opuscłem Retow i w towarzystwie Szymona Meysztowicza wyjechałem z powrotem do Wilna.

Tym razem jechalismy krotszą drogą na Kalwarję Żmudzką położoną w pagorkowatej częsci powiatu Telszewskiego .

Miałem ochotę zajechac do hr Choisela syna mojej bliskiej krewnej Zofji z hr Czapskich niestety interesa wzywały mnie co naj prędzej do Wilna. Płotele leżały o 8 wiorst w bok traktu.

Ta odwieczna osada położona w powiecie Telszewskim nad jeziorem płotelskim gdzie według podania Palemon z rzymianami przybył.

Zamek płotelski dawno zniszczał. Niegdys starostwo będące w dzierżawie krolowej Bony. Kosciol tu fundowany w r. 1597 przez Zygmunta -3go . W owym czasie Płotele należały jak mowiłem wyżej do kuzyna mego hr Ludwika Choiseul Gauffier.

Kalwarja Żmudzka będące miejscem pielgrzymek zwana dawniej Gordy leży w okolicy Telsz. Jerzy Tyszkiewicz biskup żmudzki w r.1642

osadził tu domonikanów i fundował kalwarję. Dominikanie uposażeni przez Antoniego Tyszkiewicza, otworzyli tu szkołę co synod w r1752 za wielką poczytywał zasługę / opisał to Michał Bardowski w dziele niesłychanej rzadkości " Fax Nova Wilno 1645./

Na wieczór stanęlismy w Możejkach i w oczekiwaniu nadejścia pociągu usiedliśmy za kufelkiem piwa w sali bufetowej.

Naprzeciwko siedział jakis zażywny pan w towarzystwie mołdej przystojnej Pani. Zaczął się mnie przyglądać i podszedł aby się przewitać . Poznałem w nim mego dalekiego kuzyna i młodszego kolegę z Arkonji Zygmunta Rymgayłłę właściciela majątku Gilwicze pod Kurszanami. Przedstawił mnie swojej żonie z domu baronownie von Transee.

Niestety jak się w kilkanaście lat potem dowiedziałem, Zygmunt ani jego małżonka nie przysporzyli zaszczytu tej starej Żmudzkiej rodzinie. Jeden z przodków Zygmunta - Rymgayłło brał udział w owej sławnej szarży pod Somosierą. Zygmunt się podobno rozpił i bardzo zle gospodarzył.

Wreszcie nadszedł upragniony pociąg. Ulokowaliśmy się z Meysztowiczem w przedziale pierwszej klasy i przespaliśmy snem kamiennym aż do rano to jest do samego Wilna.

# OPOWIEŚCI PANA NIEMCZYNOWICZA

Jakem wspomniał w poprzednim rozdziale za czasów mojej bytności w Retowie rządcą Retowa był pan Niemczynowicz, szlachcic z powiatu Telszewskiego i dawny zaufany sługa księcia Bogdana Ogińskiego.

W czasie mego tam pobytu jesienią roku 1912 spędzaliśmy wieczory w towarzystwie Szymona Meysztowicza, głównego administratora dóbr Retowskich, hr Wincentego Łubieńskiego i milczącego nadleśnego czecha, którego nazwiska nie pamiętam, słuchając przy kominku opowiadań pana Niemczynowicza.

Pogadanki zaczynały się zwykle od przekomarzania pana Niemczynowicza z milczącym czechem, który w rzadkich wypadkach zabierał głos, o ile nie chodziło o sprawy związane z lasem lub zwierzyną.

- Panie Jałowiecki-mówił zwracając się do mnie pan Niemczynowicz,
- Ci Czesi to narod akuratny i pracowity, ale w głowie to u nich
- „knedle", a język ich bardzo niepolityczny wszak narzeczony po
- czesku nazywa się " pridupnik " tak czego od nich można spodzie-
- wać się.
- Niech pan jego nie słucha - odparł zgorszony czech, to co pan
- Niemczynowicz ma na myśli , po czesku nazywa sie " pprdl "
- polskie słowo bułka to po czesku też brzmi bardzo nie politycznie
- Już jak jest, tak jest, ale zawsze ja wole polską bułkę od wa-
- szego , z przeproszeniem panów, „pprdla".
- Nie gadaj pan panie Niemczynowicz o rozumie, bo i sam wielkiego
- nie posiadasz , choćby jak wczoraj zakwaterowawszy pana Jałowie
- ckiego w pałacu , tak że nawet jakoby całą noc nie spał.
- Każdemu może przytrafić się omyłka , kto z nas nie bez grzechu.
- Przypomnij pan sobie jak dwa lata temu na polowaniu stałem bli-
- sko pana na stanowisku a wilk prosto szedł na mnie ale jak
- poczuł pańskiego pprdla tak z miejsca dał petle i poszedł w las

tyle jego i widzieli.

Strach to każdemu może sie przytrafić , pamiętem kiedyś i mnie całą noc straszyło a jeżeli państwo ciekawi to opowiem ta cała zdarzenia.

Prosimy , prosimy zawołaliśmy z Łubieńskim.

S t r a c h y w B r z o s t o w i c y

Było to musić jakie 10 lat przed śmiercią ś.p. księcia Bogdana Ogińskiego. - zaczął swe opowiadanie pan Niemczynowicz.-

Nieboszczyk książe zawołał mnie którego dnia do siebie i powiedział.

- Niemczynowicz, wybierajsie bracie w daleka droga , pojedziesz w
- interesie do grafów Kossakowskich do Brzostowicy wielkiej aż do
- gubernji grodzieńskiej , weźmiesz list i masz przywieźć to co to-
- bie wręczą. Dla wrzystkiego czego zabierz z sobą kogo z administra
- cji, choćby Wołejkę ekonoma z folwarku " Błogosławieństwo ,"
- Pocałowałem ręke księcia i na drugi dzień wybrali sie my w ta
- daleka droga. razem w Wołejką. Wołejko był to człowiek bywały,
- doświadczony co to jak to mówią " palców jemu między zęby nie
- kładnij."
- Różne my mieli w drodze ambarasy , bo i przesadka w Wilnie i jeszcze na innej stacji, słowem dopiero na trzecia sutka dojechali
- my do Brzostowicy.
- Podjechali my pod oficyna i poszli do pałacu. Pałac w Brzostowicy nie ma co gadać piekny , ale jemu nie przyrównać do naszego
- retowskiego . Weszli my nibyto od kredensu i jak raz natkneli się
- na znajomo ochmistrzynie panne ELEONORE Butkańcowne co dawniej
- była w Retowie a potem grafy Kosskowscy uprosili księcia żeby jo
- odpuścił do Brzostowicy , bo chcieli dostać nasza żmudzinka , bo
- rożne warszawskie gospodynie to im bardzo nadojedli i chcieli mieć akuratna osoba. Bardzo książe spoczątku na cała ta spekulacja
- nasrożył sie, ale potem dla krewniaków ta "ochfiara" swoja złożył.

Jednym słowem panna Eleonora pojechała płacząc do Brzostowicy , ale
- już teraz tak music kilkanaście lat tam służy i chwali, choć jej
- czasem bardzo markotno za swojo strona.
- Kiedy panna Eleonora nas zobaczyła tak wprość gębe ze zdziwienia ot.
- worzyła a potem kiedy nie zapłacze i dawaj całować i mnie i Wołejkę
- zaczęli my między sobą gadać po naszemu, a ichnia służba tylko słucha
- co to za język .
- Kiedy my już dobrze rozczulilisie pytam ja panny Eleonory , czy
- graf Kossakowski jest w ta pora w Brzostowicy , bo książe dał mnie
- list i kazał oddac samemu grafu .
- panna Eleonora tylko w rączki zaklaskała . Ot mowi sama nieszczęsci
- grafy, dziś rano wyjechali do ciepłych wód , waszmościowie spóźnili
- sie jakie trzy godziny.
- Patrzym my z Wołejko jeden na drugiego jak durnie.
- Prawda powiedziec to mogli my jaka sutka wcześniej przyjechać, le
ale wstyd gadac. Na stacji Baranowicze zbuntowali my na czysto
- pociągi i wsiedli w fałszywy pociąg i pojechali w druga strona.
- Jednym słowem przyszło sie wysiąść na trzeciej stancji i czekać
pociągu co by nas z powrotem do Baranowicz odstawił. Jedno z drugim
- zmitrężyli my jakie 12 godzin i ledwo dziś dopełzli my tutaj.
- Wyszli my na durniów, niema co gadac.
- Kiepsko bracie - mówie ja do Wołejki co teraz robić. Książe będzie
- haniebnie swarzyć sie, że my takie "abłauchy" i taka omyłka zrobili.
- Dziś już późno - mówi panna Eleonora , wyśpijcie sie do jutro i
- pomyślim co robić , a teraz prosza na kolacja -
Poczęstowała nas panna Eleonora akuratnie, bo i kucharz był nam znajo
- my. Kiedyści nawet był kuchcikiem w Retowie , potem panna Eleonora
- jego zabrała do Brzostowicy, a graf Kossakowski był jego wziowszy do
- Warszawy na praktyka i tam nauczyłsie robić rożne blamansze i rożn
- potrawy ~~gastronomiczne,~~ jak to mówio " astronomiczne" potrawy

Jednym słowem panna Eleonora pojechała płacząc do Brzostowicy , ale
- już teraz tak music kilkanaście lat tam służy i chwali, choć jej
- czasem bardzo markotno za swojo stroną.
- Kiedy panna Eleonora nas zobaczyła tak wprość gębe ze zdziwienia ot-
- worzyła a potem kiedy nie zapłacze i dawaj całować i mnie i Wołejkę
- zaczęli my między sobą gadać po naszemu, a ichnia służba tylko słucha
- co to za język .
- Kiedy my już dobrze rozczulilisie pytam ja panny Eleonory , czy
- graf Kossakowski jest w ta pora w Brzostowicy , bo książe dał mnie
- list i kazał oddac samemu grafu .
- Panna Eleonora tylko w rączki zaklaskała . Ot mowi sama nieszczęści
- grafy, dziś rano wyjechali do ciepłych wód , waszmościowie spóźnili
- sie jakie trzy godziny.
- Patrzym my z Wołejko jeden na drugiego jak durnie.
- Prawda powiedziec to mogli my jaka sutka wcześniej przyjechać, le
ale wstyd gadac. Na stacji Baranowicze zbuntowali my na czysto
- pociągi i wsiedli w fałszywy pociąg i pojechali w druga strona.
- Jednym słowem przyszło sie wysiąść na trzeciej stancji i czekać
pociągu co by nas z powrotem do Baranowicz odstawił. Jedno z drugim
- zmitrężyli my jakie 12 godzin i ledwo dziś dopełzli my tutaj.
- Wyszli my na durniów, niema co gadac.
- Kiepsko bracie - mówie ja do Wołejki co teraz robić. Książe będzie
- haniebnie swarzyć sie, że my takie "abłauchy" i taka omyłka zrobili.
- Dziś już późno - mówi panna Eleonora , wyśpijcie sie do jutro i
- pomyślim co robić , a teraz prosza na kolacja -
Poczęstowała nas panna Eleonora akuratnie, bo i kucharz był nam znajo
- my. Kiedyści nawet był kuchcikiem w Retowie , potem panna Eleonora
- jego zabrała do Brzostowicy, a graf Kossakowski był jego wziowszy do
- Warszawy na praktyka i tam nauczyłsie robić rożne blamansze i rożn
- potrawy ~~gastronomiczne,~~ jak to mowio " astronomiczne" potrawy

powieczerzawszy, podziękowali my pannie Eleonorze .

- Idzcie waszmosciowie spać - mowi panna Eleonora , bo music dobrze

- przymęczyliśie, wraz Joziuk odporowadzi państwa na kwatera.

- Przeszli my cały pałac i poszli schodami aż na góra gdzie nam byli

- pokoj przynarowili.

- Nie bardzo nam w smak przyszła taka fanaberja, żeby w pustym połacu

- nocować, tak dla wrzystkiego czego pytam sie ja kucharza Jozuka

- Powiedz bracie a czy przypadkiem tu u was nie straszy.[2]

- Spijcie panowie spokojnie, jak kiedy tak nie straszy.

- Myśle sobie, słaba pociecha. Pożegnali się my z Józukiem pomodlili

- się i położyli kużden na swoje łożko.

- Dla jakiego zdarzenia, przeżegnałam ja cztery kąty i miarkuje już

- zasnąć, ledwo ja oczy zmrużyłem, słysze jak ktośi jak by za oknem,

- czy może w piecu barabani.

- Pytam sie ja Wołejke , ci czujesz .

- A jakże czuje mówi Wołejko ktośi barabani.

- Zacieplłam ja świeca , przestało barabanić, obejrzałem izba , nikogo

- nie ma , otworzyłem drzwiczki od pieca i przeżegnałam , jakośi

- wrzystko cicho.

- Ledwo ja zadusiłem świeca kiedy słysze znów barabani.

- Pytam sie ja Wołejki , cośi straszy. A jej straszno mówi Wołejko,

- a sam głowa pod poduszka.

- Zacieplłam świeca znów wrzystko ucichło.

- Tak czy panowie powierzycie cała my noc z Wołejko przemęczylisia.

- Palim my świeca, wstali my z łóżka chodzim po pokoju , modlitwa która

- pamiętam odprawuim. Puki my chodzim i modlimsie wrzystko cicho, ale

- jak my zacichniem wraz ktośi barabani. do tego koło północy cośi

- zaczęło gęgac i głos gęsi podawać.

Jednym słowem zasnęli my już wo kurach . Nie słyszałem ja więcej żeby ktości barabanił musić nadeszła poranna godzina, a do tego Wołejko kiedy zachrapał tak każdy inny głos swoim chrapaniem zadławił. Przespali my nawet ranna msza, bo chcieli być w kosciele . Dopiero Józef przyszedł nas rozbudzić.

Opowiedzieli my jemu cała ta zdarzenia a on, cipun jemu na język, tylko kiedy nie zacznie śmiać sie , aż mnie złość wzięła haniebna.

- Czegu durniu śmiejesz sie , mówie, tu katolikowi spać nie daje a
- on jeszcze śmiei sie.
- Nie majcie panowie w gniewie , ale to żadne strachy. wczoraj og-
- rodniczuk w sadzie zająca żywego złowił , tak ja jego pod baleje
- na noc położyłem tak on i barabanił a co gęsi głos, to wczoraj
- gęsiuka my wybrali dla panstwa na dziś na obiad.
-- Żeby ciebie na rojsty mówie ja do Józiuka, nie gadaj nikomu
- bo nas na durniów wyprowadzisz.
- Ale coż takiemu gadac, to co groch o ściana. Zaraz cały dwór o
- tem wiedział i kużdy z nas śmiał się pod nosem, a najgorzej to
- lokaj . Panna Eleonora także kilka żartów z siebie wypuściła.
- Po śniadaniu radzim sie my z panno Eleonora co robić. Nie możem
- my czekać cały miesiąc w Brzostowicy nim grafy przyjadą
- Rada w rade zaryzykowali my za namówieniem panny Eleonory posłać
- do księcia telegrama. Poprosili my samego administratora żeby nam
- politycznie wykoncepował
- Pocztowa kantora była w miasteczku , tak my obydwa z Wołejko
- poszli oddać telegrama.
- Naczalnik jak zobaczył że telegram do samego księcia , tak bardzo
- z nami politycznie pogadał i sam wraz siadł przy telegrafie i
- zastukał palcami o podał nam kwitancja.

- Wrócili my do pałacu. nie bardzo nam na duszy wesoło. Zjedli obiad
- pochodzili po gospodarstwie i po sadzie, poszczypali troche gruszek
- ogrodnik poczęstował nas brzoskwinio . Tak przebadziali się aż do
- wieczora a odpowiedzi jak nie ma tak nie ma.
- Po kolacji poszli my zaraz spać bo bardzo nas droga i ostatnia noc
- przymordowała.
- Na drugi dzien po śniadaniu przychodzi sam administrator i bardzo
- śmiei sie.
- Jest telegrama nammm do mnie , nie bardzo ja rozumiem ale wraz prze-
- czytam
- Do uprawlajuszczego imienjem Brzostowica grafa Kossakowskiego
- Pieredajtie Niemczynowiczu dwoich bałwanów chuże odnogo, niemied-
- dlienno wozwraszczatsia Oginskij
- / Do administratora dobr Brzostowica hrabiego Kossakowskiego.
- Prosze zakomunikowac Niemczynowiczowi że dwuch bałwanów gorzej od
- jednego, wracac natychmiast Oginski /
- Obydwa my co ze wstydu nie zapłakali ledwo nas panna Eleonora pocie-
- szyła , zabrali my telegram żeby śladu nie zostawiać ale cóż.
- Nim my wyjechali już cały dwór wiedział i każdy, żeby ich na rojsty,
- w rękaw śmiał sie .
- Przyjechali my do Retowa , poszli my wraz do księcia i cała jemu
- nasza zdarzenia opowiedzieli i pocałowali w ręka. Trafili my pod
- dobry humor bo książe nie swarzył się tylko śmiał sie.
- Oddali my list z powrotem, a książe kazał jeszcze raz opowiedzieć
- nasza zdarzenia z zając cem i powiedział.
- Już ani ciebie Niemczynowicz ani Wołejke dalej jak do Kowna nigdy
- nie poszlę .
- Podziękowałem księciu za ta łaska i chwalić Boga, nigdy już w taka
- daleka droga nie przyszło sie jechać.

Jednym słowem panna Eleonora pojechała płacząc do Brzostowicy , ale
- już teraz tak music kilkanaście lat tam służy i chwali, choć jej
- czasem bardzo markotno za swojo strona.
- Kiedy panna Eleonora nas zobaczyła tak wprost gębe ze zdziwienia ot-
- worzyła a potem kiedy nie zapłacze i dawaj całować i mnie i Wołejkę
- zaczęli my między sobą gadać po naszemu, a ichnia służba tylko słucha
- co to za język .
- Kiedy my już dobrze rozczulilisie pytam ja panny Eleonory , czy
- graf Kossakowski jest w ta pora w Brzostowicy , bo książe dał mnie
- list i kazał oddac samemu grafu .
- Panna Eleonora tylko w rączki zaklaskała . Ot mowi sama nieszczęści
- grafy, dziś rano wyjechali do ciepłych wód , waszmościowie spóźnili
- sie jakie trzy godziny.
- Patrzym my z Wołejko jeden na drugiego jak durnie.
- Prawda powiedziec to mogli my jaka sutka wcześniej przyjechać, le
ale wstyd gadac. Na stacji Baranowicze zbuntowali my na czysto
- pociągi i wsiedli w fałszywy pociąg i pojechali w druga strona.
- Jednym słowem przyszło sie wysiąść na trzeciej stancji i czekać
pociągu co by nas z powrotem do Baranowicz odstawił. Jedno z drugim
- zmitrężyli my jakie 12 godzin i ledwo dziś dopełzli my tutaj.
- Wyszli my na durniów, niema co gadac.
- Kiepsko bracie - mówie ja do Wołejki co teraz robić. Książe będzie
- haniebnie swarzyć sie, że my takie "abłauchy" i taka omyłka zrobili.
- Dziś już późno - mówi panna Eleonora , wyśpijcie sie do jutro i
- pomyślim co robić , a teraz prosza na kolacja -
Poczęstowała nas panna Eleonora akuratnie, bo i kucharz był nam znajo
- my. Kiedyści nawet był kuchcikiem w Retowie , potem panna Eleonora
- jego zabrała do Brzostowicy, a graf Kossakowski był jego wziowszy do
- Warszawy na praktyka i tam nauczyłsie robić rożne blamanże i rożn
- potrawy ~~gastronomiczne,~~ jak to mówio " astronomiczne" potrawy

Jednym słowem panna Eleonora pojechała płacząc do Brzostowicy , ale
- już teraz tak music kilkanaście lat tam służy i chwali, choć jej
- czasem bardzo markotno za swojo strona.
- Kiedy panna Eleonora nas zobaczyła tak wprość gębe ze zdziwienia ot-
- worzyła a potem kiedy nie zapłacze i dawaj całować i mnie i Wołejkę
- zaczęli my między sobą gadać po naszemu, a ichnia służba tylko słu-
- co to za język .
- Kiedy my już dobrze rozczulilisie pytam ja panny Eleonory , czy
- graf Kossakowski jest w ta pora w Brzostowicy , bo książe dał mnie
- list i kazał oddac samemu grafu .
- Panna Eleonora tylko w rączki zaklaskała . Ot mowi sama nieszczęści
- grafy, dziś rano wyjechali do ciepłych wód , waszmościowie spóźnili
- sie jakie trzy godziny.
- Patrzym my z Wołejko jeden na drugiego jak durnie.
- Prawda powiedziec to mogli my jaka sutka wcześniej przyjechać, le
ale wstyd gadac. Na stacji Baranowicze zbuntowali my na czysto
- pociągi i wsiedli w fałszywy pociąg i pojechali w druga strona.
- Jednym słowem przyszło sie wysiąść na trzeciej stancji i czekać
pociągu co by nas z powrotem do Baranowicz odstawił. Jedno z drugim
- zmitrężyli my jakie 12 godzin i ledwo dziś dopełzli my tutaj.
- Wyszli my na durniów, niema co gadac.
- Kiepsko bracie - mówie ja do Wołejki co teraz robić. Książe będzie
- haniebnie swarzyć sie, że my takie "abłauchy" i taka omyłka zrobili.
- Dziś już późno - mówi panna Eleonora , wyśpijcie sie do jutro i
- pomyślim co robić , a teraz prosza na kolacja -
Poczęstowała nas panna Eleonora akuratnie, bo i kucharz był nam znajo
- my. Kiedyści nawet był kuchcikiem w Retowie , potem panna Eleonora
- jego zabrała do Brzostowicy, a graf Kossakowski był jego wziowszy do
- Warszawy na praktyka i tam nauczyłsie robić rożne blamanże i rożn
- potrawy ~~gastronomiczne,~~ jak to mowio " astronomiczne" potrawy

powieczerzawszy, podziękowali my pannie Eleonorze .

- Idzcie waszmosciowie spać - mowi panna Eleonora , bo music dobrze
- przymęczyliśie, wraz Jozi**k odporowadzi państwa na kwatera.
- Przeszli my cały pałac i poszli schodami aż na góra gdzie nam byli
- pokoj przynarowili.
- Nie bardzo nam w smak przyszła taka fanaberja, żeby w pustym połacu
- nocować, tak dla wrzystkiego czego pytam sie ja kucharza Jozuka
- Powiedz bracie a czy przypadkiem tu u was nie straszy.?
- Spijcie panowie spokojnie, jak kiedy tak nie straszy.
- Myśle sobie, słaba pociecha. Pożegnali się my z Józukiem pomodlili
- się i położyli kużden na swoje łożko.
- Dla jakiego zdarzenia, przeżegnałam ja cztery kąty i miarkuje już
- zasnąć, ledwo ja oczy zmrużyłem, słysze jak ktośi jak by za oknem,
- czy może w piecu barabani.
- Pytam sie ja Wołejke , ci czujesz .
- A jakże czuje mówi Wołejko ktośi barabani.
- Zacieplilam ja świeca , przestało barabanić, obejrzałem izba , nikogo
- nie ma , otworzyłem drzwiczki od pieca i przeżegnałam , jakośi
- wrzystko cicho.
- Ledwo ja zadusiłem świeca kiedy słysze znów barabani.
- Pytam sie ja Wołejki , cośi straszy. A jej straszno mówi Wołejko,
- a sam głowa pod poduszka.
- Zacieplilam świeca znów wrzystko ucichło.
- Tak czy panowie powierzycie cała my noc z Wołejko przemęczylisia.
- Palim my świeca, wstali my z łóżka chodzim po pokoju , modlitwa która
- pamiętam odprawuim. Puki my chodzim i mo[li]msie wrzystko cicho, ale
- jak my zacichniem wraz ktośi barabani. do tego koło północy cośi
- zaczęło gęgac i głos gęsi podawać.

Jednym słowem zasnęli my już wo kurach . Nie słyszałem ja więcej żeby ktości barabanił musić nadeszła poranna godzina, a do tego Wołejko kiedy zachrapał tak każdy inny głos swoim chrapaniem zadławił. Przespali my nawet ranna msza, bo chcieli byc w kosciele . Dopiero Józef przyszedł nas rozbudzić.

Opowiedzieli my jemu cała ta zdarzenia a on, cipun jemu na język, tylko kiedy nie zacznie śmiać sie , aż mnie złość wzięła haniebna.

- Czegu durniu śmiejesz sie , mówie, tu katolikowi spać nie daje a
- on jeszcze śmiei sie.
- Nie majcie panowie w gniewie , ale to żadne strachy. wczoraj og-
- rodniczuk w sadzie zająca żywego złowił , tak ja jego pod baleje
- na noc położyłem tak on i barabanił a co gęsi głos, to wczoraj
- gęsiuka my wybrali dla panstwa na dziś na obiad.
-- Żeby ciebie na rojsty mówie ja do Józiuka, nie gadaj nikomu
- bo nas na durniów wyprowadzisz.
- Ale coż takiemu gadać, to co groch o ściana. Zaraz cały dwór o
- tem wiedział i każdy z nas smiał się pod nosem, a najgorzej to
- lokaj . Panna Eleonora także kilka żartów z siebie wypuściła.
- Po śniadaniu radzim sie my z panno Eleonora co robić. Nie możem
- my czekać cały miesiąc w Brzostowicy nim grafy przyjadą
- Rada w rade zaryzykowali my za namówieniem panny Eleonory posłać
- do księcia telegrama. Poprosili my samego administratora żeby nam
- politycznie wykoncepował [illegible]
- Pocztowa kantora była w miasteczku , tak my obydwa z Wołejko
- poszli oddać telegrama.
- Naczalnik jak zobaczył że telegram do samego księcia , tak bardzo
- z nami politycznie pogadał i sam wraz siadł przy telegrafie i
- zastukał palcami o podał nam kwitancja.

- Wrócili my do pałacu. nie bardzo nam na duszy wesoło. Zjedli obiad
- pochodzili po gospodarstwie i po sadzie, poszczypali troche gruszek
- ogrodnik poczęstował nas brzoskwinio . Tak przebadziali się aż do
- wieczora a odpowiedzi jak nie ma tak nie ma.
- Po kolacji poszli my zaraz spać bo bardzo nas droga i ostatnia noc
- przymordowała.
- Na drugi dzień po śniadaniu przychodzi sam administrator i bardzo
- śmiei sie.
- Jest telegrama ~~mamma~~ do mnie , nie bardzo ja rozumiem ale wraz prze-
- czytam
- Do uprawlajuszczego imienjem Brzostowica grafa Kossakowskiego
- Pieredajtie Niemczynowiczu dwoich bałwanów chuże odnogo, niemied-
- dlienno wozwraszczatsia Oginskij
- / Do administratora dobr Brzostowica hrabiego Kossakowskiego.
- Prosze zakomunikować Niemczynowiczowi że dwuch bałwanów gorzej od
- jednego, wracać natychmiast Ogiński /
- Obydwa my co ze wstydu nie zapłakali ledwo nas panna Eleonora pocie-
- szyła , zabrali my telegram żeby śladu nie zostawiać ale cóż.
- Nim my wyjechali już cały dwór wiedział i każdy, żeby ich na rojsty,
- w rękaw śmiał sie .
- Przyjechali my do Retowa , poszli my wraz do księcia i cała jemu
- nasza zdarzenia opowiedzieli i pocałowali w ręka. Trafili my pod
- dobry humor bo książe nie swarzył się tylko śmiał sie.
- Oddali my list z powrotem a książe kazał jeszcze raz opowiedzieć
- nasza zdarzenia z zającem i powiedział.
- Już ani ciebie Niemczynowicz ani Wołejke dalej jak do Kowna nigdy
- nie poszlę .
- Podziękowałem księciu za ta łaska i chwalić Boga, nigdy już w taka
- deleka droga nie przyszło sie jechać.

# P r z y g o d a  P a n a  D y m s z y

Panowie musić choć ze słyszenia znali pana Kleofasa Dymszę ze Zdaniszek z powiatu Szawelskiego - zaczął swe opowiadanie pan Niemczynowicz, gdyśmy po kolacji przy kawie i cygarach zasiedli wkoło kominka na ktorym wesoło potrzaskiwały smolne szczapy.

- Stary pan Dymsza był człowiek, akuratny, dobry gospodarz a
- swojo praco i oszczędnościo doszedł i do majątku i znaczenia
- w powiecie Szawelskim.
- Dymszowie , jak to powiedzieć , była to sobie szlachta dawno na
- Żmudzi zasiedziała ąle skromna i nigdy przed tem na panów nie
- wypinałasie, a nie słychać było aby który z Dymszów jakieści urzę
- dy na Żmudzi sprawował . Sługiwali oni i po ekonomjach a troche
- i w palestrze rosieńskiej ale żaden z nich wyżej rejenta nie po-
- szedł a w duchownym stanie wyżej dziekana i przeora.
- Pan Kleofas za młodu edukował sie w Uniwersytecie wileńskim i jak
- sam często opowiadał siedział na jednej ławce z samym Mickiewi-
- czem , wróciwszy do Zdaniszek zagospodarzył dobrze swój folwark
- dostał jedna i druga administracja , stawał czasem w trybunale
- jako plenipotent , a dorobiwszy sie grosza , zaczął oglądać sie
- za żoną. Mężczyzna on był piekny sam ten „belfam" a do tego umiał
- zawsze podebrać piekna czworka koni , piekny pojazd i służba,
- słowem zaczął żyć nibyto po pańsku.
- Upatrzył on sobie piekna panienka Nałęcz Gorszczanka , a choć
- Gorscy u nas na Żmudzi nosem kręcili zawrócił panience w głowie
i ożenił sie wziąwszy akuratny posag w dodatku do pięknej żony.
- przez ten swój ożenek wszedł pan Kleofas do motji naszej pańskiej
- szlachty i zawiązał koligacje nietylko z Gorskiemi ale i z

i z Szemiothami,z Dykteryszek, Burbami z Warpucian , Nieczuja - Witkiewiczami z Poszawsza, Nagurskiemi z Dyrwian, grafem Adolfem Czapskim z Berżan nie mowiąc już o Gorskich z Szawkien o Przeci szewskich jednym słowem z całą jak to mowią Żmudzią.

Ożeniwszy sie pan Kleofas bardzo głowa podniosł, a że pieknie gadał tak zaczli jego wybierac to tu to tam ale nie doszedł ani do Marszałka ani do posrednika.

Wiadomo jak komu powodzi się to drudzy zazdroszczo. Wielu też pan Kleofas Dymsza miał zazdrosnych a nawet takich co rożna koncepty wymyślali a ktoś z niechętnych wypuscił taka zagadka

- Pierwsze jest miłe ojczyste ...... dym
- Drugie znakiem ostrzeżenia ........ sza
- Wrzystko razem pęcherz czysty
- Dmie sie pnie sie do znaczenia.

Niewiadomo kto taka niesprawieliwość wypuscił, ale była nawet dyferencja pomiędzy panem Kleofasem a panem Juljuszem Nagurskim z Dyrwian. Wiele tam było jeszcze puszczonych rożnych wierszykow , ale nie ma co wspominac. Inni byli potraciwszy swoje schedy a ś.p. pan Kleofas nie tylko swego nie stracił ale jeszcze i dobrze dorobił a synow bardzo pieknie wyedukował, że wyszli na profesorow na inżynierow na doktorow a nawet słysze jeden co z Kierbedzianką ożeniwszy sie tak teraz jest deputatem mmmmmmm w Dumie.

Ale teraz opowiem cała zdarzenia.

S.P. Książe Bogdan będzie pewno jakis pietnaście lat temu, wysłał mnie z interesem do grafa Feliksa Tyszkiewicza do Połągi.

Pora akurat była letnia , zakonczyłem ja swoja sprawa i myslę trzeba podejsc nad morze, bo w ta pora dużo było rożnych dacznikow Zabadziałem sie ja na brzegu morskim spotkawszy jednego i drugiego znajomego ani ja nie obejrzał sie kiedy nadszedł wieczor.

Zakwaterowałem sie ja u rządcego w oficynie blisko pałacu, a jak panom musić wiadomo od brzegu morskiego do pałacu trzeba przejść akuratny kawał drogi ścieżką przez park.

Moim znajomi poszli a ja poczekałem jeszcze, bo tego wieczora rybacy mieli powrócić z połowu a ja dla ciekawości chciałem obaczyć żywa flondra . Jednym słowem słońce już pochowało sie a w miesiącu sierpniu, wiadomo wieczory dłuższe a do tego dzień był pochmurny, jednym słowem w parku było ciemno a dacznikow już widac nie było. Kużny do swojej daczy na kolacja wrócił.

Ide ja sobie ide medytując czemu to pan Bog flondra tak na płask stworzył , tylko widze cości zabielało w krzakach i ktości woła nie swoim głosem

" Panie Niemczynowicz , zatrzymajsie. Panie Niemczynowicz....

Myśle sobie musić przywidziawszy sie ci w głowie huczy od morskiego szumu. Ale nie, ktości akuratnie woła ale zdławionym jakby z tamtego świata głosem - Panie Niemczynowicz , zatrzymajsie , pomóż.

- Nie inaczej tylko myslę sobie jakaści nocna nieczysta sprawa. lepiej palców nie maczac, bo może to rozbójniki a może jakieści złe siły na mojo osobe zawzieli się.

Nie czekając zdublowałem ja panie dobrodzieju krok, żeby prędzej z gęstwiny na wolność wydobyć sie.

Tymczasem słyszę ktości wśród drzew biegnie z boku drogi i krzyczy

- Panie Niemczynowicz nie uciekaj ... nie uciekaj ,.. to ja pan

- Kleofas Dymsza .... Dymsza ... słyszysz ni uciekaj.

Kiedy ja takie nazwisko usłyszałem, czuje ja że żałość mnie pod serce podchodzi, czy żywy, czy martwy, zawsze Dymsza swój człowiek.

Odmowiłem ja krotka modlitwa za dusze w czysciu cierpiące i mowię Panie Dymsza czy żywy czy z tamtego swiata wyłaz pan z gęstwiny.
Patrzę ja tylko z krzakow jakasci okrągła czarna nibyto tarcza wydobywa sie a nad nią jakaci głowa a z pod niej nogi ale nagie a szerscio music porosnięte.
Zdławiło.mnie ze strachu , ciarki po skorze przeszli , mysle sobie music pan Dymsza umarł a teraz za jakiesci przewinienie pierwsza pokuta w czyscu odprawuje.
Chciałem już panie dobrodzieju uniesc sie z tego miejsca kiedy słysze głos akuratny żywego człowieka.
Panie Niemczynowicz to ja , żywy Kleofas Dymsza ze Zdaniszek nie uciekaj, a pomoż i ratuj wielki przypadek mnie zdarzył się zatrzymajsie posłuchaj.
Wyszła ta cała chfigura na scieżke, akurat księżyc co był na nowiu troche przyswiecił patrze ja parasol . odsunął on w bok parasol patrze akuratnie pan Dymsza ale coż goły , rozebrawszy sie jak to mowio do sosu , trzęsi sie cały.
Panie Kleofasie dobrodzieju co za zdarzenia, rozbojniki napadli i obdarli.
Ale nie - mowi pan Dymsza - posłuchaj cała historja.
Poszedłem ja pod wieczor pokąpac się w morzu bu parnośc była wielka. patrze jedna budka otwarta i nikogo w niej niema .
Mysle sobie naco lisznie ekspensy robic wlazłem ja do tej budki. rozebrałem sie odstawiłem parasol poszedłem do wody. Wychodzę ja panie dobrodzieju z morza podchodze do budki patrze budka zamknięta na klucz a obok budki stoi moj parasol rozpięty w nim pugilares z pieniędzmi i zegarek. Cała moje ubranie , bielizna i butyb pozostali sie w budce a mnie żeby jego licho pozostawił tylko parasol za cała ubranie.

Zaczełem ja wołać , stroże music odeszli do domu, nie ma co robić zaryzykowałem ja powrócić do mojej daczy i zadokumentować policejskiemu cała ta historja.
Tymczasem iść przez miasteczko gołemu nie bardzo wychodzi po katolicku , a do tego ludzie wraz [redacted] moja osoba na śmiech podejmą na cała nasza Żmudz.
Kalkulowałem przeczekać w parku nim zciemnieje a potem dostać się po ciemku do mojej kwatery , ale wiele razy wyszedłem z gęstwiny, na ścieżke każdy jak mnie zobaczy tak unosi sie ode mnie jak od jakiegości upiora. Ratuj panie Niemczynowicz.
Zaczeli my z panem Dymszo kalkulować cała sprawa, uradzili że jego ja w moje kalesony ubiore , nibyto w letnia biała moda i dam jemu kamizelka a reszte tak on sobie dla wrzystkiego czego zadekui.
Najgorsza sprawa to podeszwy, bo droga żwirowata a w parku szyszki koło, jednym słowem trzeba jaka rada robić, oddałem jemu lewy kamasz a sobie zostawiłem na prawej nodze . Bardzo było nam obojętnie przejść przez park, ale jakości we dwuch podskakując dociągnęli się do jego daczy. Gospodynia kiedy zobaczyła pana Dymsze tylko zakrzyknęła i pobiegła schować się. I tylko z trzeciego pokoju woła że jakiści posłaniec przyniósł pakunek dla pana Dymszy.
Patrzym my , rozwinęli papier a tam cała ubranie bielizna i kamasze pana Dymszy. Bardzo pan Dymsza był gniewny za taki niepolityczny żart, a do tego cała ta historja w kilka dni jak wiatr przeszło przez cała Żmudz i w niejednym dworze ludzie musić trzęsli się od śmiechu. Od tego czasu pan Dymsza, nigdy już będąc w Połądze, do cudzej budki nie zachodził.
Opowiedziałem ja cała ta zdarzenia naszemu księciu , tak posiniał ze śmiechu aż mnie straszno zrobiło się i kazał ta sama histo-opowiedzieć jeszcze dwa razy i jeden raz przy grafie Czapskim .

### 3. N i e o c z e k i w a n a   w i z y t a

- Panie Niemczynowicz - spytałem któregoś wieczoru gdyśmy zasiedli
- po kolacji przed kominkiem. - Pan wiele pamięta z dawnych cza-
- sów , chciałem więc pana zapytać czy s.p. książe Bogdan Ogiński
- - był łagodnym czy wymagającym zwierzchnikiem.
- Jak to panu odpowiedzieć panie Jałowiecki - rzekł Niemczynowicz
- wrzyscy my do niego byli przywiązani jak do ojca, bo serce miał
- haniebnie dobre , ale kiedy przyszedł na niego gniew tak lepiej
- było jemu na oczy nie pokazywać sie, bo w pierwszym momencie tak
- mógł człowieka zabić ale nazjutrz to już gniewu nie pamiętał i
- łatwo człowiekowi przebaczał. Nie znosił nieboszczyk książe ani
- oszustwa ani kłamstwa i za taka rzecz wyrzucał bez miłosierdzia
- Jeżeli człowiek zgrzeszył to bezpieczniej było przyznać się i
- spuścić swój los na wolę Bożą i miłosierdzie księcia.
- Nie lubił też księże donosów i plotek i w naszej administracji
- donoszczyków nie było , choć książe o wrzystkim zawsze wiedział.
- Pamiętam byłem ja w ta pora rządcą w Sałantach. Miałem ja ja-
- kąści dyfenercja z administratorem , ktości jemu na mnie naszcze-
- kał a ten doniósł księciu, a że administrator był człowiek spra-
- wiedliwy tak mnie podał do wiadomości że będzie ze mną kiepsko
- jeżeli nie wytłumacze się przed księciem.
- - Przeszła jedna niedziela, potem druga
- jakości mnie nikt nie zagabuje, myślę sobie pewno administrator
- naumyślnie mnie postraszył . Zapomniałem ja o całej sprawie.

Było jak raz w wigilja gromnicznej , powieczerzali my z żoną ,
potem przyszedł aptekarz i leśniczy sałancki i siedli my kartami
- w podrzucanego durnia " pobawić sie . Tylko aptekarz
- rozdał karty, kiedy słysze ja bałam, bałam, bałam janczary
-retowskie przed domem .
-. Pobiegłem ja otworzyć drzwi a mróz był haniebny jak to zawsze

koło gromnicznej. Otworzyłem ja drzwi patrze a to sam książe
- ale haniebnie nasrożywszy sie wprość panie jak ten Nemwrod .
- Chciałem ja przewitać sie, tak księże nawet nie popatrzał tylko
- jak stał w czapce wszedł do pokoju, żonie głowo kiwnął a na
- drugich nawet uwagi nie zwrócił i na mnie.
- Niemczynowicz ... ja tobie Niemczynowicz.... poczekaj ... Niemczy
- nowicz, co ty sobie myślisz panie Niemczynowicz.
- Wiele masz zrebaków w Sałantach .
- Nu pomyślałem pewnie ktości naszczekał, a książe bardzo pilnował
- żeby cała stadnina retowska była w porządku.
- Popatrzyłem ja prosto na księcia, duchu pod korzuch napusciłem
- dla odwagi i mówie ja śmiało.
- Książe panie , mówie , książe panie, mam 27 zrebaków roczniaków
- co wraz na druga zima przewalą i jednego sysuna, co przeszły
- czwartek kobyła była ożrebiwszy się.
- Zapalaj latarnie zawołaj stangreta i choć do żrebiarni
- Zapaliłem ja latarnie , ręce trzęsą się jak w fybrze , posłałem
- dziewczyna po furmana Onuprego i wyszli my razem na podwórz i
- do stajni.
- Weszli my panie do źrebiarni, źrebaki już położylisie , ale kiedy
- obaczyli światło i ludzi zaczeli jak szalone latać po żrebiarni.
- kiedy wreszcie uspokoili książe stanął przy ścianie i kazał po
- kolei przepędzic koło siebie wrzystkie źrebaki, i dawaj ich li-
- czyć.
- Patrze ja co z tego interesu wyjdzie. Widze ja że jakości gniew
- księciu przechodzi . Żrebaki byli piekne a akuratnie utrzymane że
- nawet zimowej sierści na nich nie było , tłuste jak te klocki.
- Przeliczył książe raz potem drugi, jednego, drugiego źrebaka pogła-
- skał i nic nie powiedział tylko mnie po plecach poklepał a

Onupremu odliczył srybrem pięć rubli i dał jemu.

- Poszli my z powrotem milcząc do chaty. Książe wszedł zdjął
- czapke i nawet moja żona pocałował w ręka. i siadł na krześle
- przy stole. Leśniczy z aptekarzem w ta pora unieśli sie do
- siebie, żeby księciu pod zły humor nie podejść.
- Książe milczy, milcze i ja, ale żałość mnie haniebna wzieła i
- czuja ja łzy stanęli w oczach.
- Przepraszam księcia pana - mowię - czemu na mnie taka subjekcja
- spadła. Wiernie ja księciu już music będzie z poł kopy lat słu-
- że jak ten mowił jak kiedy tak i czasu nie ma położyc sie.
- Za moja krwawa praca tak mnie jeszcze książe pan taka boleść
- zrobił, że wprość wytrzymania niema.
- Nogi ja schodził już na czysto, całe w bombeli poszli. Niechaj
- książe pozwoli tak rozuje sie i sam swoja boleść jak ten
- łazarz pokaże.
- Na ta moja słowa książe tylko pociągnął nosem. i mówi.
- Nie rozuwajsie Niemczynowicz, nie potrzeba wiara tobie na słowo
- daje ... i więcej nie swarzył sie, a poprosił żone, żeby jemu kie-
- liszek krupnika na rozgrzewka dała.
- Rozczulili sie my bardzo książe wypił jeden kieliszek krupniku po-
- tem drugi, kazał sobie dać papieru i atramentu i siadł, pisać.
- Jak napisał podał mnie. Niemczynowicz, po gromnicznej pojedziesz do
- Retowa do kancelarji tu masz dwa kwity jeden nagroda za zrebaków
- 50 rubli, a druga nagroda za bombeli - 50 rubli, razem rubli sto.
- Pocałowałem ja księciu w rękę. Chciałem ja pytac się kto na mnie
- naszczekał ale wiem że książe tak nie wydał by donoszczyka.

Pożegnali sie my z księciem. Wielka mnie radość wzięła. Kalkulowa-
- łem ja z żono jak by dowiedzieć sie kto na mnie taka hańba puscił.

Ale i tak jak to mówił oliwa na wierzch wypłynęła, kiedy ja po gro-
mnicznej pojechał do Retowa spotkałem ja gorzelanego. Miał z prze

proszeniem morda podwiązana i akuratnie spuchnięta.

Więcej ja już nie dopytywał sie . Z gorzelanym nie byli my w wiel kiej zgodzie. Jakości pod jesien książe dał jemu odstawka .

Więcej już takich fanaberji u nas w Retowie nie było.

Skonczył swe opowiadanie pan Niemczynowicz.

~~4mmJaknpannNiemczynowicz~~nnnnnnnnnnnnnnnnnnnnnnnnnnnnnnnnn

4. J a k p a n N i e m c z y n o w i c z g r a ł mmm n a b ę b n i e

S.p. książe Oginski jak panom wiadomo , bardzo lubił muzyka - zaczął swe opowiadanie wieczorne pan Niemczynowicz.

- Była u nas w Retowie orkiestra założona jeszcze przez s.p. pradziada
- naszego księcia , a nieboszczyk bardzo dbał o reputacja naszej or-
- kiestry.
- Dyrektorem orkiestry był niemiec z Rygi nazwiskiem Stejner, dobry
- muzykant, ale jak wrzyscy muzynkanci człowiekiem on był nerwowym i nie daj Boże kiedy ktorys z naszych ludzi co w orkiestrze grywali
- melodje zbuntował, gotów on był jak ten tygrys rozszarpac człowieka
- na kawałki.
- Nasza retowska orkiestra co lato bywało grywała w kurhauzie w Majo-
- renhofie co nad morzem niedaleko Rygi leży i w wielką ona sławę
- weszła. Nietylko nasi retowscy muzykanci m grali piekne walce ,
- polki mazurki i inne taneczne rzeczy , ale jak to mowiąc i serjozne
- i poetyckie melodje rożnych zagranicznych i naszych muzykantow pod
- nute wyciągac. Nazwisk ja tych muzykantów nie pamiętam, ale od
- niemca co u nas stołował sie nasłuchali sie my z żono rożnych Szopenów
- Sztrausow, Szubertów i lepiej poznali od wielu edukowanych. Trzeba
- panom wiedzieć że i książęta Oginscy sami byli muzykantami a

dziadulek naszego księcia sam piękna muzyka na 5 linji z basami i dyszkantami w mazurowym tempie napisał.

- Orkiestra nasza jak mówiłem latem grywała w kurhauzie nad morzem
- a zimowo poro przez cały czas uczyli sie w Retowie i rożne
- egzercycje muzykalne powtarzali.

- Lubił książe żeby i z administracji jeden czy drugi dla nibyto
- przykładu grał w orkiestrze.

Kiedyś było to jakos na początku Pazdziernika zdawałem ja raport księciu w jego kancelarji a książe mnie zagabnął.

- Czemu panie Niemczynowicz nie grasz w orkiestrze , wszak gęba masz
- od ucha do ucha a pośrodku język akuratnie podwieszony, zaryzykuj
- bracie na trombonie , basie a nawet na kornecie.
- Mowię ja księciu.
- Przpraszam księcia pana nie mam ja do tego interesu żadnego, ucha.
- No tak źle nie jest mówi książe wszak bracie możesz rozróżnić
- kiedy krowa ryczy a kiedy parsiuk kwiczy.
- To to potrafie - mówie ja księciu, ale na żadna delikatna melodja
- to w uchu czułości nie mam.
- Tak sprawa przeszła i książe mnie więcej nie zagabał , jednym sło-
- wem zapomnieli my o całej naszej rozmowie.
- W ta pora miał do Retowa przyjechac sam Wielki Książe, a książe
- Bogdan chciał pochwalić się swoją orkiestrą.
- Jak na złość Kaziuk Żwirblis , co na barabanie grał zachorował,
- a tu projektował książe żeby orkiestra zagrała pięknego marsza
- na przyjęcie wysokiego gościa.
- Wiadomo marsz to muzyka wojenna, a taka muzyka tak ona barabana
- koniecznie potrzebui.

Nie wiem co naszego niemca wkąsiło ale sunął się on do samego
- księcia, żeby Niemczynowicza poduczyć barabanić i na ten czas
- chorby Wincuka jego zastąpić .
- Zawezwał mnie książe do siebie i mówi
- Panie Niemczynowicz, stary przyjacielu ratuj, sam wiesz jaki
- gość do nas przyjeżdża , poświęć sie i zabębnij w ta pora w
- orkiestrze zamiast chorego Żwirblisa, wszak człowiek jesteś
- obrotny.
- Miarkowałem ja z tego całego interesu dać petla, ale książe
- tak mnie rozczulił że pocałowałem w ręke i swoja obietnica
- przed księciem złożyłem zamienić Kaziuka na ta krótka pora.
- Kalkulowałem sobie, że baraban to żadna sztuka, bo on tylko jeden
- głos podaje. Uderz raz jeden drugi po oślej skorze pałeczką i
- czekaj komendy.
- Poszedłem ja tegoż wieczora na ichnie egzercycja siadłem przy
- barabanie i czekam co będzi.
- A tu niemiec żeby jego kotka przeżarła sunie mnie w ręce jakiści
- papier i mówi uważaj panie Niemczynowicz na nuty.
- Mówie ja do niego ja na nuty tak niegramotny, nic ja z tych lini-
- jek nie rozumiem, a w dodatku wszędzie jakieści O raz z ogonkiem
- wgóra raz wdół atramentem wypisane.
- Bardzo my poswarzyli sie pomiędzy sobą . Mówię ja jemu nie probuj
- mnie uczyć a lepiej jak przyjdzie kolejka na baraban daj sygnał
- swojo pałeczko co ciągle wymachujesz przed orkiestrą.
- On gada swoje ja swoje, ale na końcu zgodził sie podawać mnie
komendę.
- Zapomniał mnie w dodatku na ta cała subjekcja powiedzieć, że bara-
- ban oddaje dwa głosy , jeden głośniejszy jak uderzysz na środku
- skóry, a drugi cichszy jak pałeczką bliżej obręczy

Na pierwszy raz jakości udało sie mnie metnie zabarabanic ale na
- drugi dzień przyszła proba a tu u mnie nic nie wychodzi nie
- moga ja popaść w potrzebna miejsca.
- Zdezelowałem ja swoje nerwy na czysto a tu niemiec krzyczy na
- mnie Panie Niemczynowicz w takt , ... w takt.
- Pięć razy przerywał on swoja komenda i pięć raz od początku kazał
- tego marsza grać. Nawet muzykanci wrzyscy jakości zniecierpliwili
- sie .
- Tak prosze państwo przemęczyłem sie ja kilka dni i ciągle nic z m
- z mego barabanienia nie wychodzi.
- Nadszedł Poniedziałek a w Sobota W Książe miał siebie zadeklarować
- w Retowie.
- Niemiec bardzo zezłuł sie , ale księciu nie miał odwagi powiedzieć
- bo sam musić przez złosc ukrytą moja osoba na barabanszczyka
- księciu podsunął
- We środę na nasza egzercycja przyszedł sam książe posłuchać jak
- ten marsz wychodzi. Niemiec tylko na mnie oczy wywalił. Zaczęli
- my grać przychodzi na mnie kolej, niemiec tylko na mnie swojo pa-
- łeczko zaczyna kiwać i aż przechylił sie w moja strona.
- Mysle sobie jak tak to tak , dawaj ja walić w baraban w sam środek
- dek a- cała orkiestra przycichła a książe tylko uszy zatknął rę-
- kami. a niemiec w złości na mnie wprost ze swojo pałeczko suni
- sie.
- Wrzystkimh aż zatkało od śmiechu ale przy księciu boją się śmiac.
- A książe poskrobał głowę i mówi. - Widzę teraz sam panie Niemczy
- nowicz że ciebie nie w ta co należy przeoryna postawiłem, a chyba
- na dziś to ja sam przy bębnie zastąpię, a jutro obaczym co robić.
- Nie czekałem ja końca i poszedłem do chaty. Żona patrzy że ja
- jakości pobladłem pyta co za przyczyna.
- Elżbieta mówie ja do niej nie gadaj ale przypraw ciepłego krupniku
- a ja wraz do łożka położe sie. Długo ja zasnąć nie mogłem że sam

sobie taka konfuzja zrobiłem przez ta własna głupota.

- No i czem sie skończyło.
- A nic - Kaziuk chwała Bogu na pora wyzdrowiał i akuratnie
- zabarabanił - wiadomo uczony .
- A książe ? spytaliśmy się.
- Książe tak nigdy potem mnie o barabanie nie wspominał, nie chcąc
- robić mnie subjekcji, ale cała ta zdarzenia złe języki puścili
- po Żmudzi a nawet za plecami rożna przezwiska mnie ~~przyk~~mmmmm
- przykleili.
- Koniec ja zrobiłem tym plotkom w Rosieniach na kiermaszu.
- Jakiści duren mnie zaczął om~~baraban~~m barabanem przedrzeźniać, tak
- z przeproszeniem kiedy dałem jemu raz drugi akuratnie po mordzie
- tak aż na miejscu zawalił sie a pątem miesiąc chodził spuchszy,
- jak by kto jemu wrzystkie zęby szczypcami kowalskiemi wyciągnął
- Od tego czasu ludzie przestali już mnie zagabać. - Zakończył
- swoje opowiadanie pan Niemczynowicz.

---

# TAJEMNICZY PAN SALDO

Było to pod koniec Listopada , Zostałem wezwany przez gubernjalnego marszałka Krasowskiego ,abym przez jakieś 10 dni zastąpił będąc deputatem szlachty powiatu święciańskiego , marszałka szlachty ~~powiatu święciańskiego~~ Księcia Szerwaszidze , gruzina , którego wezwano do Petersburga. Nie bardzo mi się uśmiechało te " zastępstwo " i przebywanie w Święcianach. Porozumiałem się z dyrekcją banku i prezesem Końcą oraz naszemi żubrami. Wrzyscy byli tego zdania ,że nie można się uchylać od tego obowiązku ,gdyż chodziło o to ,aby jak najwięcej z naszych ziemian brało udział w administracji kraju i swemi wpływami korygowało te lub inne posunięcia miejscowej administracji. Gubernator Wileński Wieriewkin w którym miałem przyjaciela szczegulnie nastawał bym nie uchylił się od tego . Pożegnawszy się z Julą wyjechałem do Święcian ale zamieszkałem u mego krewnego Kazimierza Narutowicza , dawnego powstańca w jego mieszkaniu przy stacji Nowo Święciany, aby być bliżej swiata i Syłgudyszek. Wuj Kazimierz zwany wujciem stracił wrzystko w powstaniu 63 roku ,następnie długie lata przebywał w Rosji na wygnaniu ,wreszcie ojciec mój dał mu stanowisko buchhaltera na naszej wąskotorowce łączącej stacje Nowo Święciany z Głębokim na północno wschodzie i Wileńszczyzny i z Poniewieżem na zachodzie .

Jakoś dnia następnego po objęciu mego urzędu ,zjawił się do mnie naczelnik policji powiatowej t. zw. " Isprawnik " meldując mnie że otrzymał od policji z sąsiedniego powiatu Wilejskiego papier który mnie doręczył do wiadomości.

Treść papieru była następująca.

Do Isprawnika powiatu Święciańskiego.

Isprawnik powiatu wilejskiego uprzejmie prosi pana Ispranika

powiatu Święciańskiego dowiedzieć się czy na terenie jego powiatu nie pojawił się jakis podejrzany człowiek nazywający siebie Saldowskim. Jeżeli on się okaże [redacted] to proszę go niezwłocznie aresztować i pod konwojem dostawić do urzędu policyjnego w Wilejce. Jeżeli zaś znajdą owego Saldowskiego nie żywym proszę zabezpieczyć nieboszczyka w miejscu znalezienia, postawić dwuch strażników / poniatych z włości [redacted] aż do przyjazdu na miejsce sędziego śledczego

/ podpis /

Isprawnik Powiatu Wilejskiego gub Wileńskiej

Policja zaczęła poszukiwania ale bez żadnego rezultatu .

[redacted] Zainteresowałem się tą sprawą , ale przez cały okres mego urzędowania nie zdołano wykryć [redacted] miejsca pobytu owego Saldowskiego , zapewne jak twierdził Isprawnik musiał się przedostać na teren innego powiatu lub wyjechał koleją w nieznanym kierunku. Zapomnieliśmy wreszcie o całej sprawie . Dopiero po powrocie do Wilna wypadkowo trafiłem na ślad i po nitce do kłębka wyjaśniłem całą sprawę. A było to tak :

Książe Drucki Lubecki umierając zapisał swoje dobra Mankiewicze leżące w pobliżu Postaw swemu siostrzencowi Włodzimierzowi Łęskiemu, zwanemu powszechnie Wołodką. Mieszkał wówczas w Wilnie jego krewny stary Pac Pomernacki , jed[redacted] z ostatnich prawdziwych charciaży na Litwie. był to[redacted] to jeden z wymierających dawnych naszych oryginałów , człowiek wiekowy, ale czerstwy , zdrów i nie pogardzający dobrą kompanją i kieliszkiem, a przytem sławny myśliwy, zwany [redacted] przez wrzystkich " dziadzką".

Wołodka nie mając wielkiego ani daru ani zainteresowania do prowadzenia interesów a szczegulnie do uciążliwego sprawdzanią [redacted]achunków administratora umyślił sobie wyręczyć się " dziadzką".

- Słuchaj dziadźka rzekł do Pomernackiego, masz tu plenipotencję
- i zlituj sie jedź do Mankiewicz i zrób lustracje majątku oraz
- przepatrz rachunki.

Pan Pomernacki choć niechętnie przystał na tę prośbę swego sio-
strzeńca i spakowawczy " czumadan " wyjechał do Mankiewicz.
Przez czas dłuższy nie było o nim żadnych wiaomości , ~~mmmmmmmmm~~
wpadł jak kamien w wodą.
Dopiero po paru tygodniach zjawił się do Wilna, ale czegoś bardzo
milczący i zafrasowany w dodatku bardzo tajemniczy.
- No dziadźka opowiedz co znalazłeś-spytał swego powiernika Wło-
dzio Łęski
Po długich naleganiach " dziadzka " odezwał się w te słowa.
- Dużo nie pytaj - powiem tobie jedno słowo - "mauvais"
- Co się stało - zawołał wystraszony Wołodka .
- Powiem tobie pod sekretem - w gospodarstwie wrzystko dobrze,
- wrzystko przed zimą zorane, inwentarz piękny, remamenta w porzą-
- dku ale...... rachunki .... straszno pomysleć.
- Nie męcz mnie dziadźka powiedz co znalazłeś.- nalegał Wołodka
- Sprawa bardzo zaplątana - odrzekł Pomernacki . - tak niby wrzy-
- stko w porządku, podskrobek w książkach nie ma, wrzystkie kwity
- się , ale bracie u niego każde miesięczne rachunki dochodów i
- ekspensów schodzą się co do kopiejki, jednym słowem wychodzi
- że z majątku żadnego dochodu nie ma.
- Zanotowałem ja sobie że na końcu rachunków każdego miesiąca
- wypłacał ten administrator jakaści suma niejakiemuś Saldo .
- Pytam sie jego - co to za saldo - tak dureń tylko zaśmiał się i
- mowi do mnie wszak musić pan wiesz co to znaczy "saldo."

- Nie chciałem ja panie dobrodzieju wchodzić w żadna kłotnia .
- Myślę sobie poczekaj , ja sam lepiej dowiem się całej prawdy.
- Powiedziałem żeby dali mnie konie do Postaw, że mam interes na
- poczte a przyjechawszy poszedłem do jednego i drugiego znajo-
- mego kupca żydka , żeby naprowadzić sprawki czy czasem nie zna-
ję ją tego Saldy.- Żaden z żydków postawskich takiego nazwiska
- nie słyszał. Myślę sobie albo ten Saldo podstawiony albo gdzieści
- w innej miejscowości przebywa , a w dodatku kwitancji na
- te pieniądze nie zostawił.
- Spytałem sie ja delikatnie administratora a gdzie kwitancja od
- Saldy-, tak on mnie mówi że Saldo nigdy kwitancji nie potrzebuje
- wydawać.
- Nu myslę sobie, trzeba ciebie Wołodka ratować, nim ty z torbami nie
- pójdziesz.
- Drugiego dnia pojechałem ja znów do Postaw prosto do stanowogo
- policejskiego prystawa i nic nie mówiąc podałem ja jego nazwisko
- tego Salda żeby policja naprowadziła sprawki , a do tego nastra-
- szyłem ja stanowogo, że ty Wołodka jestes kamerjunkrem , tak z
tobą żartów nie ma.
-Ja tobie powiem Wołodka , ja nie chcę nosa w ta cała sprawa wsuwać,
- jak chcesz wojuj sam, kto jego wie co to za człowiek ten Saldo,
- jeszcze przytaiwszy sie może zabić.
Dopiero Wołodka chwycił się za głowę.
- A jej dziadźka to mnie kaszy narobiłeś.
Pomernacki jednak długo nie dał sobie wytłumaczyć.
Nie poruszano więcej tej sprawy , bo dochodzenie o miejscu pobytu
pana Saldy ze zrozumiałych powodów umorzono. Znikł jak kamfora.

---

# GRUDZIEŃ 1912

W Grudniu tego roku miałem sporo rozjazdów. Na początku miesiąca wyjechałem na parę dni do Królewca w celu zakupienia stadnika dla obory Syłgudyskiej. Miałem list polecający do hr Kaiserlinga właściciela jednej z najlepszych obór w Prusach wschodnich.
Hodowla niemiecka stała bardzo wysoko a tak zwane ~~[illegible]~~ pruskie holendry odznaczające się wielką mlecznością przy wysokim procencie tłuszczu w mleku zyskały sobie wśród hodowców słuszną sławę.

Udało mi się nabyć młodego byczka, dwulatka, pochodzącego w prostej linji od sławnego " Wintera No księgi rodowodowej 511, którego matka Künstlerin dała 11.000 litrów mleka w ciągu jednego okresu laktacji. Naówczas wrzystko co miało w sobie " Winterblut / krew Wintera/ cenione było na wagę złota. Zapłacilismy wowczas około 1500 marek za tego stadnika, ale wydatek ten opłacił się nam sowicie.
Hr Kaiserling podejmował mnie bardzo gościnnie i skorzystałem z możliwości obejrzenia jego zaiste wspaniałego gospodarstwa.

Znalazłszy się wśród baronerji wschodnio pruskiej, z których wielu za czasów uniwersyteckich należało do korporacji Boner - Borusia, spotkałem kilku znajomych. Muszę przyznac żeśmy popijali mocno. Gratulowano mi z nabytku takiego cennego okazu. "In gratiam" tego osuszyliśmy nie jedną butelkę Rüdesheimu i Raunthal'u w jedynym przyzwoitym hotelu w Królewcu

Nie mogłem nie zauważyc pewnej zmiany w usposobieniu baronerji pruskiej w stosunku do Rosji. O ile dawniej panowała wśród nich zwykle bardzo przychylne nastroje względem wchodniego sąsiada, o tyle tym razem mowiono o Rosji z wielką rezerwą, a kilkakrotnie wymknęło się zdanie, że Rosja lepiej by zrobiła trzymając z niemcami, niż iść na pasku polityki frnacuskiej.

Przygodny czytelnik kiedyś wertując moje wspomnienia, o ile takowe nie pojdą gdzieś na makulaturę lub inny użytek, zdziwi się zapewne, że pamiętam nietylko nazwę ale i no rodowej księgi sławnego stadnika i jego matki. Chcę zgóry wyjaśnić że my rolnicy a szczegulnie hodowcy mamy te szczeguły zawsze w pamięci ~~jak~~ podobnie jak hodowcy koni pełnej krwi którzy ~~mogą~~ przytoczyc nazwę ojca matki, dziadka etc aż do niewiadomo którego pokolenia koni, które się wsławiły na wyścigach.

Możemy zapominac wiele rzeczy, ale te szczeguły związane z hodowlą w niewytłumaczony sposób pozostają nam w pamięci.

Będąc w Londynie spotkałem pułkownika Mikulicz Radeckiego znanego hodowcy z Wołynia , które zaiste był encyklopedją chodzącą wrzystkich " derbistów ". Nawet i dla mnie, który raczej był hodowcą bydła niż koni nazwy sławnych koni polskich pełnej krwi jak Sac a papier , jak Panie Kochanku jak Gal potomek w prostej linji Galtimora na zawsze pozostały w pamięci.

Wyekspedjowawszy z odpowiedniemi instrukcjami stadnika do Syłgudyszek wróciłem do Wilna . Nie długo jednak mogłem popasać w Wilnie, gdyż w sprawach bankowych musiałem towarzyszyć Józiowi O'Rourkowi do Petersburga na zjazd przedstawicieli banków hipotecznych.

Nie brałem bezpośredniego udziału w zjezdzie, a tylko byłem, że tak powiem, w rezerwie mając przygotowane na wszelką potrzebę, różne dane statystyczne, oraz nasze nowe metody taksacyjne wprowadzone przed kilku miesiącami .

Natomiast musiałem wziąść udział w obiedzie w sławnej restauracji " Miedwied". Byłem przerażony tą orgją jedzenia i picia w którym " nolens volens brałem udział.

Gdyby się tylko skończyło na obiedzie, ale potem całe towarzystwo udało się do Willa Rode znanego petersburskiego kabaretu i tam dopiero w całej pełni ukazała się " szirokaja ruskaja natura ". Udało mi się jakoś zdezertować dość wcześnie pozostawiwszy samego Józia na

placu boju, czego mi nigdy nie mógł zapomnieć.

Ja zaś nie mogłem siedzieć do rana, mając dnia następnego wyznaczoną audjencję u Ministra Rolnictwa Kriwoszejna w sprawach Wileńskiego Towarzystwa Rolniczego.

Opowiadał mi Józio, że całe bractwo popiło się do nieprzytomności po gabinetach, a on, jako jedyny trzezwy, musiał nad ranem chodzić od gabinetu do gabinetu i płacić rachunki za swych kolegów dyrektorów banków Charkowskiego, Kijowskiego , Moskiewskiego,Tulskiego Dobrze, że miał z sobą pieniądze, ale suma rachunków wyniosła dobrych parę tysięcy rubli. Był jednak o tyle ostróżny, że zabrał z sobą popłacone rachunki i napisał na każdym nazwisko delikwenta i dzięki temu odzyskał wydane pieniądze . Mogło by to go dobrze uderzyć po kieszeni.

Nie od rzeczy będzie zanotować, że Towarzystwo Kredytowe Ziemskie w Warszawie nie brało udziału w zjezdzie, tłumacząc się że w Królestwie obowiązywał kodeks napoleona i całkiem inna procedura hipoteczna. Również instytucje hipoteczne krajów bałtyckich a więc Kurlandzkiego, Liflandzkiego i Estońskiego landes banku nie przysłali swych przedstawicieli.

W czasie mojej audjencji u Kriwoszejna, wspomniałem mu o mojej niedawnej bytności w Prusach wschodnich i o nastrojach tam panujących Zainteresował się tem bardzo i głęboko się zamyślił.

- Nu posmotrim - / no zobaczymy rzekł /. Załatwiwszy pomyślnie sprawy subsydjum dla sekcji rolnej wróciłem na wieczór do mieszkania mego Ojca na obiad / w Petersburgu jadano zwykle obiad około 7 wieczorem.

Ledwośmy zasiedli do obiadu i wypili po kieliszku jarzębinowki, kiedy ozwał się dzwonek i służący wręczył mnie telegram.

Okazało się że naszego stadnika z niewiadomych przyczyn zatrzymano na granicy w Wierzbołowie. Nie było czasu do stracenia, po obiedzie pożegnałem się z Ojcem i kurjerem berlińskim pośpieszyłem do Wierzbołowa.

Dnia następnego po południu stanąłem w Wierzbołowie. Jak się okazało, władze graniczne [redacted] zatrzymały stadnika na granicy, gdyż [redacted] dozorca wysłany ze stadnikiem przez hr Kaiserlinga nie miał pasportu zagranicznego.

Szczęśliwie znałem dobrze wszechwładnego pułkownika żandarmerji Miasojedowa / został on w pierwszym okresie wojny rozstrzelany za szpiegostwo na rzecz Niemiec / dzięki jego pomocy dostałem przepustkę na okres tygodnia dla konwojenta i wysłałem ten cenny ładunek do [redacted] Nowo Święcian, gdzie mieli oczekiwać ludzie z Syłgudyszek. Nie mogę nie wspomnieć, że zastałem stadnika w stanie opłakanym po kilkudniowym pobycie w zamkniętym wagonie i braku obroku i siana.

Nadchodziły Święta Bożego Narodzenia, które spędziliśmy w gronie rodzinnym w Syłgudyszkach .

Chcąc zrobić memu szwagrowi przyjemność w przededniu wigilji urządziłem małe polowanie w lasach pogołońskich z [redacted] gończyma zaprosiwszy na ten dzień pana Bolutę Brzezinskiego z Trombaciszek ze sforą swoich sławnych gończy. Osobiście nie trzymałem w Syłgudyszkach gończych . Chciałem podnieść zwierzostan syłgudyski, a polowanie z gończyma aczkolwiek [redacted] pełne swoistego uroku, nie [redacted] idzie w parze z racjonalnym łowiectwem .

Władysław opowiadał mi wiele ciekawych epizodów z posiedzeń w dumie państwowej ale winszował mnie, żem się nie dał wziąść na wędkę o posłować do dumy. Władysław był jednym z wybitniejszych ekonomistow i był stałym referentem budżetu państwowego w dumie.

Po świętach wróciliśmy do Wilna a Dzień Nowego roku spędziliśmy u mego szwagra Piotra Wańkowicza w jego Slepiance pod Mińskiem.

Nadchodził rok 1913 nic nie zapowiadało jeszcze nadchodzącej burzy, ale jak słusznie twierdził Władysław Żukowski, że nie w tym to w następnym roku możemy oczekiwać brzemiennych w następstwa wydarzeń.

Mieczysław Jałowiecki